







DZIEŁA

WINCENTEGO POŁA

WIERSZEM I PROZĄ.

PIERWSZE WYDANIE ZUPEŁNE

PRZEJRZANE I UPORZĄDKOWANE PRZEZ SAMEGO AUTORA.

TOM PIĄTY.

SERYA PIERWSZA: POEZYJE. T. 3

WŁASNOŚĆ I WYDANIE RODZINY.

LWÓW.

NAKŁADEM F. H. RICHTERA.

1876.

POEZYE
WINCENTEGO
POLA.

PIERWSZE WYDANIE ZUPEŁNE.

TOM III.

Z PODRÓŻY PO BURZY.
DROBNE POEZYE.
PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ.

LWÓW 1876.

NAKŁADEM F. H. RICHTERA.

Z Drukarni W. Manieckiego.



86795 L-P

*Egzemplarze znakiem rodziny nieopatrzone
prawnie poszukiwane będą.*



Z · P O D R Ó Ż Y
P O B U R Z Y.

D R O B N E P O E Z Y E.

JÓZEFO WI
BRODOWICZOWI

Z UCZUCIEM

NAJGŁĘBSZEJ CZCI I WDZIĘCZNOŚCI

SKŁADAM.

W Krakowie 8. grudnia 1855. r.

w dzień ogłoszenia dogmatu o Niepokalaném Poczęciu

N. MARYI PANNY.

POŚWIĘCENIE.

Ze czią składam, co z daleka
Blisko serca z dawna niosę:

Kilka wspomnień świętych z wieka,
Pierwszych natchnień Bożą rosę,
Kilka cichych wrażeń z boru,
I z klasztoru i ze dworu.

Trochę świeżych liści z dębu,
Trochę wonnych malin z zrębu,

I konwalji trochę z puszczy
I zielonych trochę bluszczy

Bo wszak uczy myśl pobożna:
„Zacne prostém poczcic można“ —
A więc składam jak poczęte,
Jako było dane w porze,
Jako było dane — wzięte,
Składam ludzkę — ziemskie — Boże!

I.

W I E L E — M A Ł O

PRZEBOLAŁO.

MIŁOŚCIWE-LATO

R. P. 1851.

Boże Ojców! wielki Panie!
Bądź pochwalon na zaranie!
I z południa i z nieszporu,
Wielka chwała Twego dworu!

Miłościwe dałeś lato
I znów wolno oczy zrosić;
Jak dziękować Tobie za to?
Jak dziękować? o co prosić?

Wszak przyrzekłeś już staremu
W ziemi świętej zakonowi:
„Rok Miłości świat każdemu
I przywróci i odnowi.“

„Rok Miłości oblubieniec,
Miłosierdzia szafarz wielki:
Do wolności wróci jeniec,
A do mienia człowiek wszelki.“

Tak przyrzekłeś twym wybranym
Panie! w starym już zakonie;
Więc niech będzie i nam danem,
Co po Krzyża stoim stronie . . .

Miłościwe dałeś lato,
To chroń, Panie, przed zatrata!
Dech zatruty po nas powiał,
Świat otępnął i osowiał

Świat, ów jeniec i wyzuty,
Oniemiały i zatruty,
Jakby zwątpił w Boże wróżby,
Jakby nie znał, co Twe służby!

Dusza nasza jest tym jeńcem,
Boleść niechce dać ją z kleszczy,
Cierń oplotła ją jak wieńcem,
I upada, a nie wieszczy?

Puść ją Panie z téj niewoli,
Niech daremnie tak nie cierpi:
Niechaj tworzy, co tak sierpi,
Niech przemówi, co tak boli!

Niech łaskawie i bogato
Miłościwe spłynie lato!
Niechaj spłynie źródło Twój łaski,
Niechaj światłość złamie brzaski,
A po nocy niech odnieje!
I Twój łaski wielkie dzieje
Niech przepłyną przez natchnienie:
Tu nasz żywot! tu sumienie!
I sądz Panie w Twój dobroci —

Niech nie darmo życie młóci,
I niech w cieniu się nie grzebie,
Co jest, Panie, z Twego daru:
Dozwól spojrzeć po Twém niebie,
Uwolń duszę od ciężaru!

Bo i zkądże? zkąd się wzięło
Tyle cierpień i łez tyle?
Jeśli wytrwać nasze dzieło,
Dozwól wybrnąć o Twój sile!

Bo wszak bywa to inaczej,
Gdy Pan w łasce wejrzeć raczy
Na służebne i na wierne,
Na pokorne i na mierne.

A gdy duch obłożon chłostą,
Ach jak trudno w niebo prosto
Patrzeć duszą — i iść pramo
Wielką drogą — wielką bramą.

Więc o jedno prosiem Panie:
Miěj nad nami zmiłowanie!
Niech nam droga się wyprości
Przez boleści do miłości....

PRZEBOLAŁO.

Gdzieżeś? gdzieżeś wieku młody!
Gdzie podziały się te czasy?
Gdzie przejrzyste moje wody?
I zielone moje lasy?!

Gdzież są owe ludzkie twarze?
I dusz czystych Boskie dary?
Ach! i święte te ołtarze,
Kędym pierwsze niósł ofiary?

Gdyby jeszcze taka chwilka
Zawitała z ranną zorzą,
Gdyby takich uczuć kilka
Padło w duszę rosą Bożą?

Gdyby takie głosy wieszczce
Pan do duszy zesłać raczył?
To nie tylko, żem przebaczył,
Ale mógłbym kochać jeszcze!

Boć bogate niby wiano
Było życia mego rano,
Czyste, ciche i szczęśliwe,
A jak ziemia miłościwe.

I.

Stary dworzec modrzewiowy
Stał na kępie — w koło wody
Były sady i ogrody,
W dali łąki i dąbrowy.

Smukłe świerki nad sadami
Były widne już z daleka,
A za sadem i lipami
Był tam futor i pasieka.

W niej to miałem przyjaciela
W starym naszym pasieczniku,
I radości tam bez liku,
W dniach dzieciństwa i wesela.

Był to starzec tak życzliwy,
I jak słońce tak pogodny,
Jako dziecko tak łagodny,
A jak ziemia miłościwy!

On mnie szczepić uczył drzewa,
On poznawać uczył zioła;
Co się zbiera, co się siewa,
I jak żyje w ulu pszczoła....

Z nim na mannę i na grzyby
Biegłem w łąki i w dąbrowy,
I w dzień postny z nim na ryby,
I na kwiaty w dzień godowy.

A w południe, gdy wesoła
Na świat cały grała pszczoła,

Utrudzony wśród pszczoł brzęku,
Usypiałem mu na rękę.

Jak pustelnik albo Święty,
Pracowity i modlący,
Wiecznie skrzątny i zajęty,
I zabiegły a milczący.

Tak pocziwie się zachodził,
Jak staranne jego pszczółki,
Zbięrał zioła, wonne smółki,
W koło sadu nocą chodził.

I gromadził i chodował,
Co być mogło pożyteczne,
Lecz dla siebie w sercu chował
To jedynie, co jest wieczne....

Więc w prostocie i w pokorze
Miłosierdzie wielbił Boże,
Co nam dało łąki, gaje,
I owoce i ruczaje,
I bliźniego twarz w uśmiechu,
I tę pszczołę, co bez grzechu,
A największą słodycz daje!

Jak Bóg Ojciec gospodarzy,
Sypiąc dary w swęj dobroci,
I bez zasług ziemię darzy,
I pociechą życie złoci, —
Tak i on tam gospodarzył
W swęj pasiece miłościwie,
I darami ziemi darzył,
I oświecał mię zycziwie. —

Wszystko było tam do składu:
Gdzieś w króbeczce i jagoda,
I najźralszy owoc sadu,
I kryniczna zawsze woda.

Tam też biegłem na przysmaki; —
I ochotnie były dane
Plastry miodu i łuszczaki,
Z pod wiewiórki podebrane.

Wiosną słowik tam zawodził,
Kiedy kwilił do gniazdeczka;
Latem chruściel tam podchodził,
I wabiła przepióreczka.

I już takich dni słonecznych,
Dni miodowych i dni mlecznych,
Gdzie pierś matki ziemi ssałem,
Nigdy więcej nie zaznałem!...
I po dziś dzień duszę jeszcze
Tęm wspomnieniem tylko pieszczę...
Kiedy wstąpię w gniazdo węży,
Kiedy żywot mi zacieży,
Kiedy upał pierś wysuszy,
Tęskno w sercu, — czarno w duszy,
Ciężko dźwigać i daremno:
Staje futór ów przedemną,
I pasieka z swoim chłodem,
I krynica z swoją wodą,
Ach i ziemia z tą swobodą,
Co płynęła mléką, miodem.

A gdy duszę ukołyszę,
To wyraźnie niby słyszę

Głos mi znany, choć daleki,
 Jak od łąki czy dąbrowy:
 „Porzuć, porzuć świat jałowy,
 A powracaj do pasieki!“

Gdzieżeś? gdzieżeś przyjacielu?!
 Mój ty stary pasieczniku,
 Piérwszy mój nauczycielu,
 Bogobojny pustelniku? —

II.

W starym zamku Króla Jana
 Był tam pokój w narożniku,
 W okna biła zorza rana,
 I stoliczek stał w kąciku.
 Na nim pióro, kałamarzyk,
 Kilka skryptów, książek parę,
 A nad łóżkiem relikwiarzyk,
 A przy łóżku krzesło stare....
 Wielki komin marmurowy
 Płonął nocą w drugim rogu,
 Nad nim hetman stał surowy,
 Co ojczyznę zlecił Bogu...
 A na środku téj komnaty
 Stał stół duży, a na stole
 Stał krucyfiks strojny w kwiaty.
 W tym to domu, w takiéj szkole
 Uczył mentor mnie miłości
 Przy porannéj owéj zorzy;
 I pierwiastki méj młodości
 Jam bojaźni święcił Bożéj....

Ksiądz Bazyljan, starzec siwy,
I zakonnik miłościwy,
Był podówczas mym mentorem,
I za jegom stąpał wzorem. —
Święte były jego ślady!
Mądre mowy, wielkie rady!
Bo czy uczył, czy to prawił,
Tylko światu błogosławił;
I co dobrém tylko było,
I czém życie się zbroiło,
To od niego wszystko wzięte!
Bo w pokorze mnie układał,
Dzieje Polski, Pismo Święte,
I Plutarcha opowiadał.
A gdy prawił Greków dzieje,
Ze czcią patrzył w twarz hetmana; —
Gdy miłości i nadzieje,
Na Chrystusa patrzył Pana.

A gdy bliższe dzieje prawił,
Czasem ręką tylko rzucił,
Z relikwiarza ócz nie zwrócił
I domowi błogosławił. —
Błogosławiąc nic nie gadał,
I podobien był Świętemu.
A jam do nóg jego padał,
I płakałem, nie wiem czemu....
W ówczas mawiał mi w miłości:
„Błogosławię twój młodości!
„A jeżeli dola sroga
„Cię wybierze na boleści,
„To niech obok nich się mieści
„W sercu twojém wielkość Boga!

Po nauce po dniu całym
Wracał mentor do klasztoru;
A ja sam już zostawałem
Sam z kozakiem od wieczora;
I nie miałem towarzysza
Prócz człowieka do usługi;
Kozak, komin, nocna cisza,
To młodości mentor drugi.

Z Ukrainy był on rodem,
Tęsknił po niej jak po raj, —
Bo wiązała go z narodem
Pieśń od Dniepru i Dunaju.
W zamku zwano go Sokołem,
Boć sokole miał też oko,
W świat poglądał hardém czołem;
A już serce tak wysoko
Nosił w piersi — że z postaci
Niktby pewnie go nie ganił
Wśród rycerskiej nawet braci,
Gdyby hufcom zahetmanił. —
Słów nie wiele — wiele treści,
Wiele życia w oku, w ruchu,
W sercu wiele miał boleści
I rozpaczy pięknej w duchu.
Jednym słowem umiał zganić,
Lub przytulić i pochwalić,
Umiał rzutem oka zranić,
I pochwycić lub zapalić. —

On to serce me zagrzewał,
I do konia mnie układał,
I wieczorem dumy śpiewał,
Nocą gadki opowiadał.

I pod niego, chłopię małe,
Jam się tulił w tém zamczysku —
I wieczory, noce całe
Siadywałem przy ognisku.
I przy jego pieśni dźwięku
Jam usypiał mu na ręku.

„Dziś paniczu wyście młodzi;
Lecz gdy dojdą wasze lata,
Znać wam trzeba, że ze świata
Milczkiem schodzić się nie godzi!...

„Wiele w świecie się przedziało,
Dział się będzie jeszcze wiele;
W stepach mogił tam nie mało
I nie mało dusz jest w ciele...”

Tak mi mawiał — a ta gadka
I ta jego pieśń ponura,
To mych pierwszych natchnień matka,
To mój Homer i Padura!

I po dziś dzień w duszy jeszcze
Grają jego pieśni wieszczę;
Gdy świat zmroczy mgła jesienna,
Gdy zatęsknię do ogniska,
Gdy nadchodzi noc bezsenna
A pierś ciężko coś uciska:

To po dziś dzień wielki Boże!
Jak się wsłucham w nocną ciszę,
Jak się w tamte czasy wdrożę,
To pieśń jego jeszcze słyszę,

Jak od stepów, jak od szlaku....

.
Gdzieżeś? gdzieżeś, mój śpiewaku?!

III.

Stary zamek zamierzchł w dali,
I ów ogień zgasł o ranku,
Moi drodzy pozostali,
Płacząc oba na krużganku.

I po smutnych dniach podróży,
W nowém siadłem znów gniazdeczku;
Kościół, klasztor przy miasteczku;
A poniżej był staw duży.

Inne strony, inni ludzie....
Ale póki młodość służy,
Zawsze jeszcze cud po cudzie, —
I o szczęściu serce wróży.

Wszystko tutaj było nowe,
Wszystkom brał też sercem chciwie;
A że było proste, zdrowe,
Lgło do duszy miłościwie.

Piękny widok był z mój celi,
W którąm tylko strzelił stronę:
Na obrazy świat się dzieli,
W Boże barwy ustrojone!

Tam ze wschodu świeci zorza,
Tam ogródki i dworeczki,

Między łąki, między zboża
Płyną drogi i ścieżeczki.

Z drugiej strony staw i rzeka,
I dąbrowa gdzieś daleka,
A jak łabędź na pogodzie,
Pławi łódka się po wodzie;
Czasem zarzy koń od rzeki,
Czasem padnie strzał daleki.

Staw ogromny jak jezioro,
Kilka młynów, grobla długa,
Na łotokach szumi struga,
I rybackie ognie gorą....

Z książką w ręku tam bywało,
Chodzę sobie po nad brzegiem...
A gdy zmierzchać poczynało,
Puszczam myśli z tych wód biegiem.
I tak długo w myślach tonę,
Aż już niebo wyiskrzone,
Ukąpane w nocnej fali,
Nad myślami się użali.

Raz gdym siedział zadumany,
Posłyszałem głos nieznany,
Co gdzieś z głębi wód dobiegał,
I tajemnie mnie ostrzegał:

„Ej paniczu! ej ostrożnie!
W głębią patrzeć to bezbożnie!
Bo topielec bywa w głębi...
A jak serce wam wyiębi,
I oślepi i omami,
To wpadniecie do niej sami“....

— Kto tam? — pytam, bo już ciemno
Było w koło, — aż tu w biegu
Łódź pomknęła się po brzegu,
A człek jakiś stał przedemną.

Serce zdjęła zimna trwoga,
Lecz, że witał w imię Boga,
Zatrwożenie było krótkie,
I skoczyłem w jego łódkę.

— Po co? na co? — nie wiem wcale!
I tak lekko niosły fale,
Żem nie pytał. — Bo któż pyta,
Gdy za serce urok chwyta?

W czarnoksiężskim stałem kole,
Pośród toni na tój łodzi —
Gwiazdy w górze, gwiazdy w dole,
A dnem cicha ryba chodzi....

Na tajemne wód przezrocze
Mgła rzuciła swe warkocze,
Dzikich ptaków senne gwary
Przerywały czasem ciszę,
Gdy się łódka zakołysze,
Pomykając przez szuwary.

I znów cicho — boska jazda,
Bo przed łódką wiecznie gwiazda,
A za łódką z gwiazd usłana
Płynie dróżka karbowana.

Ile kropel bryźnie z sieci,
Tyle nocnych pereł świeci,

I na fali znowu uśnie;
Czasem tylko ryba pluśnie,
Czasem tylko czajka w dali,
Z wierzchowiny się pożali....

Świat był cichy — duch ohotny —
Toń zakłęta dziwną mocą;
I szczęśliwy był trzykrotny
Połów ryby przed północą....

Na me szczęście sieć rzucona
Powracała napełniona,
A mnie serce w piersiach rośło,
Kiedym wracał do noclegu...
I odłożył rybak wiosło,
I żegnając mnie u brzegu,
Błogosławił mój młodości:
„Dajże Boże takich gości,
I niebieską pokrzep rosą,
Co biednemu szczęście niosą!“

I od owój chwili czystej
Na dnie toni myślą siadłem;
Ach i nieba sklep gwiazdzisty
Stał się odtąd mem zwierciadłem.

I szczęśliwy-m biegł w tę drogę,
Że się komuś przydać mogę;
I gdym stanął na tym brzegu,
Łódź zwracała ku mnie w biegu.
I ów rybak witał z łodzi
Jako dobrej wróżby pośła,
Bo łódź rybę ledwo niosła...
Tak bywało łów się godzi —

I te noce tajemnicze
Dotąd ja do cudów liczę!

Gdzie natchnienie biorąc z góry
Pośród niemych towarzyszy,
Podsłuchiłem w nocnej ciszy
I nie jeden głos natury,
I nie jedną tajemnicę,
Co się po dniu nie odgadnie —
Lecz wybije jak na lice,
Gdy się nocą duch wykradnie,
I ku gwiazdom w niebo dąży,
I z sferami razem krąży!

Gdzież te czasy? któż je liczy?
Kiedym w owęj łódce stawał?
Kiedym drugim szczęście dawał?
Gdzieżeś? gdzieżeś mój stawniczy? —

IV.

Jak gdy wiosną wzbiera woda,
Niesie łódkę na swęj fali,
Tak też płynie dusza młoda
Prądem życia coraz dalej!

Boga Ojca przeczuwałem
Cichym rankiem przy pszczoł brzęku;
Zbawiciela ukochałem
Po kapłańskim idąc ręku. —
A Duch Święty łaskę dawał,
Kiedym w owęj łódce stawał,
I natchnienie w piersiach rosło,

W ciszy, w modłach z łask poczęte...
I Plutarcha, Pismo - Święte,
I pieśń nocną serce niosło!...

Z tą więc łaską Trójcy Świętej
I z tym skarbem duszy młodej
W kolój życia raz popchnięty
Nie lękałem się przygody.
Ranek życia był słoneczny,
Więc za słońcem w świat szeroki
Kierowałem moje kroki,
Lub za radą drogi mlecznej!

Bo mi mówił głos tajemny:
Kto na gwiazdy się kieruje,
Nie zaginie w toni ciemnej,
Ale perły z dusz wykluje!

Na dno życia! na dnie waga!
Na dnie tylko prawda naga!
I natchnienie rwie się z głębi,
Kiedy w sercu krew zakłębi!

W głąb też poszło wszystko we mnie,
Gdzie duch ludzki nie zapadnie,
I wzrastało tam tajemnie,
Jako rośnie perła na dnie. —
A czém głębiej się zanurzył
Duch mój, nurek, w toń bezdenną,
Tém też bardziej świat się chmurzył,
I chodziłem z duszą senną.
W duchy, w gwiazdy rosła wiara,
A dzień ciężył mi jak kara,
Wszystkie perły na dnie morza,

Wszystkie Boże gwiazdy znałem;
Lecz gdy ranna błysła zorza,
To jak zbrodzień przed nią drzałem.
I już ledwo do zachodu,
Że mi stało w piersiach tchnienia,
Tak pragnęła dusza chłodu,
Chłodu, ciszy, gwiazdy, cienia. —
Boć i kwietny i owocny
Był dla duszy żywot nocny.
Boć tam miło w Bożym domu;
A nie było ostrzedz komu:
„Ej paniczu! ej ostrożnie
W głębię patrzeć — to bezbożnie!“

Szczęściem było, że me kroki
Mój stróż Anioł poprowadził;
Aż przebrnąłem nocne mroki,
Aż śród sadu mnie posadził. —

Gdym się zbudził, patrzę w koło
Jakaś wioska i zacisze,
I wiosenno i wesoło,
I głos jakiś w sadzie słyszę,

I śmiech jakiś tak szczęśliwy,
Że do razu mną zawładał,
Jakby urwał się z drój żywy,
I od nieba w serce padał. —
A więc za nim biegłem drogą,
Lecz nie było już nikogo....

Głos to Nimfy, czy Dryady?
Że tak znikła — między sady....

Choć gałązka jeszcze drżała
Gdzie jęć ręka kwiat zerwała ...

W pośród sadu cienistego
Stał na baszcie dwór Łowczego,
A dwór drugi stał za sadem,
I pan Łowczy był sąsiadem.

Stary szlachcic kochał rolę,
Sady, pszczoły, konie chował,
Ani kupczył, ni budował....
A gdy wyszedł, chyba w pole,
Ale dalej ani kroku
Od owego jeszcze roku,
Jak markotny z sejmu wrócił
I do skrzyni szablę rzucił:
„I ja wdowiec i ty wdowa!“
— Te ostatnie były słowa —
„Gdy cię Pan Bóg w pochwę schował,
Znać, już będzie sam wojował.“
I jak sobie to powiedział,
To już życie sam przesiedział,
I po sadzie tylko chodził,
Aż Bóg starość znów osłodził. —

Piękna córa mu urosła,
Wychowana gdzieś w klasztorze,
I w próg ojca szczęście wniosła,
Co osępiął w starym dworze.

Bo ożyły znowu głosy,
Słodkie, wdzięczne i ohotne,...

I te kąty tak samotne
Zapomniały na złe losy. —

Gdym raz pierwszy ją zobaczył,
I tę jasność od jej czoła,
Rozumiałem, że anioła
Głos pozdrowić duszę raczył. —

Włosy krucze, dziwnie lśniące,
Z rzęs padało iskr tysiące....
A jak włoskie niebo owe,
Takie oczy szafirowe. —

A gdy im się przyjrzeć padło,
To głębokie jak jezioro,
Co raz inne każdą porą,
A tak wierne jak zwierciadło....

Na te oczy i w tym progu
Jam też złożył śluby Bogu.

V.

Pośród sadu cienistego
Stał na baszcie dwór łowczego,
I w tym cichym starym dworze
Jam ślub złożył Tobie, Boże!
Wiernie służyć wiernej sprawie
I pocziwej ojców sławie,
I czić sercem, co jest święte,
I w światłości tam poczęte.
Noc to była — cicha, ciemna,
A jak przyszłość tak tajemna....

Przy otwartém oknie stałem,
Patrząc w gwiazdy u jęj boku,
A gdym przysiągł — łzę ujrzałem,
Łzę anielską i w jęj oku.
Ach i ręki jęj ściśnieniem
Utwierdzony, pożegnany
Niby świętém namaszczeniem,
Jam się rzucił w świat nieznany.

To ostatnia chwila złota
W owęj nocy, w owym dworze....
A na resztę dni żywota
Spuść zasłonę Wielki Boże!

Bo w krzyżowe życia drogi
Szedłem długo i ochotnie,
A dziś idę już samotnie,
Cichy w sercu i ubogi. —

Nie ma przed kim się pochwalić,
Co udało się ofiarą,
I potężną serca wiarą
Wyrwać z toni i ocalić. —

Nie ma komu się pożalić,
Że co drogie i co święte,
Tak na opak w świecie pchnięte!
Ale śluby wiecznie święte!!

Com zaprzysiągł owęj nocy
Przy Twęj łasce i w tęg mocy,
Jam dotrzymał, Wielki Boże!
I uszczknąłem rószczkę z dębu,
Co stał jeden pośród zrębu,
Ale komuż ją dziś złożę?

Któż to waży moje śluby,
 W całą kolej życia wzięte?
 Czy zapyta mię głos luby,
 Co mi w życiu było święte? —

Któż mnie śledził po tój wstędze?
 Gdzież jest świadek mojej drogi?
 Sławę cisnął świat pod nogi...
 Ja mu rzucam moją nędzę!

Bo z wszystkiego mię odarto,
 Co od Boga było dane; —
 A więc kwita — bo zmazane
 Krwawe życie — krwawą kartą!

O jest wielka natchnień wstęga,
 Co sojusze ziemskie sprzęga,
 I w miłości tu poczęta,
 Na tój ziemi się nie kończy;
 Lecz tysiące duchów łączy,
 Jako perły w jednym sznurze,
 I tysiące serc ozłaca;
 Aż nareście w niebo wzięta
 Płynie tęczą tam ku górze
 I do źródła swego wraca. —

Jam nie zerwał nici świętej
 Z natchnień przedzy tam poczętej,
 Lecz to pewna, Wielki Boże!
 Kiedy w złości ją zerwano,
 To garś pereł rozsypano,
 I nikt związać jej nie może. —
 I już iskra nie przeleci



Po téj nici Bożém drganiem,
I ni szczęściem ni kochaniem
W sercach więcéj nie zaświeci.
Bo już skrzydło Archanioła
Uleciało z tego koła,
A w ubóstwie i na grudzie
Siedzą w smutku nędzni ludzie....

Więc nie można już nic było
Zdobyć sercem ani siłą?
Ni sumieniem, ani ręką,
Ani pracą, ani męką? —

Ni wybawić, ni ustalić
Ni miłością, ni natchnieniem?
Ni odkupić, ni ocalić
Tak pięknego ranku tchnieniem....?

A więc wszystko już daremne?
Więc po pracy iść na trwogę?
I koleje takie ciemne,
Że już niema łąy na drogę!

Więc poezją to nazwano,
Co tak pięknie i tak rano
Zeszło duszy w łasce Bożéj?
Przed czém młodzian nie raz klęknął?
Pod czém w mękach mąż zajęknął?
Czemu starzec się ukorzy?

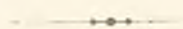
Próżne zale i zaklęcia....
Bo kto z wiarą szedł na czele,
I do dania kto miał wiele,
Ten nic nie ma już do wzięcia!

Ztąd nie pytam, gdzie ta droga,
Ach i dokąd się przewali,
Byle tylko na niej dalej
Nas trzymała ręka Boga.

Bo czém tylko przeszłość świeci,
I co blask po ziemi nieci,
To poczęło się w miłości,
Na dnie duszy i sumienia
Stało siłą poświęcenia,
A nam przeszło w krew i w kości!

II.

CIERPIENIA BEZ CENY
I TRENY — NIE TRENY.



JAKO BYWAŁO.

Jako bywało — tak będzie zawdy:
We śnie, spoczynku — w pracy, pokoju,
A w prostém sercu czucia i prawdy,
A czystej wody szukaj u źródła —
A jeżeli wszystko, wszystko zawiedzie,
Nie my ostatni, nie my na przedzie.
Więc z Bogiem bracie! i za drugimi
Składaj to wszystko w Bogu, a w ziemi!

Boć skarby życia ten odniósł w zysku,
Kto i po Bogu i w dobrej wierze
Największe prawdy najprościej bierze,
I na króciutkiem ma toporzysku.
Kto i to robi i o tém radzi,
Co mu po ojcu i dziadu padło,
I znaną drogą konia prowadzi,
A i tam siedzi, gdzie im się siadło.

Bo choć wybiegniesz w bucie młodzieńczej
Na inne drogi, na inne światy,
To przecież skronie tylko uwieńczy
Szczęściem ten widok rodzinnéj chaty;
Bo choćbyś drogi świata zrozumiał,

A nawet dziejów dożył na sobie,
Obroną ręką z walki wyjść umiał
I nie zapłakał na żadnym grobie! —

Przecież z pielgrzymki wrócisz dalekiej
Bardzo spragniony do skarbów naszych:
Do tego sadu, do téj pasieki,
I do tych samych gniazdeczek ptaszyc,
Coś je wykręcał chłopakiem psotnym...
Wrócisz spokojnie, wrócisz samotnym,
I ujrzysz prawdę w życiu roślinném,
I w tém zwierzątku, które bez grzechu,
I ujrzysz prawdę w dziecku niewinném,
W jego szczebiotach, w jego uśmiechu:
I chociaż wówczas innym już będziesz,
Gdy przy ognisku, lub w cieniu siedziesz,
Jednak łzę otrzesz na głos skowronka,
Lub na wołanie wiejskiego dzwonka.

Bo kędy myślą tylko uderzysz,
I czy uwierzysz, bracie, czy zmierzysz:
Po wszystkiej ziemi znajdziesz ład wszelki,
Bo świat jest Boży — a Bóg jest wielki!
I nie to wielkie, co bywa szumne,
Ani to wielkie, co siłą dumne,
Ani to wielkie, czego nie zmierzyć;
Jedno to wielkie — w co człeku wierzyć,
Jeno to wdzięczne, co człeku grzeczne
A jako sprawy Boże — jest wieczne...

I nie ta ziemia przed insze sławna,
Gdzie wiele ludu i bogactw zdawna;
Lecz onéj ziemi nad insze chwała,
Kędy ta czeladź pańska dojrzała,

Kędy człek poznał Boga na niebie
A świętą prawdę doma u siebie;
I w onęj ziemi to już najpiérwsze,
Co ci od pieluch było najszczérsze:
Więc rola twoja, więc dom ojcowy,
I one wdzięczne stare dąbrowy,
Więc i mogiły, gdzie dziadów kości,
Toć twoje skarby, toć tve miłości,
Toć wieczne sercu twemu kochanie . . .
Bo wiele minie — a to zostanie! —

DO GOPLA.

Ziemicą Piasta szeroko rozlane
Witaj nam, witaj Gopło Kujawiane!
Jak tło przeszłości fale twoje ciemne,
Jak powieść ludu głębie twe tajemne! . . .

Powiedz mi, powiedz, czy morzu naszemu
Świat cześć oddaje jeszcze po staremu?
Czy się korabie po twych falach pławią?
Czy słuchasz modłów pobożnych żeglarzy?
Czy wiosna pieśnią wita cię żórawią?
Czy orzeł jeszcze nad tobą się waży! —

— Dawno już dawno po mojej tu wodzie
Nie chodzą więcej te ładowne łodzie —
Nie słyszę modłów — nie widzę żórawi,
Ani się orzeł po powietrzu pławi;
Ale się niebo przeziera w mój fali,
A czasem gwiazda nad nią się uzali.

Ż A L E.

Już to ubiegło gdzieś lat tysiąc blisko,
A jeszcze świadczy pogańskie Żalisko
Owym to dziejom z tamtej strony Krzyża,
I z trwogą serce do „Żalów“ się zbliża:
Bo i tu pono świat serdecznie bolał,
I bardzo kochał — to, co łzami polał . . .

Na wierzchu ziemi ileż tutaj wrzawy?
A tam pod ziemią jakaż cisza głucha?
Bo cała praca żywota i ducha
Składa spokojnie wszystkie swoje sprawy
Po wielkiej wrzawie w małą popielnicę . . .
I stawia przy niej na straży łzawnicę . . .

A przecież w małej popielnicy leży
Wszystko zebrane na króciutki wici,
Czém człowiek stoi—co kocha—w co wierzy,
I czém się jeszcze u potomnych szczyci:
Bo popiół zacnych i krew serc ognistych,
I zbroje dzielnych — i ofiary czystych . . .

I stare „Zale“ — o to Księga stara!
A choć nie bardzo czytelna ta księga,
Lecz że człek tutaj przez łzawnicę sięga
Po przeszłe dzieje: więc wszystkiemu wiara,
Co popielnica od wieków tu chowa,
I wszystko świadczy—prócz ducha i słowa.- -

DO ODRY.

Odro graniczna!

Odro prześliczna!

Siostro! co bieżysz młodszych Piastów krajem,
My tobie wdzięcznie wszystką Wartę dajem:
A ty, by gniewna, jedno naś pominiesz,
I nie kochana na kraj morza płyniesz.

„Nie dziw się, bracie! że mi od was śpieszno,
Bo mi obmywać przyszło wiarę grzeszną,
Tom rada od niej wypocząć zdaleka,
A tam Rujana na mój uścisk czeka;
Więc miło spocząć i strapionej wdowie
Po ciężkiej drodze na bożem ostrowie . . .

B A L T Y K.

Jeszcze po świecie starożytnym słynne
Były te wody i lądy bursztynne!
Ku nim to Fenik biegał w bród daleki,
Ku nim Słowianin korabli czeredą
Pływał — i kupię składał pod Wenedą.
Ku nim to, ku nim, płyną nasze rzeki —
Co ziemia zrodzi i co kmieć przysporzy,
Chętnie i cało odnosim w czas boży...
Co jeno Bóg dał — to domowe łodzie
Niosą im w darze po gościnnéj wodzie.
Ale jak stara wiecznie boli blizna,
Tak od północy wieje Pomorszczyzna...

DO TATR.

Odwiecznych Tatrów strażnice Piastowe
Z dawnaście znane, a wiecznieście nowe!
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i źrenica wiecznie tutaj gością . . .
Z wami przenigdy myśl się nie oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością.
Bo nie wzięść myślą, co oko zakreśli,
Ani wzięść okiem, co ogarną myśli . . .
Ani was ująć, ni duchem wyświecić,
Ni w was się wcielić, ni nad was wylecieć.
Tu hardość ducha mierzy się z naturą,
I rozegrana — bo nikomu górą . . .
I gdyby nie lud, co dumne te czoła
I te przepaści oplątał ścieżkami,
I prostym zmysłem zaludnił do koła
Ten świat w obłokach swojemi gadkami . . .
Gdyby nie powieść, co swemi uśmiechy
Rozjaśnia wasze ponure milczenie —
Widok ogromu byłby bez pociechy,
Bo duch pojmuje tylko ducha tchnienie . . .
A wy strażnice śniegami świecące,
Stoicie wiecznie, niemo i surowo
I dla tych ludzkich pokoleń milczące,
Odkąd w was Boże skamieniało słowo!

DO WISŁY.

Śpiewał Klonowicz niegdyś twoje wdzięki,
Kiedy na twoich falach się kołysał,
I mówił kreśląc o „Flisie“ piosenki:
„By to być mogło, radbym złotem pisał
„Twoje pożytki, porty a i wstręty.“
A ile razy patrzę na twe wody,
I na te stare po twych brzegach grody,
A po przylądkach widzę krzyż zatknięty,
Stają przed duszą starzy gospodarze,
Wielcy dziedzice twojego porzecza...
I z Klonowiczem o tym „Flisie“ marzę,
I o oraczach od krzyża i miecza. —

Miło spoglądać Wisło na twe nurty,
Na te ładowne złotym darem burty...
Lecz jam cię poznał, gdzieś u źródła trysła,
Gdzie cię „Wiselką“ góral zwie w miłości;
Toś też mi miłą niby dziecię Wisła,
Bom ja ukochał, co kochają prości,
I tak rozumiem, gdy na ciebie patrzę,
Że to i dobrze i znamy się dawno...
I lica Twoje — dużo dla mnie gładsze,
Bo znam Cię dzieckiem i niewiastą sławną.

Gdym u kolebki tego dziecka marzył,
Orzeł tatrzański nad głową się ważył,
I rzekł mi góral: „W naszej tutaj stronie
Zwą ją „Wisetką,“ bo wesoła, młoda,
I jest „Wisetką,“ nim minie Ustronie;
Tak ją nazwano tu w górach i rano,
A co tam dalej jęj na wiano dano,
To pono lepiej Wy panoczku wiecie,
Co tam szeroko chodzicie po świecie.“

DO ŁANÓW.

Łany i łany — jak zasięże oko!
I miło sercu, i duszy szeroko,
Gdy wpław się puści po tój kłosów fali
I żyźnym światem płynie coraz dalej.

Więc witaj w Bogu ziemio urodzaju!
Błogosławieństwa! witaj chlebny kraju!

Jak czysta rozkosz cieszyć się bławatkiem,
I ludzkich dzieci szczęśliwym dostatkim!
Jak wielka siła, co tworzy spokojnie,
Jak wielka łaska, co tak darzy chojnie!

Ileż miłości po tych miedzach siadło!
Z czyjjej to ręki tyle ziarna padło?
Ileż nadziei zdano w dobrej wierze,
A nikt tych skarbów na polu nie strzeże?

Wielkie to znaki Opatrzności Bożej,
Że nad tём ziarnem sam Pan tylko czuwa,
I niebem swoim ponad rolę suwa,
Gdy kmieć na roli ziarno już położy.

Krzyżowa droga w łąkach się przewija,
I na rozstajnej drodze stoją krzyże,
I polny konik swoją piosnkę strzyże,
I płyną kłosa -- lecz nie wiedzieć czyja
Miedza i rola i rozstajna droga?
Kto tutaj ziarno rzucił w dobrej wierze?
Kto krzyż postawił i poczczył tu Boga?
I czyja ręka ten plon jeszcze zbierze?

DO NIEMNA.

Powiedz mi, Niemnie! puszcz obywatelu,
Które ci strony twych porzeczy miłe? —
Któreś ukochał z tych zabrzeży wielu?
Czy leśne łąki i puszcze zawile?
Czy piękne skały, kędy płyniesz kręto,
Gdzie twe zabrzeża strojne jak na święto
Wdzięcznie się sklepią gajmi lipowemi,
I miło szumią wodami leśnemi?

Czyliś ukochał może te powiaty,
Gdzie, jak kniaź Litwy władny i bogaty,
I nie ujęty w obcej woli karby,
Na morze niesiesz stariej Litwy skarby?
— Pytasz? Czy sądzisz, że ja nie mam serca,
Kiedy się z sercem po mych brzegach rodzą?
Miłać woń wprawdzie leśnego kobierca,
Lubię szum puszczy, gdy nią wiatry wodzą.

Lubię zakręty skalistych ustroni,
I woń miodową, którą lipa roni;
Ale najcudniej świat mi się układa,
Gdzie droga Wilija w me ramiona pada,
I najwdzięczniejsza Kowieńska dolina
W całym dziedzictwie kniazia Giedymina....
Bo jak kobierzec ślubny się rozściela
I wiecznie świadkiem naszego wesela....

DO PUSZCZY.

Co to za dziwne, co za Boże głosy,
Jeżeli je dusza w natchnieniu zrozumieć:
Kiedy nad głową cała puszcza szumi
I swych pokoleń opowiada losy!

Niby na morzu płyną wielkie fale
Wierzchem sklepienia --- gaiste --- swobodne ---
Sporne --- niesporne i zgodne --- niezgodne ---
Groźby --- niegroźby i żale --- nie żale:
Lecz wszystkie razem tak wielkiego tchnienia,
Jakby im poszło gdzieś od słów stworzenia!
Co znów za urok! kiedy głucho stanie
Odwieczna puszcza na Boże zaranie!
Nieme olbrzymy stają niby we śnie,
Jednak duch taki zpod tych sklepień wieje,
Że całych wieków --- a bezkrwawe dzieje ---
Stają do razu! stają tu współcześnie,
Życiem zielone, i potęgą żywe,
A jako słowo stworzenia szczęśliwe!

Puszcza --- to wielka jest natury księga!
Niema --- a mówi, kto ją duchem pyta,
I kto do dziejów i natury sięga,
Z niej tylko cząstkę tajemnic odczyta....

DO DNIEPRA.

Dnieprze! co płyniesz Ukrainą żyzną,
Starą rycerzy i mogił ojczyzną,
Powiedz — kto tobie tyle wody dawa?
I czemu w świecie ogłuchła twa sława?
Czemu tak z góry poszło tobie Dnieprze,
Że świat o tobie zabył co w najlepsze...
Czy złota Ławra już nie błogosławi,
Że cię mogiła tylko jeszcze sławi?

— Od ujścia mego aż do wierzchowiny
Siedmset i cztery rzek z kolei padło,
I niż, porohów kozackie dziedziny,
I siedmdziesiąt ostrowów usiadło —
Siekierka znaczy i siekierka ścina,
I rozprószyła się moja drużyna,
Choć miała wiarę — nie miała miłości
I pozostały po niej tylko kości...

DO MORZA CZARNEGO.

Powiedz mi proszę — za co cię tak rano
„Morzem Gościnném“ po świecie nazwano?
Czyś to tak wiernie niosło twoich gości?
Czy na dnie twojém nie leżą ich kości?
Czyliś darzyło tak drogiemi dary,
Że we czci miewał ciebie już świat stary?

— Ni to ni owo! Ot bajki wierutne!
Nie o mię człeku dobra wieść to chodzi;
Tonie me czarne i jak smętarz smutne...
Na dnie bez liku i kości i łodzi...
Ja tylko biorę — tylko burzę daję —
Lecz po mych brzegach są tam piękne kraje.

„Hen tam na północ i tam od zachodu
Tam w czarnej ziemi zasiedli gazdowie
Wielkiego szczepu, sławnego narodu,
A Dniepr i Dunaj zdawna ich posłowie
Oni to oni gościli przybyszy,
Że świat dziś jeszcze o gościnie słyszy

„Bo tam gościna puścizną po Bogu,
Więc głosy serca nie cedzą przez zęby,
Lecz chlebem gościa witają u progu
I plackiem do nóg, pirogiem do gęby
I po te czasy obyczaj ten samy,
Choć lis borsuka wyparował z jamy.“

DOMOWE BOGI.

Rodzinna strzecho! i wiejski kościółku!
Jakby nie było — gdzieby się nie zwrócić . . .
Wiecznie wracacie jak w zaklętém kółku,
By skrzepłą duszę ku miłości cucić

I wiecznie, wiecznie jakby głos skowronka,
Każdej się wiosny odzywa tęsknota
Do owéj strzechy i tego kościółka,
Gdzie nam świeciła z młodu zorza złota!

A czy szczęśliwie, czy tam padło marnie:
Ojczystej lipy najcienistsze chłody,
Rodzinnéj wioski najzieleńsze darnie,
Domowych zdrojów najweselsze wody.

Bo jak stróż Anioł, jak Anioł pociechy,
Postać rodziców górą się unosi,
Co młodość strzegła — a dziś może grzechy —
I dla nas w niebie, tam, o łaskę prosi

DO DŹWINY.

Gdzieś tam z północy dziki wicher rwie się —
I głucho idą w świat mowy
O źródłach Dźwiny, o tym wilczym lesie,
I wierzchowinie Dnieprowej!

-- Czego to wicherze tak się rwiesz z północkska,
I gdzie to płyniesz ty Dźwino Połocka?

— Gdziebym płynęła? ja płynę na morze . . .

— Lecz gdzie wam droga?

— My płyniemy do Rygi!

— A co wieciecie? —

— I miody i zboże!

— Cóż wam da Ryga? —

— Jużciż pewno figi!

ŚWIĘTE OGNIE.

O święte ognie odwiecznej Sobótki
Latem płonące i na nocy krótkiej!
Jakże uroczy i jakże ochotny
Widok wasz duszy, choć taki przelotny?

Wami odnawia lud stare przymierze,
Kiedy dzień wielkich ślubowin nadchodzi
Z Bogiem — i z ognia tak się miłość rodzi,
Jak szedł po Bogu ogień w starzej wierze.

Gdy błędne ognie zgasną już na ziemi,
Każdy ku niebu zwraca znowu oko:
Gdzie wieczne prawdy gwiazdami jasnemi
Są zapisane długo i szeroko

Samotne ognie po polach płonące!
Z jakiemż uczuciem człowiek was spostrzega,
Kiedy daleko do wsi i do brzegu,
A tu i nogi — ach i serce drzące!

I zgadnąć trudno, co to tam zdaleka....
Z kim się tam zetknie? i co go tam czeka?
Czy iść za ogniem? czyli się bić dalej
Po ciemnej drodze lub zburzonej fali.

Samotne ognie! wami to odnawia
Człowiek z człowiekiem znów przymierze stare;
I choć to światło w podróży nie zbawia,
Budzi na chwilę w sercu znowu wiarę.

O ciche ognie! gdy błysniecie siołem
Późno wieczorem lub rano do świta,
Z jakimż to sercem tęsknłem i wesołem
Człowiek te światła po okienkach wita?

Wami odnawia człek przymierze z domem....
I choć się dawno odbił od swych progów,
Do was się zbliża z tym dziecinnym sromem,
Z tą czcią, co chował dla domowych bogów.

Bo choć to obca i nieznana strzecha,
Komuś tam pod nią rośnie i pociecha;
I przy tym ogniu wszystko się ogrzewa,
Co i po Bogu i po ludziach bywa.

Płońcież Sobótki! święte i ohotne
Na ziemi ojców starą sprawą ładne!
I wy po polach ogniska samotne!
I wy po chatach światelka gromadne!

Bo kiedy ciemno, niech straszna zawieja
Nie błąka duszy wśród bezdrożnych cieni:
Lecz niechaj miłość rośnie jej z płomieni,
Wiara z człowieka, a z domu nadzieja.

Bo i bez Boga bardzo wielu błądzi,
I bez człowieka żywot nie raz minie....
I domu Pan Bóg nie każdemu sądzi,
A bez ogniska iluż to nie ginie?

SKOWRONEK.

Skowroneczek furknął w glebie,
Zatrzepotał w drobne skrzydła:
I jak gdyby zwiśł u sidła,
Śpiewa ziemi pieśń na niebie.

O co prosisz skowroneczku,
Czy o pokój w twém gniazdeczku?
Czy o ziarnko — drobną miarką?
Czy o wody dla ochłody?

— Ja o szczęście proszę wioski,
Bom ja śpiewak Matki Boskiej!
A gdy ludziom dobrze, czule,
To i ja się gdzieś przytulę

— A więc lecę pod niebiosy
I niebieskiej błagam rosy,
Błagam burzy urodzajnej,
Aby rosła niwa, łąka.
Płodnej ciszy, ciepła, słonka . . .
I to pacierz mój zwyczajny.

DO DNIESTRU.

Jakby się Panu wystroił na święto
W skalistym jarze Dniestr posunął kręto . . .
I od gór sinych aż po Czarne morze
Słynie po świecie szumne jego łożo.

I wzbił się orzeł w stepach Akermanu,
I pyta Dniestru: „Co to niesiesz Panu?
I coś to widział Dniestrze w twoim biegu?
I co się dzieje po oboim brzegu?“

— „Górskie potoki szumią w górach wiosną,
I stare buki nad przepaścią rosna;
Dalej się pasą w błoniach siwe stada,
I w jar skalisty Podole opada;
I nagie ścianki świecą z poza sadu,
I pnie się w słońcu różyczka winogrodu,
I stare grody świadczą staréj sławie.

Lecz kiedym znalazł w nurtach stare znaki,
Kości rycérzy i z krzyżem szyszaki,
I białe orły ujrział przy Ładawie,
Tom się tak bardzo w mym biegu zasmucił,
Żem się na przepaść na Porohach rzucił,
I nie pocieszon nawet ziemią żyzną,
Ślęczę ku morzu i konam mielizną.“

ŻÓRAWIE I BOCIANY.

Szczęśliwi posłowie! powietrzni żeglarze!
Powiedźcie? kto lecieć w narody wam każe
Z tą wieścią pogody i ciepłej już rosy?
I czemu dla świata tak miłe te głosy? —

Kto was to tej drogi i pieśni tak uczy?
I co to się w duszy i budzi i sieje,
Gdy łańcuch żórawi w niebiesiech zakruczy,
Że serce tak bije i oko młodnieje? —

Bo każdy was śledzi i każdy was wita,
I każdy poznaje na niebie po wrzawie,
I nieba i serca o wieści się pyta:
„Héj lecą i kruczają! Żórawie! Żórawie!”

A całe już lato nie słychać żórawia —
Lecz bocian się pora nad strzechą klekotem,
I stare swe gniazdo na wiosnę odnawia,
I sioło okrąża stróżliwym swym lotem.

I żóraw obudził a bocian weselił...
I zbiegło tak lato, jak z bicza wystrzelił...
Wiatr powiał po ścierni. — „Na Spasa, na Spasa,
Bociany do cieplic, a bąki do lasa.“
I każdy się cicho ogląda na ściany,
I westchnie boleśnie: już lecą bociany“!...

DO BOHU.

Stepowy Bohu! światu niegdyś święty!
Czemu nie zmieniasz nigdy twego łoża?
— Bo odkąd płynę, w skały jestem wzięty,
I znać, już taka pono wola Boża,
Bym świętém łożem upływał do morza,
I nie nakładał drogi na wykręty....
— Więc ci tak dobrze?

— Dobrze, bom potrzebny
I nie mitrzęę.... boć kraj widzisz chlebny,
Może gdzieś piękniej, lecz tu syto bywa,
Step i pszenica — wół siwy i żniwa!
Wiem, że Dniestr szumny, że Dniepr w świecie
słynie,
Ale podobno nie dalej zapłynie;
Bo u jednego siedziemy limanu...
A gdy na jedno w świecie tu wychodzi,
Czyli kto prosto, czyli kręto brodzi,
To wolę z prosta służyć memu Panu.

DO MOGIŁ.

Cicho a cicho leży nasza matka,
Choć tyle razy kopyty zorana;
Niemo a niemo stoi jak zagadka
Stara mogiła w stepach usypana...

Jakiemże różném a różném obliczem
Ku niebu patrzy z tego wyniesienia;
Jakimże głosem dziwnie tajemniczym
Do żyjącego mówi pokolenia?...

Powiedz, co skryło głuche wnętrze twoje?
Czy stare bogi i ofiarne noże?
Czy cenne cacka i spiżowe zbroje?
Czy kości jakich bohaterów może?

— Lepiej nie wiedzieć, co się we mnie mieści,
Dość tobie na tém, żem przed wieki siadła,
I że nie jedna łza tu na mnie padła,
Nie jedno serce w cześci i w boleści,

Wiernie jak ziemia a jak słońce czyste
Tutaj poczczone na czasy wieczyste

Toć wiernie świadczę i niebu i ziemi,
Co się tu działo wiekami całemi;
I żal mi tylko, kiedy święte łoże
Człowiek bezbożny starym pługiem orze

DO STEPÓW.

Wieje od mogił Ukrainy śpiewnej
Wicher stepowy, przeciągły i rzewny,
I pod mogiłą drzy biedna bylina,
Bo jej wróżyła złowroga ptaszyna:
Że lada chwila młyniec nią pomiecie,
I w cztery wiatry rozniesie po świecie,
A jak, popędzi stepami na morze,
To i mogiły po drodze rozorze

Nie drzyj bylino! śpij mogiło sobie!
Już ja wam krzywdy podobno nie zrobię!
Ileż to razy jam w bylinach usnął,
Albo przeciągnął ponad niemi górą?
Ileż to razy jam mogiły musnął,
A czylim może gdzie rozorał którą?
Co mi to trwożyć bylinę biedotę?
Co mi to smucić mogiłę sierotę? —

Na tych tu stepach w dziedzictwie niemarném
Dwóch gospodarzy z Bożej woli gości,

I ja posiewam uroczyska ziarnem,
A w ślady moje świat posiewa kości.
Chociaż zaszumią czasem koło ucha,
Jak zaszumiała świata zawierucha,
Co wam do tego? co to komu szkodzi?
Mogła stoi — a bylina wschodzi...

DO ZIELONEGO BESKIDU.

Beskidzie graniczny! Beskidzie zielony!
Od Boga pomiędzy narody rzucony!
Coś źródła podzielił na morza, na dwoje,
O powiedz mi, powiedz! czy jeszcze twe zdroje
Tak żywo jak dawniej i grają i pienia?
Czy łąki się twoje jak dawniej zielenią?
Czy szumią twe lasy jak dawniej wesoło?
Czy trzmielą tak smukło te świerki w około?
Czy sklepią się jeszcze twe buki jak wprzód?
A jawor — czy chyli się jeszcze do wody? —

Beskidzie zielony! w trzy rzędy sadzony!
Beskidzie graniczny! Beskidzie kochany,
I chłodem jelenim i mgłami owiany...
Gdzież czasy są owe, gdym konno tam hasał,
Gdym serce i oczy po tobie ja pasał?
To wąsik się ledwo na twarzy mi pisał,
I świat mną, jak świerkiem wyniosłym kołysał...
A dzisiaj spoglądam Beskidzie w twe strony
Żałośnie — jak jawor nad wodą schylony...

CICHO A CICHO.

To stara cerkiew! — może rówiennica
Peczerskiej Ławry — bo dziwnie zakonna,
I w koło mury potężnie obronna.
Na staréj baszcie zawisła dzwonnica,
Na piękném wzgórzu najerzyła krzyże...
Poważna rzeka stopy góry liże,
Stare ją dęby obsiadły do koła,
A srebrny dzwonek na modlitwę woła...

Od wieków widzę rozwarta tu brama,
Jakby czekała dobrych wieści posta...
Kula kamienna, na w pół w ziemię wrosła,
Straż tutaj trzyma jeszcze tylko sama.
W starych strzelnicach kwitną polne róże,
A na wyłomie leżą działa duże...
Jedno znać pękło z ostatniego strzału —
A w drugiem zabił ktoś gwóźdź do zapału...
I w jedném uszał na samym wylocie
Ptaszek swe gniazdo — w drugiem mrówek krocie...

Już na smentarzu sterczą dwie mogiły
Tuż za wyłomem — więc wiem, kogo skryły,
Kiedy piołunem tak porosły sobie —
Nie darmoć piołun to rośnie na grobie:

Piołun — to hasło gorzkiego żywota,
Piołun na febrę zachwała prostota,
A tutaj rośnie — choć tylko dąb stary
Pamięta jeszcze rzezie i Tatary....

Na kropielnicę do wody święconej
Widzę tu stary moździerz obrócony....
A co zniszczenie i zagładę niosło,
To Panu Bogu na pocziwe wzrosło:
Po nad moździerzem wisi na uboczy
Obraz Maryi złocisty, uroczy,
I w tym ikonie widać sądy Boże,
Bo u stóp Maryi zawieszono noże
Z rzezi tatarskiej — razem z temi kwiaty,
Co je lud znosi Pani na objaty...
A i zwycięzkie i to zwyciężone,
Może się uciec tutaj pod obronę,
Choć z różną prośbą — razem czy nie razem:
Bo nie przepuści Bóg nikomu płazem.

Cicho a cicho — i głucho a głucho . . .
Brzęk tylko pszczoły uderza o ucho.
Legli hetmani — legli wojownicy . . .
I krew zaskrzepła — szczęśli najezdniczy . . .
I pozostała po nich tylko wzmianka . . .
Ale Najświętsza Korony hetmanka
Jak hetmaniła, tak światu hetmani,
I bierze kwiaty i modlitwy w dani.

Pan Bóg na pokój zamienił tu wojnę . . .
I wszystko ciche i wszystko spokojne . . .
Mrowie i piołun każdy rok rozmnaża,
I wielka cisza starego smentarza . . .

MAKOWE ZIARNKO.

Szeroko z młodu sięga umysł hardy:
Wiele miłości i wiele pogardy
Płynie przez duszę, a trudno o miarę
Więc miłość chłostą -- a dobro za karę!

Daleko biegłem -- bo serce tak wierzy,
Że co szczęśliwe, to daleko leży;
O wielem pytał w tój podróży wszędzie,
Bo mi się zdało, że z tём lepiej będzie,
Że to gdzieś, komuś, będzie tam potrzebne,
Więc zbieram ludzkie i ziemskie i niebne . . .

Często zwątpienia ogarnęła chmura,
Często w podróży zachwiały się nogi:
Bo praca ducha -- to wielka tortura!
Więc ustawałem często na w pół drogi.
A kiedym nieba i ziemi się pytał,
Za co mi taki żywot padł na ziemi?
Promień jutrzeńki po nocy niespanej
Ogniem miłości na niebie mnie witał...
I znów mówiłem dalej za lepszymi!
Dźwigaj się duchu przez Chrystusa rany!
I znowu brałem mój kostur do ręki,

I alбом zbierał lub nócił piosenki,..
Lecz wielkie drogi zdały mi się marne,
A małe ścieżki dla ducha niezdarne...
Tom też torował sobie drogę własną,
I wiecznie było samotnie i ciasno.

Zdała patrzałem na ów wdzięk niewieści,
Bom mówił sobie: nie mnie uśmiech błogi
Przez gęstą puszczy trwogi i boleści,
A nad przepaścią wiodły moje drogi...
Z smutkiem patrzałem na wdzięk cichęj strzechy,
Na dobrych ludzi od pracy i roli,
Bom znał — nie dla mnie w życiu te pociechy,
I że mi padła praca — która boli:
Zdalekam patrzył — jak się wielkość niosła,
Jak bracia w szczęście i dostatki rosła...
Patrzałem, stojąc w mym cieniu na stronie,
Jak sława jasne uwieńczyła skronie...
I wchodząc w siebie, tak mówiłem sobie:
„Królestwo moje nie jest tego świata,
I wielkość u nas jeszcze nie na dobie,
I niechaj szczęście wybranych oplata...
Dla czystej sławy nie ma jeszcze pola!
W cichości serca trzeba się sposobić,
Wprzód urość musi i praca i wola.
Trzeba odkupić — stracone odrobić...
A jeśli takie są wyroki Boże,
To ktoś tam kiedyś na tém urość może,
I cichy sercem w równiej ziemi siedzie,
I wielką władzę odziedziczą prości;
Ktoś tam szczęśliwym — ktoś i sławnym będzie,
A niezłamany urośnie w wielkości.
I będą kiedyś, o będą tam tacy,
Choć nam padł żywot „w pracy i bez płacy.“

Dziwne sny miałem i dobre natchnienia,
Lecz trudno było je duszy wywieścić:
Bo wiecznie, wiecznie, trzymały się cienia...
I nawet boleść nie mogła je streścić.
Gdym się z nią nosił — głos jakiś tajemny
Ozwał się do mnie raz wśród nocy ciemnej:

„Puść się w świat Boży! — wielkiego posiewu
Szeroko w świecie Pan rozrzucił ziarna;
I co ma urość — rośnie z tego krzewu...
I bez miłości wszelka sprawa marna.
Żywe a żywe co z niej nie wychłódkło...
I jest i prawda i droga i źródło!“ —

Za tym więc głosem szedłem coraz ciszej
Bez opatrzenia i bez towarzyszy...
I było ciągle i kopno i grudno,
Łamać się z sobą i ze światem trudno,
Czém mniej żądałem, tém mniej świat mi dawał,
Ale podcinał, gdym strudzony stawał...

Lecz wielkie były i serca pociechy,
I wiele wdzięku i wiele uroku,
Kiedy świat Boży grał w duszy i w oku,
Kiedy mnie owiał wielkimi oddechy!
I wybijały wielkie tajemnice,
I w cichych źródłach i w rumieńcu róży,
Na nocnym niebie, i na jezior lice,
W uroczej ciszy i w straszliwej burzy...

Bez towarzyszy i bez przewodnika
Idąc tą drogą po ziemi milczącej,
Trzeba się było aż uczyć języka,
Jakim przemawiał ów świat niemówiący:

Za to, co mija i bywa stateczne,
Za to, co zmarło, i za to, co żywe,
I za doczesne i za to, co wieczne,
I po wsze czasy ziemi miłościwe...

A więc pytałem źródła, idąc krajem:
Zkąd się to tyle czystej wody bierze?
I komu czyste niesiecie w ofierze? —
I rzekły do mnie: „Kochaj, bo my dajemy!”

Pytałem lasów starodrzewnych w ciszy:
Co w waszym cieniu tak uroczy dyszy?
I rzekły do mnie: „My rośniemy w miłości!
Kochaj — bo w niebo wierzchołek się prości...”

Pytałem łąków: kto wam gospodyniem?
I kto napełnia ziarnem wasze kłosa?
I rzekły do mnie: „Łaska Bożej rosy!
Kochaj tę falę, bo miłością płynięm!” —

Pytałem mogił nocami całymi:
Komu świadczycie, gdzie już zrosło ciernie?
I rzekły do mnie: „I niebu i ziemi!
Kochaj i przyświadczy, bo my świadczym wiernie.”

Pytałem łąki pokoszonej z rosą:
Czemu skoszona taki zapach roni?
I rzekła do mnie: „To dech rajskiej woni!
Kochaj bo wonne, co padło pod kosą!”

Pytałem nie raz tej pajęczej siatki:
Po co osnowa takim srebrem ściernie?
I rzekła do mnie: „Bom wdzięczna dla matki,
Kochaj i snuj, bo ja snuję wiernie!” —

I rzék pytałem: gdzie to tak płyniecie?
I rzekły do mnie: „Na gościnne bramy!
Na wsie i grody po ojczystym świecie,
Więc płyn i kochaj — bo znane kochamy!

Toć ośmielony w końcu tymi głosy
Do chat zmierzałem przez wonne pokosy,
A były gęsto osiadłe osady,
I ciche strzechy za dobrymi sady.
W Bogum pozdrowił — a gazdowie na to:
„Kochaj i zasiądź — bo w ziemi bogato!“

Więc jako było dane mi po Bogu
Z błogosławieństwem w dobrych ludzi progę,
Jako to wziętem po duchu i wiosnie,
Na powrót świata złożyłem miłośnie —
Ale com złożył, było zapoznane,
I nie tak wzięte, jako było dane:
„Za co on kocha!“ — wrzasnęła hołota...
I owo grzechy mojego żywota!

Jest świat miłości — który kocha prosto —
A obok niego jest świat złości drugi,
Który serdeczne zwykł okładać chłostą,
I na padole trapić Boże sługi,
Co więcej bierze, niż tamten dać zdoła...
Bo miłość znosi po pyłku, jak pszczoła,
A złość do razu jak padalec — zmija...
Ledwo, że ujrzy, już jadem zabija...

Więc zrazum myślał, że ja biegnę prosto,
Jak szermierz Boży do wielkiego celu:
Lecz gdy miłości świat obłożył chłostą,
Po marnych radach i zabiegach wielu

Widzę, żem z próżną nosił się mozołą:
Bo to nie kolej szerokiego szlaku,
Bo to nie droga — ale błędne koło,
I wiecznie jedno w zakętym deptaku...

A więc stanąłem — i patrząc za szlakiem
W końcu zrozumiał, że idę ślimakiem.
Czém mniejszy pierścień, tém do celu bliżej
I w biedném sercu samotniój, czém wyżej...
Tak samo prawie jak z mogiły szczytu:
Więc gdym wyciągnął ręce do błękitu,
Rzekł mi głos jakiś: „Kochać, to nie dosyć!
Kto chce miłować, musi krzyż ponosić,
W ramionach krzyża tylko jest zbawienie:
„Jedném cierpliwość — drugim prze-
baczenie“.

Więc wszystkie, wszystkie widoki, obrazy,
Znane, kochane, uczute sto razy,
Wszystkie obrazy z życia i z podróży,
I z burzy serca i z światowój burzy
Na ten głos wielki zlewają się razem,
I jednym w końcu stają się obrazem,
Który drobnieje z każdą chwilą więcéj,
I coraz mniejszą odmierza się miarką,
Jakby w źwierciedle maleńkiem odbity,
Jakby w kropelce rosy był spowity —
Aż już zmaleje na makowe ziarko,
Aż już w tém ziarnku wszystko się pomieści,
Wszystkie miłości i wszystkie boleści,
I cała przeszłość i cała robota
Dziejów i ziemi, ducha i żywota . . .

Otóż z tem ziarnkiem cóż ja Panie zrobię?
Czy go zdać ziemi na Twe święte Imię,
Niech jako ziarno posiewu tam drzymie?
Czy po mój stracie złożyć go na grobie,
W którym się wszystko, com ja kochał, mieści,
I gdzie pogrzebał wszystko krom boleści?
Czyli cię prosić, byś to ziarnko zmienił
W jedno westchnienie — a to byś ocenił
W chwili skonania, w chwili Twego sądu,
Gdy się dozwolisz dobić już do lądu? — ? —

III.

Z KLASZTORU
I Z BORU.

WYJAZD Z DOMU.

Bogdaj to tak jeździć człeku,
Jak jeździli ludzie z wieku!
Wozem, końmi, sam i z cicha —
A nie piecem gdzieś do licha!

Tak to przecie wiem, z kim jadę:
Krzyż przed końmi zrobił batem,
Sam się żegna, a więc światem
Znać pojedziem nie na zdradę...

Łądem jechać, to pociecha!
Bo tu widzę, jaka rola,
Jak zasiali ludzie pola;
Tu mi drzewo się uśmiecha,
Tu pszeniczka rośnie w złoto,
Tu zagroda, a tam łączka,
I nie trudno nawet o to,
Że człek spłoszy i zajączka.

Po nad Wisłą wikle rosną,
Więc stój bracie! tutaj bywa,
Zwykle słowik — jakoż śpiewa,

A że śpiewa tylko wiosną,
Więc posłuchać nie zawadzi:
Co za koncert! jak się sadzi!
To dla serca śpiewka boska!
W kącie śpiewaczka nawet włoska!

Ale jedźmy! — przepióreczka
Wabi widać do gniazdeczka...
Chruściel błąka się po łące,
A nad drogą brzozy drzące.

Czém samotniej, i czém dalej,
Wszystko Boga żywiej chwali.
Dobrze temu, kto niezłomny
I wśród walki na to pomny,
Że go pan Bóg siłą krzepi...
Ale temu już najlepiej,
Komu Pan Bóg łaskę daje,
Że przy domu dróg mu staje. . . .
Co mu rządzą ojców miedzą
Stare dęby z wieka siedzą. . . .
Co jaskółka mu pod strzechą,
A na dachu bocian gnieździ. . . .
Co mu żona, świat — pociechą,
A dom dzieciak oczmi gwieździ. . . .
I któremu tak się wodzi,
Że mu całe życie schodzi
Między pracą a spoczynkiem,
Cieniem drzewa a kominkiem...

A Z KĄD?

— A z kąd bracie?

— Ha z klasztoru.

— A gdzie droga się potoczy?

— Niema dokąd, jak do boru,
Kto już po tój drodze kroczy!

— A cóż słyhać?

— Jak w klasztorze:

Dzwonek wita ranne zorze,
Na modlitwie i robocie
Wschodzi dzionek — noc zapada...
A kto z Bogiem w czoła pocie,
Ten i Bogu téż się nada!

— A gdzie wasze Bogu służy?
Gdzież wasz klasztor?

— Klasztor duży!

Opustoszał wprowadzie trocha,

Ale kościół nie macocha:
 I jest chleb u kanafarza
 Zakon duży, bracia nasza
 W całym świecie rozsypana,
 Lecz reguła przepisana!
 Kto ją trzyma, kto w nią wierzy,
 Gdy u furty w dzwon uderzy,
 Gdy zapuka, to otworzą . . .
 I nikt tutaj nie ostatni,
 Bo w miłości znajdzie bratniej
 Chleb powszedni — łaskę Bożą!

— Kto was trzyma?

— Kościół trzyma,
 Łaska stoi za olbrzyma!

— A nowicyat u was długi?

— W tym sęk cały, miły bracie!
 Pan doświadcza swoje sługi:
 Cały zakon w nowicyacie!
 Trudno dobić się do nieba,
 Najprzód z sobą skończyć trzeba,
 Potem trzeba z światem skończyć,
 I nie jedną łzę wysączyć!

Bo nie będzie, miły bracie!
 Namaszczony, miłujący,
 Kto w żywota nowicyacie
 Nie był srodze bolejący!

I te smutne nie pocieszył,
 I te grzeszne nie rozgrzeszył,

I nie karmił te łaknące,
I nie poił te pragnące!

Lecz gdy złego wiele w świecie,
Ztąd jest kościół wojujący,
I gdy prawdą swoją miecie,
Jest żarliwy i gorący!

Lecz nie niszczy, ani pali,
Gdy przed Panem ścieżki prości,
Ale pracą ducha stali,
I hartuje go w miłości.

Bo złém złego nie zabijesz,
Czego łzami nie obmyjesz,
I miłości świętą wolą
To nie będzie Bożą rolą!

Co ja słyszę? dziw mię bierze!
Wielkie słowo, mądra rada;
Lecz to widzę się wypada
Nowo uczyć w stariej wierze!
A gdy taki świat w klasztorze,
Czegóż wasze szukasz w borze?

— To rzecz inna, miły bracie!
Bóg wśród boru w swojej szacie
A kto jemu śpiewa chórem,
Kto się modli piersi tchnieniem,
I już komu świat klasztorem,
Temu puszcza jest wytchnieniem.

Aby dusza nie wychudła,
Trzeba ciągle iść do źródła;

Bo największy Bóg w stworzeniu —
Najdzielniejszy duch w skupieniu.

Ziemia arką jest miłości,
Miłość źródłem świętej wiary,
Z miłosierdzia tylko dary —
W łasce Bożej tylko prości!

Jak się z plewy ziarno łuszczy,
Tak i z duszy też upada
Ziemska plewa, gdy na puszczy
Duch się Panu wypowiada.

Na pustyni Mojżesz staje,
Który Boży zakon daje;
Na pustyni Eliasz siedział,
Co o pańskiej radzie wiedział . . .

Z puszczy wyszedł i Jan Chrzciciel,
Z puszczy Pan nasz i Zbawiciel,
Duchem Bożym w niebo wzięci
Wyszli z puszczy Pańscy Święci!

A i dzisiaj głos kościoła
Jak głos z puszczy się rozlega,
I na wszystkie rzesze woła,
I jak matka świat ostrzega.

Boć to kościół drzewo żywe,
Wiecznie żywe i rodzące,
Rośnie w grono, w kłos, w oliwę,
I w balsamy woniejące!
Z każdej różyczki tego drzewa
Nowe drzewo znów się szczepi,

I jak sztandar łask powiewa,
I zbawienia wieścią krzepi...
I umacnia i odnawia,
I odradza i uzdrawia,
I wieczyście posiew stary —
Krew męczeńska źródłem wiary.

— A gdzie droga do kościoła?

— Każda droga doń prowadzi:
Bo na wszystkie rzesze woła,
I o wszystkich równo radzi.

Jak Bóg, wieczny i cierpliwy,
Znieważony tysiąc razy,
Kościół, szafarz miłościwy,
Przecież wiecznie bez urazy.

Są szczęśliwi, co Pan zléwa
Na nich łaskę, gdy się rodzą,
Co w zakonie Bożym chodzą,
Niby w cieniu tego drzewa...

Lecz kto odpadł, albo nie ma
Dla téj prawdy oka, ucha,
Niechaj patrzy, niechaj słucha,
A Pan nad nim rękę wstrzyma!
Droga jego się wyprości
Przez boleści do miłości,
A jeżeli jęć przymnoży
Za miłością w łasce Bożej,
Pójdzie wiara po kolei,
Z wiary przejdzie do nadziei.

RANEK W PUSZCZY.

Ha, już i dzionek — i jakaż noc krótka!
I jakże szybko i bez snów zleciała?
Jak się przy oknie otwartém przespała,
I przy tój woni leśnego ogródka!

Co za chłód miły, jak bogata rosa!
Jak lazur czyste i jasne niebiosą!
I woń konwalji błąka się po łące,
A tuż przy oknie pachną bzy kwitnące.
I jakiś ptaszek szczęśliwie ukryty
I niepłoszony widać w tój ustroni,
Wpółsenną piosnką pozdrawia te świty,
Kwili i skacze od kity do kity,
Kąpiąc się w rosie i w porannój woni.
Już się i w ulach pobudziła pszczoła,
I miodne oczko oblega do koła.
Z pod węgła domu wymknęła łasica,
A za nią druga — jakież pląsy stroi!
Ale ostrożna widzę swawolnica,
Bo to i rosy i pszczoły się boi,
Jakażto zwinna, jaka miła skoczka!
A jakie żywe, jakie bystre oczka!

I chociaż ręki nie miała na sobie,
Tak wymuskana już o rannéj dobie,
Że się ułyska takim lśniącym pasem,
Jakbyś ją całą pomusnął atłasem.

Pojmuję, jako w rajy człeku było,
Gdy niespłoszone oglądał zwierzęta,
Kiedy bez grzéchu wszystko społem żyło,
A dzicz to wszystko owiewała święta!

Cyt! wszakto słowik? z zielonych kruźganków
Ostatnie może pieśni już wywodzi!
Ilużto takich świat mnie zbawił ranków,
A czém tę szkodę sercu wynagrodzi?
Za jeden oddech rannego powiewu,
Za jedną zwrotkę słowiczego śpiewu,
Za jeden promień wschodzącego słońca
Oddałbym wszystko z początku do końca,
Wszystko, co tylko świat dawać przyrzeka,
Co tylko swoim wybranym zgotował,
Byle choć czasem obaczyć z daleka,
Co Bóg w szczęśliwém ukryciu zachował.

Pies szczeknął w ganku i skrzypnęła furtka,
I jakiś człowiek wszedł zwolna do sieni,
Widać, że leśny, bo myśliwska kurtka,
Strzelba na plecach, w ręku róg jeleni.
Spojrzał kwatermistrz, i pyta zdziwiony:
Skąd taka zdobycz?

Chodziłem po borze:

Ryby łapano na leśném jeziorze,
I w wodzie został ten róg znaleziony,
Nie ma już dzisiaj pamiętnika prawie,

Jak na jelenie przestali polować;
Więc ku pamięci a puszczy ku sławie,
Wartoby Panie ten róg jakoś schować.

Zgoda! więc przybij go tutaj u progu.
Niech strzelby wiszą na jelenim rogu!
„Panie! — rzekł leśny — mnie się to nie zdaje.
Co w puszczy żyło, niech w puszczy zostaje,
A z pokolenia i z rodu ostatnie
Niech to tam idzie już Bogu na płatnię!
Jest w pośród puszczy kapliczka w uboczy,
Tam Matce Boskiej u stóp róg ten złożę,
To wpadnie przecie niejednemu w oczy,
Co idąc puszcza, pomodli się w borze,
I dłużej stanie tam ludzkiej pamięci,
Bo trwałe bywa, co się Bogu święci!“

Kwatermistrz słuchał i podumał trochę,
I jakieś myśli naszły go nie płocze,
Spojrzał na puszcza, przeszedł się po sieni,
I gajowemu oddał róg jeleni.

„Ha! dobrze mówisz, co z rodu ostatnie,
Niech to tam idzie już Bogu na płatnię!“

Słońce tymczasem wyszło z puszczy cało,
I przez gąszcz nawet promień się przesączył,
I cicho było — a mnie się zdawało,
Jakbym poranną modlitwę zakończył.

KRÓLEWSKIE DĘBY.

Królewskie drzewa! Wy pomniki żywe
Ubiegłych czasów, dęby miłościwe;
Witam was, witam! czołem pochyłonem
A sercem w górę ku wam podniesionem,
Wonią łąk leśnych i cichem zaraniem
I wszystkich czasów najszczęśliwszem kochaniem!

Ileżto wieków na to się składało,
By was postawić w tych kształtach tak cało?
W jakie to myśli zuchwałe świat wzrastał,
Gdy wam szło w górę — kiedy wiek wasz nastał?

Gdy się napatrzę waszej obliczności,
Gdy was ukocham w tej potędze Bożej,
To jakoś dziwnie duch mi się wielmoży,
I myśl się krzepi, i serce się prości
I tak tam pełno koło serca zbiera,
Jakbym odczytał znów rapsod z Homera.
Bo duch tych kształtów dziwne rzeczy roi,
Każdy dąb w miejscu jak bohater stoi
I w tej postawie całych wieków dzieje,
I od tych sklepień zaklęty duch wieje,

Jakby z pod sklepień gmachów poświęconych
A chwałą Bożą świeżo umajonych!

Kogo głos dziejów z grobu nie dochodzi,
Niechaj się strzeże tych kształtów powodzi,
Tych żywych świadków potęgi niezmarłej,
Bo takie drzewa — to postrach na karły!
I kiedy pan Bóg tak dozwolił drzewu
Wyrósć w ojczyźnie z drobnego posiewu,
I strzelić górą w niemego olbrzyma,
Choć się bez ducha z burzami szamoce,
Jakoż miał urósć ten, co go Pan trzyma,
Co z walki bierze i łaski i moce?

Dzięki ci Panie! żeś po duszy polał
Balsam Twój łaski, kiedym tak obolał,
Żem się nie darmo w walce umozolił,
Żeś téj pociechy jeszcze mi dozwolił,
Spotkać człowieka wiary i sumienia,
Co dom Twój stawi z Twojego natchnienia,
I ujrzeć drzewa świadki Twojej chwały,
Jakie przed wieki w dniu stworzenia stały.

POBOŻNA PANI.

W dzwon Zygmuntowski uderzono z wieży,
I powóz zwolna ku zamkowi bieży.
Postać szlachetna z powozu wysiada....
Twarz świątobliwa i jak marmur blada.

Ktoś znać zgromadził czeladkę ubogą...
A więc pod górę zwolna idzie drogą,
Mówi z ubóstwem i co chwila staje,
I po kolei jałmużnę rozdaje....
A gdy podeszła ku bramie zamkowej,
Nie stało biędnych dla ręki gotowej,
I do jałmużny nie było nikogo.

Tu się zwróciła — i na świat rozległy
Z cichą tęsknotą oczy jej wybiegły....
Znać się pociesza tym pięknym widokiem,
Bo długo patrzy, i znajomém okiem
Wita i Wisłę i pawie kobierce
Pięknej równiny i odległe wzgórki,
I na lazurze zawieszzone chmurki....
A po tym wzroku poznać wdowie serce,

Poznać, że ziemię kocha duszą Świętych,
Że świat nie trzyma myśli w niebo wziętych.

Długo patrzyła w Bronisławy stronę,
Ale i głowa i ręka opadła —
I twarz szlachetna zda się więcej zbladła,
Kiedy spojrzała na miasto spalone....
I wzrok jej dziwnym otoczył się mrokiem,
I do kościoła poszła wolnym krokiem....

Wielka cierpieniem, wzorem i jałmużną,
Idź święta wdowo! niech cię Bóg pocieszy!
A dla twych zasług niechaj nas rozgrzėszy!
Co dusza Panu na tój ziemi dłużną,
Dopiero wówczas w pełni pojąć zdolna,
Kiedy natchnieniu Świętych jest powolna!

Ileżto razy w grzėsne idziem rady
Tych, co u góry? to niech się raz godzi
Znać, kędy święte po tój ziemi chodzi —
I westchnąć razem, i stąpać w te ślady!....

PACHOLEŃ NA GRZYBACH.

Coś mi się w lesie migło gąszczem niby,
Odwiódłem kurek — patrzę zaczajony:
Aż tu pacholek, co wyszedł na grzyby,
Stoi przedemną bardzo zatrwożony.

Nie bój się dziecię! co to robisz w lesie?
„Zbieram, co znajdę!“ — chłopak mi powiada —
„Czasami jaja, co je ptaszek niesie,
Czasami także grzyb się dobry nada.

„Przednowek ciężki — to i to pomoże....
Matusz tam z dziećmi czeka na mię doma,
A jak paciorek zmówię sobie w borze,
Nigdy nie wrócę z próżnemi rękoma.“

Miła chłopczyna! — znał, kędy po lesie
Ptaki się gnieźdzą; — znał jaja po krasie;
Znał, który ptaszek jakie jaja niesie,
Jak je podbiierać i o którym czasie?

Najbardziej sobie kacze jaja chwalił:
Bo gniazdo w gniazdo, jak kępa przy kępie,

Ale się na to tylko trochę żalił,
Że trudny przystęp w bagnistym ostępie.

Z kolei przyszło na jaja słowicze....
Rzekł mi chłopczyna: ja jemu nie szkodzę,
Ja mu tak dobrze, jak skowronkom życzę,
Bo któżby śpiewał, gdy po lesie chodzę?“

Zdziwiony pytam: To i skowronkowi
Gniazd nie podbierasz?

„A brońże mię Boże!“
Ze trwogą chłopak na to mi odpowie —
„Taką się krzywdą człowiek nie wspomůže!
Skowronek, panie! to ptaszyna wczesna,
I Matka Boska — do tego — Bolesna
Wszystkie skowronki w swój opiece trzyma:
Więc na skowronka żadnej trwogi niema!“

Jakto? — pytałem —

„Alboż wy nie wiecie,
Że to Zbawiciel chodził po tym świecie?
Gdyby dziś człowiek choć w poprzek tą drogą
Przeszedł, gdzie Chrystus stanął niegdyś nogą,
Byłby już zbawion! — lecz wówczas ludziska
Były niedobre — bo podłe żydziska!
Więc chociaż Piłat umył sobie ręce,
Chrystus na krzyżu oddał ducha w ręce!“

„Pod krzyżem stała Matka u stóp Syna,
I ból ją wielki na duszy ucisnął....
I zaśpiewała w niebiesiech ptaszyna:
Spójrzy się Marya — skowronek zawisnął!“

„I tak nad Panem użalił się wiernie,
Że chciał mu odjąć choćby jedno ciernie,
Więc pęty dzióbkiem i dziobał i dziobał,
Aż cierń z korony Najświętszej odskubał.

„Błogosławiła Marya skowronkowi,
Podniósłszy w niebo te oczy żałosne
I rzekła w łasce: Będiesz człowiekowi
I Bogu śpiewał najpiérwszy na wiosnę!

„A jako rzekła mu Matka Bolesna,
Tak się téż iści — bo ptaszyna wczesna,
Nim śniegi giną, już w niebo się wznosi,
I wielką chwałę Matki Bożej głosi.

„Więc któżby gniazdo skowronkowi psował?
Kiedy cierń święty jego gniazda strzeże?
Będziem się chować, jako Bóg nas chował,
Tak matuś mówią — i ja temu wierzę.

To rzekłszy, nisko i wesoło skłonił,
I ku domowi z koszem jaj pogonił,
A jam pomyślał:

Po co tu legendy?

Gdzie wiara w sercu, tam i cud jest wszędy!

NA DZIEN DOBRY
PANU SZYMONOWI

NA WYJEZDNEM DO RUSZCZY DNIA 5. CZERWCA 1855 R.

Nie ma leków na te bole,
Więc w świat Boży! —
W pole — w pole!

Nie jak orle lub sokole,
Lecz na czyste z tych rozdroży
Jak skowronek
W role — w role!

Bo gdy trudno już w niebiosy
Wzlecić człeku
W niebo głosy.

To zachwycić dobrze rosy,
I niziutko sieść u ścieku,
Jak skowronek
Między kłosa.

KOŚCIÓLEK WIEJSKI.

Nad wiejską drogą zawisnął skowronek,
Na mszę poranną woła mały dzwonek,
Jakaś zagroda, plebania i szkółka,
I stare drzewa dokoła kościółka.

Odgłos organów mięsza się do dzwonka . . .
Do Matki Boskiej kończy się koronka,
A jak do ula ciągnie z pola pszczoła,
Reszta się ludzie garnie do kościoła.

Kruchta z gotycka ostro wysklepiona,
I nagrobkami widzę ozdobiona . . .
Jakieś poważne i wierne postacie
Dają świadectwo tu czasom ubiegłym,
Żywo mówiące, choć w kamiennęj szacie . . .
Więc cześć niech będzie tu w Panu poległym!

Po prawej ręce fundator kościoła
Legł na grobowcu — a od jego czoła
Świéci i męztwo i ta bojaźń Boga,
Otóż tu złożon u Pańskiego proga.
Znać, że ze cnotą żywocił w przymierzu,
Bułat w prawnicy, a piersi w pancerzu!

Poważnie spoczął — klejnot koło zbroi,
Krucyfiks w głowach, niżej napis stoi:

„Powstanę Panie! gdy mnie będziesz budził,
Lecz dozwól spocząć, bom się bardzo strudził.“

Jakąż to pracę miałeś za żywota?
Pytam napisu — a napis powiada:
Z królem Stefanem wiodła mnie ochota,
A wierna była i ręka i rada . . .

Po drugiey stronie poważna matrona
W stroju zakonnym — to rycérza żona —
Także z szwedzkiego wykuta marmuru,
Uklękła z dziatwą do jednego chóru:
Za nią trzy córki i synów dziewięciu . . .
Córki pokornie w modlitwie złożone,
A syny szable wynieśli ku cięciu,
Bo znać gotowi na wiary obronę. —

Święconą wodę podano u progu,
Robię znak krzyża, a chwała bądź Bogu!
Wchodzę — na przodzie klęczą rzędem dziatki,
Z książeczki modlą się . . . za niemi matki —
W ławeczkach siedzi coś z waszecia sznurem,
A starzy kmiecie zasiedli pod chórem.

W kościółku strojno i lubo jak w raj, —
Bo pełno kwiatów i świeżego maju —
Stara chrzcielnica stoi na uboczy,
W ołtarzu obraz Najświętszej Pani
Ciemnym się licem z pod zasłony mroczy,
A błyszczą tylko złociste sukienki:
U stóp złożone z świeżych kwiatów wianki . . .
A jakie piękne kosztowne firanki!

A to pas słucki — dał ktoś na ofiarę,
Co miał pocziwą po staremu wiare.

Mój miły Boże! gdy we wzorach czytam
Tych litych pasów — to chłopięce lata
Stają mi w myśli — i sam siebie pytam:
Za co to poszło tym pasom ze świata?

Tak zubożało wszystko w starym domu,
Że w złocie chodzić niema już dziś komu!
Jednak pociecha przejmuje to serce,
Że co pocziwe, nie jest w poniewierce!
I Bóg nagroził: bo to u tych pasów
Wisiąca szabla, co za dawnych czasów
Broniła wiary —

Dziś jak na wspomnienie
Tylko już kapłan lity pas przywdziewa
Na wielkie święto — kiedy wystawienie
Przenajświętszego Sakramentu bywa
I to po swojej poświęcanej szacie,
Piastując Boga w Jego majestacie,
A kiedy duszę taki widok chwyta,
To nie raz serce z żalnością się pyta:
Co się to stało? a czemu to, czemu?
Pocziwe światu nie jest po staremu?

Po suplikacjach z wiejskiego kościółka
Lud się rozbieżał w pola niby pszczołka
A jam się błąkał jeszcze koło chóru,
I przyłożyłem serce do marmuru,
Bo kiedy boleść, kiedy życie strudzi,
Marmur grobowców jako balsam chłodzi.

CHATA POD PUSZCZĄ.

Pies ruszył sarnę, dalejże za tropem!
Ale pociecha była bardzo krótka,
Bo po trzech susach była za okopem,
I do małego wskoczyła ogródka.

Patrzę z okopu, gdzie to pies pogonił?
A tu przedemną i domek i sadek,
I po podwórku uwija się dziadek,
I od napaści sarneczkę obronił.

Krzyknąłem na psa, bo widzę chowana
Otóż przepraszam za mego sułtana,
A starzec rzucił na mnie wzrok ukosem,
I coś gniewliwie zarządził pod nosem.

Co to za dziadek, co sarneczki chowa,
I w takim domku o kraj puszczy mieszka?
Postać poważna, choć trochę surowa,
Myślałem sobie...i patrzę gdzie ścieżka.

Lecz go nie było, gdym w podwórko wstąpił,
Poszedł do domku, jak gdyby nie wiedział,

Że gość za progiem — i długo tam siedział....
A gdy powrócił, bardzo słowy skąpił.

Pragnąłem sercem przeszłość starca zbadać,
Ale on nie chciał ze mną się rozgadać;
A gdym o nocleg prośbę doń zanoślił,
To nie odmówił, ale też nie prosił.

Wszedłem do izby -- izdebka uboga,
Ale nie pusta, rządna i chędogo,
Nad drzwiami półka, kilka ksiązek stoi,
Więc patrzę, jakie? a to wszyscy moi!

Skarga, Brodziński i Piotr Kochanowski,
I Pismo Święte, i Zielniki nowe,
Tomasz a Kempis, ba i Homer boski,
I dziejów polskich księgi Długoszowe.

Nie darmo starzec widzę przeżył lata,
Wiedział, co zabrać na puszcze ze świata:
O, nie zły wybór! i z takim zapasem
Ktoby miał dodać jeszcze własne dzieje,
Można już siedzieć samotnie pod lasem
I nie dbać na to, z kąd w świecie wiatr wieje?

Wieczór był chłodny, a więc przy kominku,
Gdy jeszcze nie czas było do spoczynku,
Siedliśmy obaj — i dziadek dokładał,
A paląc lulkę, zwolna się rozgadał.

Znać był wojskowym, bo znał dzieje kraju,
I szlachcic z rodu . . . znać po obyczaju
Postać szlachetna, choć trochę surowa,
Lecz proste, czułe były jego słowa.

Gdym go nareszcie bez urazy badał,
Co go na puszcę samotną wywiodło,
Coś go boleśnie na chwilę ubodło,
I tak mi swoje losy opowiadał:

„Nie stało pracy, fortuny i zdania,
Wyszły mi cnoty i prawdy bez czasu,
I nic nie miałem już ludziom do dania,
Tom się i zabrał nareszcie do lasu.

„Tutaj cienisto pod temi konary,
Więc jest ochłoda, spokój i ochrona
Szczęścia nie było i niema u łona,
Ale tu łatwiej powrócić do wiary.

„Łatwiej zapomnieć i złe i kochane,
Łatwiej przebaczyć i drugim i sobie
A chociaż cisza nie zagoi ranę,
Tu choć zły człowiek nie bluźni na grobie.

„W świecie nie było czém pokrzepić ducha,
To też wywiała wszystko zawierucha;
Cóż będę mówił, com doznał, com stracił,
Dość, zem się rozstał, gdym wszystko zapłacił.

„Dzisiaj od świata odcięty, daleki,
Chciałbym jedynie ratować już duszę
Są tutaj zioła — to i zbieram leki,
Świat mnie poranił, to go leczyć muszę.
Jest tu las różny, to i zbieram grzyby,
Jest blisko Wisła, to chodzę na ryby,
Jest i wiklina, to koszyki plotę,
A często trzeba ratować prostotę.“

Pytałem starca — gdy Bóg dobrą wolę
I po nieszczęściach daje jeszcze w borze —
Czyby nie lepiej zająć na Bożą rolę?
Czyby nie lepiej zamieszkać w klasztorze?

Lecz starzec widać był innego zdania:
„Ja do klasztoru nie mam powołania,
Kocham samotne, bez pocięchy dusznój,
I jam za ledwo jest Bogu posłuszny!

„Nie lubię murów, bom się w zamku rodził,
Bom niepotrzebnie w murach do szkół chodził,
Bom nieszczęśliwie po twierdzach wojował,
I co najdroższe, tom w murach pochował.“

To rzekłszy powstał, drew trochę dorzucił,
Cmoknął na sarnę i zniknął gdzieś w borze
A gdym, wychodząc, witał ranne zorze,
Starzec do domku jeszcze nie powrócił.

ŚWIAT ZAKONNY.

Za kapucyńskim murem i ogrodem
Cicha uliczka poszła mimochodem,
I z jednéj strony długi mur cień daje,
Z drugieј się ścieżka wdłuż parkanu kręci
Po niéj to chodzą, kiedy dzień nastaje,
Ucząc się głośno ubodzy studenci

Sznurem a sznurem niby mrówki chodzą,
Wdzięcznie a wdzięcznie niby pszczołki brzęczą,
I choć ich wielu, jakoś się tam godzą,
A po nauce pod figurą klęczą.

I stary parkan miał tablicy szkolnéj,
Jest zapisany rok rocznie od góry
W też same wiersze, w też same figury,
Świadcząc o mrówek robocie mozolnéj.

„Najświętsza Panno formuj moją rękę!
Bym mógł opisać Syna Twego mękę.“

„Felix, qui procul!“

Stoi trochę dalej,
Znać, że wsi chłopak, łaciną się żali,

Że mu tygodnie tak powoli cieką,
 Że do wakacyi tak jeszcze daleko,
 I tak daleko do ojczystych progów,
 Do podśmietania i wiejskich piérogów.

A trochę dalej wyrzeka znów biéda
 Na Pytagora i mądrość Euklida,
 A niżéj trochę, blisko przy kamieniu,
 Jakaś chudzina widać w utrapieniu
 Ciężkiém westchnęła:

„O Boże mój Boże!
 Jakim ja biedny, któż mi dopomoże!“...
 Ale w też pędy ktoś mu odpowiada:
 „Disce puer latine!“ Ot i jest już rada...
 Daléj conceptów i wierszy bez liku.
 I wypisana bajka „o Czyżyku.“
 Więc „Czego płaczesz?“

Daléj djabłu świeczkę
 Ktoś już zapalił — i grał w szubieniczkę.
 Lecz jakby mażąc pustoty i troski,
 Ktoś wyżej skreślił berło i koronę
 Niewprawną ręką, na cześć Matki Boskiej,
 I stoi napis: — „Pod twoję Obronę!
 O! Janie Kanty i Ty Matko Święta!
 Bierzcie pod skrzydła biédnego studenta!“

Długom oglądał te pisma i znaki,
 Które w ulicze pokreśliły żaki.
 I gdym raz rankiem siadł sobie pod murem
 Także z książeczką — tak — nie bacząc wrzkomo,
 Spojrzeli chłopcy: a co to za homo?
 I dawnym znowu puścili się sznurem,

Chodzą a chodzą — uczą się a uczą . . .
Szybko jak mrówki, wesoło jak pszczoły,
Niby to pytle gdzieś tam w młynku huczą,
Niby to potok szumi gdzieś wesoły.

Czasami tylko, kiedy na zawrocie,
Po dłuższej ścieżce aż do mnie dotarli,
Ten lub ów spojrzął ukradkiem w przelocie,
I dalej znowu w swoją drogę darli.

Wtém pacierz mówiąc nadeszły mlęczarki,
Z radością chłopcy krzyczą już z daleka:
„Matusiu nasza! a dajcież nam mléka!“
— „Powoli przecie, bo stłuczecie garki!“
Więc odskoczyli i stanęli z grzeczną,
A brzemię z siebie zdjęła matuś mlęczna,
I patrzy w koło i pyta cierpliwie:
— No, czegoż chcecie? przecież nie tak chciwie.
— Prosimy mléka! I ja! I ja proszę?
Nam obom za grosz! — A nam za dwa grosze,
Mnie w mój garnuszek! Mnie jeszcze przyczynku!
I było wrzawy, jak gdyby na rynku,
Jeden chłopczyna stał tylko zdaleka
Smutny, bo nie miał za co kupić mleka . . .
A stał w tém miejscu, gdzie napis:

„Mój Boże!

„Jakim ja biedny! któż mi dopomoże!
Do niego tedy rzekła matka mlęczna:
„Tać i to widzę chłopczyna jest gruczna!
Chodź-no paniczu, nie stój tak zdaleka,
Dam i bez grosza — na napij się mléka!“
I wypił chłopak, do kolan się skłonił,
I za drugimi na ścieżkę pogonił.

W kilka dni później siadłem znów pod murem
I znów się snuły chłopcy długim sznurem.
Już się chyliło słońce do zapadu
A oni brzęczą gdyby pszczoła sadu.

W tém zwolna nadszedł od furty klasztornej
Stary kapucyn cichy i pokorny,
A niósł dzban wody i jabłka w koszyku.
Skoczyli chłopcy — radości bez liku,
„A dobrodzieju! Ojcie ogrodniku!“
Ojciec pogłaskał — napoił — obdzielił
I długo z młodą wiarą się weselił.
Aż gdy nie stało już jabłek i chleba,
Koszyk i dzbanek na ziemi postawi,
I rzekł życzliwie: — „Niech wam z tego Nieba
Święty Jan Kanty, dzieci, błogosławi!“
Na to powstałem z mojego kącika
I powitałem w Panu zakonnika.
„Nie darmo widzę młodzież tu zabawia,
Gdzie pamięć świętych ścieżek się odnawia.“
Zmieszał się starzec — i rzekł: „Kościoł Matka!
A w łasce Bożej bywa ta czeladka;
Bo gdzie świeciła taka czysta perła,
Jako Jan Kanty młodzieży ubogiej,
Tam nie daremnie garnie się w te progi
I dzisiaj dziatwa — pod „Krzyżowe berła.“

Miło tam słuchać chodząc po ogrodzie,
Czy to o ranku, czy wieczornym chłodzie,
Jak się za murem chłopięta tu uczą,
Jak sobie brzęczą i mruczą i huczą;
Boć to się człeku zdaje owo zgoła,
Jakby pożytek z bożego ogrodu
Do ula niosła pracowita pszczoła.

A żem przy pszczołach chował się od młodu,
I dziś przy łasce Bożej bartnik stary,
To mam i serce do téj młodej wiary,
Patrząc -- jak sobie tam pod krzyżem klęczy,
Pożytki zbiera -- i wesoło brzęczy . . .

O mléczna matko! cichy zakonniku!
I ty z książeczką biédny studenciku!
Wszystko wy troje z jednego zakonu . . .
I jest dla serca pociecha nie marna,
Że nie na skałę padły Boże ziarna,
Ale że rosną do Pańskiego tronu

SUCHY DĄB W PUSZCZY.

Jest pośród puszczy dąb na świadka wzięty
Ubiegłych czasów, więc stoi nietknięty;
Ale że wiernie świadczył u téj drogi,
Wysechł i skostniał i obleciał z kory
I sterczy nago jak jelenie rogi —

Choć w pokolenia nowe idą bory,
Chociaż się burze nad nim górą srożą,
Choć bez żywota, stoi w jednéj mierze —
I ni do grobu za swemi się bierze,
Ani oddecha w puszczy rosą Bożą,
Lecz niby pomnik — niby upiór z dębu
Stoi sam jeden śród starego zrębu,
Niby zaklęty w téj odwiecznéj mocy,
Jaką wzrósł niegdyś w Piastowéj dąbrowie,
Dając świadectwo owéj jednéj nocy,
Kiedy królowi służył za wezglowie....

Dębie upiorze! pomniku zaklęty!
Tutaj pod Tobą, tubym złożył kości
Tych, co świadectwo dając sprawie świętej,
Pocziwie czynią — pocziwéj przeszłości.

DO BOGA W UCISKU.

Stoję zboląły, struchlały wszystek . .
Ale kazałeś, więc stoję —
Bo w łasce Twojej osiki listek,
A w wielkich bolach, to moje.

I Tyś mnie stworzył — boś tak chciał Panie!
Cierpię — boś krzyżem uraczył,
To daj zbawienie na trzecie danie,
Bom krwią i łzami ślad znaczył.

Z Tobą to, Panie! nie ma rachuby
Ale po nocy daj brzaski;
Bo kiedy, Panie, nie chcesz mój zguby,
Błagam Twój łaski — a łaski!

KAPLICZKA Ś. TOMASZA.

Jakoś się puszczą skrzyżowała droga,
Na boku stoi kapliczka uboga,
Zrąb się pochylił i wszystek zbutwiały,
I już go mrówki na wpół zakopały
I tak w przybytku świętym gospodarzą,
Że się już ludzie i zbliżyć nie ważą

Czy już nie idzie modlitwa w pożytek,
Że święte miejsce pustkami przestrasza:
Ołtarzyk piękny — i stary zabytek
Widać, ten obraz świętego Tomasza!
Umbryjskiej szkoły cenne malowanie;
Zkąd się tu bierze? jakież wyraz twarzy!

Widać — że było tutaj kiedyś dbanie
O rzeczy Boskie i świętość ołtarzy,
Kiedy na puszczy jeszcze takie ślady
Po sobie znaczą pobożne naddziady.

Całe podrózne wstrzymało się grono,
I ten napisu, a ów roku śledzi;
I już nie jeden radby pytał pono,

Lecz nie ma komu dać tu odpowiedzi

Więc każdy w końcu oniemiał i stoi.

A w tém się ozwał miły młodzieniaszek,

Co na majówce bujał gdyby ptaszek:

„Po co tu pytać nam panowie moi:

„Co to? i kto to? kiedy i dla czego?“

Znać miejsce święte i ktoś Boga chwalił

A kiedy każdy z nas się tu uzałił

Nad taką pustką — to zrobmy coś z tego.“

„Duch święty z tobą!“ — rzekł mu ktoś z słodyczą,
I pocałował młodzieniaszka w czoło! —

„Dobras dał radę i sercu wesołą,

Bo z takich natchnień kiedyś nas obliczą“

LEŚNE JEZIORO.

Duch puszczy szumiął nad głuchym przestworem,
Lecz się ukoił nad samym wieczorem
I co ogłuchło, przychodzi do siebie,
I znowu głosy na ziemi i niebie.

Na gniazdo bocian pociągnął już górą,
A na wschód kawek rój wrzaskliwą chmurą,
I czujna czapla wraca do noclegu,
I stanowisko wzięła już po brzegu

W ostatnim blasku gasnących promieni
Gra słup komarów bujno i swobodnie,
W ostępie długich i łamanych cieni
Leśne się wody rozlały łagodnie.

Jezioro ciche, czyste jak zwierciadło,
Pali się blaskiem do zorzy wieczornej,
Na żerowisko stado kaczek padło,
A w trzcinie huka sobie bąk nieszporny.

Wielka się ryba rzuciła w jeziorze,
I czapla drgnęła trwożliwie na brzegu;
Wężowa główka ciche nurty porze,
A zorza znaczy drózkę jego biegu.

Przebrnął zatokę, wspiął się na szeliny,
Już go nie widać — a szelina klęka,
Znać, strach mu czapli — lecz z jakiej przyczyny
Ta mądra czapla tak się ryby lęka?

Nie bój się czaplo! nie o ciebie chodzi,
Bardzoś ty dzisiaj bezpieczna w tym domu,
Nikt na królewskie piórka tve nie godzi,
Bo czaplęj kitki nie ma nosić komu

Ha, nie dowierza! uleciała z brzegu,
Znać pewniejszego szuka gdzieś noclegu . . .
Teraz rozumiem, czego się obawia:
Ktoś tam w jeziorze więcierze zastawia.

Każde pluśnięcie wiosła jeszcze słyszę . . .
Lecz już się mroczy, już i fale zmierzchły,
Tylko mgłą białą cicha woda dysze,
I kwiat grzybieni po wodach rozpierzchły,
Co się jak nimfa na wpół z wód wygina,
Od wód się jeszcze ku niebu odrzyna.

I na dobranoc jeszcze skrzydłem musła
Lotna rybitwa, oblicze wód sennych . . .
I gruba ryba śmiałym rzutem plusła!
I już po walkach i zapasach dziennych!

Cyt! jakieś nowe ozwały się głosy!
Błądna przepiórka wabi przez pokosy . . .
Ktoś ani łąki ni gniazda nie szczędził,
I drobną dziatwę dograbkiem rozpędził;
A że nie słychać ni ludzi, ni grabi,
Szuka swęj zguby i po nocy wabi

Gdzieś od błót dalszych ozwała się czajka
I głosi światu, że już zniosła jajka.
W mądrzejszej pono sokół siedział radzie,
Bo nikt nie zgadnie, gdzie swe gniazdo kładzie!

Czego to czajko robisz tyle wrzawy?
Co ma rósć światu, niechaj w ciszy rośnie,
Czego po nocy zawodzisz żałośnie?
Czy pokutujesz za dawne złe sprawy?
Żeś nawodziła nieprzyjaciół domu
W łozy i bagna. kędy się lud chował . . .
Brzydkie twe sprawki, pełne krwi i sromu!
Nikt twego gniazda nie będzie żałował!

Pocziwszy kulik, co piszczy po brzegu,
Topielców strzeże i rybaka budzi . . .
I na tój straży póty się nie strudzi,
Aż rybak w końcu wraca do noclegu.

Cyt! jakieś nowe głosy się ozwały,
W suchych konarach zahukała sowa . . .
I jakby posiał maku na las cały,
I kulik ucichł i znać gdzieś się chowa —
Znać to już północ, kiedy gospodyni
Północnych cieni rządy rozpoczyna,
Nie darmo spadła, jakiś łomot czyni,
I zapiszczała w jej szponach ptaszyna.

I znowu cicho — straszno jak po zbrodni,
Błądne światełko mignęło po błocie,
Puszczyk chichoce do błędnej pochodni,
I coś pierzchnęło po gąszczach w łomocie.

Spokojnie patrzą na to gwiazdy z góry,
I świerk wyniosły śmiało w górę pnie się,
Tam w górze pięknie, choć tu świat ponury,
I jakiś zapach pociągnął po lesie.

Powodnią płynie jakaś ciepła fala
Gdzieś z łąk brzegowych, gdzieś od Wisły zdala,
Znać, że się jeszcze niespotkała z rosą—
Że też tak pachnie, co padło pod kosą?
Ach to podobno wszystkich kwiatów dzieje,
Które Bóg w łąkach i po sercach sieje . . .

Razem z tą wonią zajaśniały krzaczki,
Bo święto-jańskie wypełzły robaczki,
I niby iskry wonnego kadzenia
Wzbiły się rojem w majowe sklepienia.

Lecz gdy chłód powiał z leśnego jeziora,
Wonne iskierki ponikły do razu,
Nic nie zostało z całego obrazu,
I tak się zdało, że to było wczora!

Jutrzenka wyszła z ciemnego błękitu—
W dalekiej chacie zapiał kur do świtu—
Jedyna głucha w całej nocy chwila,
Znać, że się ciemność z jasnością przesila,
I walka duchów za-światowych włada,
Gdy tak do ziemi wszystko snem przypada!

Gwiazdy promienne! teraz duch w niebiosy
Wzlatuje ku wam — teraz myśl się prości,
Wy się użalcie tam naszój załości,

Gdy wszelkie ziemskie ucichły już głosy,
Bo może w takiej chwili uroczystej,
Kiedy ze światłem walczą jeszcze mroki,
Dla dusz czyscowych ważą się wyroki,
I wielkie losy na szali wieczystej.

O jakżeś cudna święto - jańska nocy!
Bądź ty cierpiącym duszom na pomocy!
Może szczęśliwy jaki po twym mroku
I kwiat paproci, niewidziany oku,
Co gdzieś po nocy zaklęty tam kwitnie,
Znajdzie nareszcie i w szczęściu oświtnie!

O, jakżeś cudna! o jakaś ty pańska!
I jaka czujna nocy święto - jańska!
Ledwo że zgasły te zorze nieszporne,
A już poranne palą się od wschodu,
I z jednéj przędzy marzenia wieczorne,
I pierwsze kwiaty z jutrzeńki ogrodu.
Rosę poranną nocna woń przenika,
Po rąbku ziemi zorza się przesuwa,
I sennych marzeń ocknięcie dotyka,
Ni sen — ni jawa — a duch czujny — czuwa . . .

ODWIEDZINY

U X. PROBOSZCZA NIEPOŁOMSKIEGO.

Nie tylko rumak, — i serce uniesie!
Już przez dni parę chodziłem po lesie,
Boć to się miło w cieniu drzew tych marzy.
Lecz pytam w końcu: któż tu gospodarzy?

A któżby tutaj ludziom gospodarzył
W czasiech dzisiejszych, gdy nie sługa Boży?
Chodźmyż do niego, gdy tak Pan Bóg zdarzył;
Jużciż ksiądz proboszcz także coś dołoży.

Plebania rządna, a kościółek stary —
Kwiaty w ogródku, woda na dziedzińcu; —
Bocian na dębie siadł w cierniowym wieńcu,
A lipa wonne wyciąga konary.

Wchodzę w dziedziniec, a ksiądz proboszcz
w progu!
Widać, o naszém przybyciu już wiedział,
Na powitanie w Chrystusie i w Bogu,
Schyliwszy srebrną głowę odpowiedział.

I w dom zaprosił sercem gospodarza:
„Cóż to za szczęście, że Pan Bóg mi zdarza,

Powitać gości z takiego świecznika?
Cóż to za zaszczyt dla mego kącika
Zapomianego od dawnego czasu?
Cóż to Waszmościów prowadzi do lasu?

Ha! po staremu majówka prowadzi;
Bo kogo Pan Bóg wśród murów posadzi,
Temu odetchnąć chociaż wiosną trzeba,
I znów zachwycić dobrych wieści z nieba.

Na to ksiądz proboszcz kazał przynieść wina,
I wypił zdrowie szczęśliwie przybyłych,
I opatrywał gości sobie miłych,
I do mnie w końcu te słowa poczyna:

„A cóż tam czyni Alma mater nostra?
I co jej starsza przewielebna siostra,
Szkoła Biskupów — stara Kapituła?
Co w sercu pamięć dla obudwu czuła
Została dotąd — i przejdzie do grobu;
Bom ja to także szedł przez ręce obu!
I kiedy w ranną lub wieczorną ciszę
Brewiarz odmawiam — to z mego ogrodu
Dzwony Krakowskie zda się, że tu słyszę . . .
Tak do nich serce przywykło od młodu.“

Pytamy dalej o stare pamiątki:
„Ha! — rzekł — zostały jeszcze jakieś szczątki;
Lecz ze wszystkiego może być pamiątka,
Co świat bez czasu zarzucił do kątki!
I ktoby snuć chciał z takiego zapasu,
Co zapomniany dzisiejszego czasu,
Mógłby nie mało wysnuć z tego wątku!“

Wyniósł nam księgi i stare kielichy
 I rzekł żałośnie: „Dzisiaj tylko grzechy
 Świat zwykł wyciągać po tym starym czasie,
 A mnie to przecie tak w sumieniu zda się,
 Że pozostało tam dobre nie jedno,
 Coby podparło i dziś dziatwę biedną.
 Kto w grobie leży, pozwów już nie czyta!
 Bóg sprawiedliwy, — a ze światem kwita!

„Była to puszcza — dziś zostały pustki
 Z pięknego dobra i z wielkiego państwa;
 Lat już pięćdziesiąt liczę dziś kapłaństwa,
 I łza się skręci, ale nie ma chustki!

„Wielkie tu rzeczy działały się przed wieki:
 To matnia dziejów — Kraków nie daleki,
 A tu Mogiła, a tutaj Staniątki,
 I wreszcie Tyniec i Jędrzejów stary,
 Krzyżacki Miechów —

„Więc pono nie prządki
 Dają świadectwo tym przybytkom wiary.
 Bywali tutaj i wielcy panowie,
 Bo duszno w zamku, swobodno w dąbrowie,
 Więc na fijołki, to znów na słowiki
 I na poziomki, na wiejskie nabiąły
 I na spoczynek i na zielne leki
 Panowie tutaj i panie zjeżdżały . . .
 A potem znowu po świętym Michale
 Dwór zapolował zazwyczaj wspaniale . . .
 A już po łowach puhar u kominka.
 W puszczy zwierzyny było podostatkiem,
 A że to różna nęciła zwierzynka,
 Więc był i zamek nie jednego świadkiem!

Panie chwaliły lipowy kwiat wonny,
Panowie słomki w polance ustronněj.

„Wertując księgi, nie jedno przemyka,
Co się tu działo za czasu onego:
To nie annały, ani też kronika,
Lecz *Silva rerum* plebana wiejskiego
A i z tradycyi przybyło nie jedno,
Bo długie nie raz wieczory zimowe.
Więc i tom spisał w tę książeczkę biédną,
Aby zapęłnić godziny jałowe.“

Tu wyniósł książkę — a spora książeczka . . .
Spojrzę po kartach — ho! ho! ho! Mosanie
To nie przelówki! — to tłusta owieczka!
I, dobrych rzeczy nie na raz tu stanie!
„Więc proszę częściój! ksiądz proboszcz powiada,
Jeśli się jeszcze ta rzecz komu nada,
Możem przeczytać razem jaką kartę . . .
A drzwi tu zawsze i serce otwarte.“

SILVA RERUM

X. PROBOSZCZA.

Gdym na plebanii siadł tu przy kościele,
Żyło tu jeszcze starych ludzi wiele,
Co pamiętali bardzo dawne czasy,
I niezłamane a odwieczne lasy.

Najstarszy człowiek żył w ów czas w Poszynie,
Mieszkał pośrodku puszczy w starym młynie,
Z dziada, pradziada, młynarz i topornik,
I człowiek mądry a i wielki dwornik . . .
Otóż u niegom onych czasów bywał,
A co mi mówił, tom sobie spisywał.

Był on w sołtysim urodzony stanie,
I chował w skrzyni przywileje stare —
Umiał i czytać, miał i światłe zdanie,
Temu co mówił, można też dać wiarę.
Był tam i siostrzeń w izbie okazały,
Z wielkiego cisu wyrobiony cały,
Zawsze na nowo w powałę dawany,
Ilekroć tylko młyn był przesypany.
Lampa wisiała z boku na siostrzeniu . . .
I czternastemu świadczył pokoleniu,

Bo ile razy syn ojca pochował,
Karb na siostrzenicu zawsze zakarbował.

Ztąd stary sołtys mawiał mi, bywało:
Kiedy na zamku panów już nie stało,
Tom ja najpierwszy, jam tu Wojewodzie,
Bom tu wzrósł z pniaka, bom najstarszy rodzic.
I wiem to dobrze, że kiedyś przed wieki
Był gród pod puszczą po nad brzegiem rzeki,
Z samego dębu setnie urąbany,
A „Miastoborem“ między ludźmi zwany.
Lecz go zabrały jednej nocy wody
I żywa dusza nie uszła przygody!
A potem znowu w niepamiętne czasy
Szła tylko Wisła tym miejscem na lasy,
Bo to dopiero od króla Kaźmierza
Przybyło ludzi, a ubyło zwierza
Kazik i grodów a i wsi przysporzył,
I pisał prawa i zamki murował,
A jak po lesiech sto włości założył,
To jeden kościół w Krakowie fundował.

Tu w naszej puszczy nie znalazł po zrębach
Jeszcze maliny człowiek w one czasy,
Bo były dawne nieprzeżyte lasy,
A ludzie z wieka mieszkali po dębach . . .
Żyli zwierzyną i jajmi ptasiemi;
Kazik dopiero z lasa wyprowadził,
I postanowił na roli i ziemi
I pod dachami przy chlebie osadził

Od owych czasów w tym tu młynie siedziem,
I po siostrzeniu nasz rodowód wiedziem . . .
Nawet gdy mury Król dźwignął i domy,

Stały przy zamku dęby Niepołomy,
A kiedy miejscu poszło na świątнице,
To téż nazwano go „Niepołomice.“
Toporem drzewu człek tam nie poradził,
Chyba że ogień pod niego podsadził;
A kiedy wiosną zakrzętał się z dziatwą,
Tyle jaj ptasich zebrał i tak łątwo,
Że przez rok cały mógł się przechodować,
Jeśli je dobrze umiał w dziupłach chować.

Puszcza szumiała od ptactwa i zwierza,
I z Bogiem jeszcze nie było przymierza;
Nie było także puszcza żadnej drogi.
Gdy się polaną pomknęły jelenie,
To jak las niosły się za niemi rogi,
I przy ognisku brało człeka drzenie,
Bo było gęsto wilków i niedźwiedzi,
A często także ryś na czatach siedzi.

Były jeziora i turze ostępy,
I po jeziorach pływające kępy,
Gdzie nigdy ludzka nie stąpiła noga,
To téż na dęby wiodła puszcza droga;
A gdzie niezręczny konar lub dąb rzadki,
Tam sztukowały już przeprawę kładki,
Spodem ni drogi, ni wrębu, ni zrębu,
Lecz ścieżka tylko szła z dęba do dębu,
I górą lesiem zwiedzali się ludzie,
Kiedy się przyszło cieszyć w jednej budzie.

W tém samym miejscu, gdzie dzisiaj kapliczka
Śród puszczy stoi Świętego Tomasza,
Jest zaszczepiona Bogu pierwsza dziczka,
I tam chrzest brała ta osada nasza.

Żył tam pustelnik — ba mąż apostołski,
Zaszły od Tyńca, czy gdzieś z Wielko-polski.
Sam mieszkał w dębie — w drugim miał kaplicę,
I Pan na Puszczy trzymał go w swęj mocy,
I leśna pszczoła dawała gromnicę,
Co tam gorzała i we dnie i w nocy
Przed matką Bożą i krzyżem zbawienia,
I sługa Boży miewał tam widzenia.
A choć lud nie był nawrócon do Boga,
I w lesiech siedząc, pogaństwem się mazał,
Jednak — na kogo przyszła śmierci trwoga,
Do pustelnika odnosić się kazał,
I słów i pociech jego słuchał chciwie,
I o chrzest prosił i o Olój Świąty
A kiedy kończył żywot tak poczęty,
Chować się kazał pod dębem poczciwie
Przy bożym Mężu i pod krzyżem Pańskim,
Choć żywot przeżył w nałogu pogańskim.

Chrzcić małe dzieci nie było zwyczaju,
To też powoli szērzyła się wiara:
Bo aż gdy dusza zapragnęła raj, u
Dopiero wówczas na wieczność się stara!
Bo jak przysiadły były dawną puszcę
Stare jemioły i odwieczne bluszcze,
Tak też i dusze przysiadła ciemnota,
I obok krzyża brnęła w błąd prostota.

Więc Król, co Boga po królewsku chwalił,
Kiedy raz w puszczy naszej zapolował,
Bardzo nad grubym ludem się użalił,
Co się jak zwierzę tylko w gawrach chował.

Otóż umyślił, coś temu zaradzić . . .
I na „Mogilec“ kazał się prowadzić:
Gdzie przy kapliczce przebywał Mąż Boży,
Modląc się klęczał i powstał z rogoży,
Bo miał widzenie, że król go nawiedzi.
„Bóg co na wielkim majestacie siedzi,
Niech wiedzie kroki swego pomazańca!“
Tak rzekł do króla — jam jest na pustyni
Głos wołający — a Bóg tylko czyni! . . .

Lecz Król się wydał tylko za wysłańca
Królewskiej woli — i tak czynił zawdy,
Kiedy się Bożej chciał dopytać prawdy.

Król mi przykazał, by się Was poradzić,
Jakby z tych lasów naród wyprowadzić:
„Czy lasy palić? czy zamek zmurować?
Czy może kościół na puszczy fundować?“

Na to z pokorą odparł mu mąż Boży:
„Nie będzie węgła, gdzie go Bóg nie złoży,
Nie stanie kościół tu bez Świętych kości! . . .
A i z kąd zresztą dostać tych świętości,
Kiedy złe z góry — z kąd ma być naprawa?
Król grody stawia — każe pisać prawa,
I ufa sobie, że w murach bezpieczny,
Więc chuć rozpasał na żywot wszeteczny;
Lecz starsze prawo, co go Pan Bóg dawa,
Biskup ostrzegał tam już nie raz Pana,
Ale król kazał utopić kapłana,
Co go upomniał w Zbawiciela Imię,
Więc coś pomysłał tam o tém i w Rzymie.

Powiedz to Panu, gdyś Pańskim wiernikiem,
Że Bóg go jeszcze w swęj opiece trzyma,
A na świadectwo patrz co za plecyma.“

Tu niedzwiedzica podniosła się z rykiem
Tuż po za Królem — lecz Mąż Święty zbawił,
Bo pchnął w kaplicę i otwór zastawił,
A sam na straży pozostał nietknięty . . .
Więc gdy już Króla ominęła trwoga,
Poznał, że była sądzona mu droga,
I wielkim głosem wołał na pustyni:
„Wielki Bóg, Wielki i Święty! a Święty!
I On sam jeden tylko wszystko czyni.“
I znał się winnym i wyznał się Królem,
I na pustyni wyspowiadał grzechy,
Błagał ratunku i świętęj pociechy
Przed Sądem Bożym, i zgryzoty mółem,
I kościół Panu na puszczy ślubował,
Aby koroną i berłem kierował.
Więc znowu rada: gdy bez świętych kosci
Kościół nie stanie — zkąd dostać świętości?

„Przejrzałem Królu! gdym się modlił w nocy,
Że będziesz w puszczy i co cię sprowadzi?
Że Bóg postawi majestat w niemocy,
A potem dzikie zwierzę sam odsadzi.
Potem widziałem gdzieś w ziemi dalekiej,
Jak krwi męczeńskiej popłynęły rzeki,
A i oprawców onęj krwi niesytych,
I męczenników na krzyżu przybitych
Dziesięć tysięcy

„Otóż Królu Panie!
Niech kościół w puszczy na tych kościach stanie . . .

Męczeństwo wielu uświęca też wielu,
Jako Pan kazał, tak Ty czyn z Wawelu.“

I tak się stało, jak pustelnik radził:
Bo męczenników kości Król sprowadził .
I odtąd biły Niepołomskie dzwony,
I lud pogaństwem nie mazał się więcej,
A i łaskami słynie na wsze strony
Grób Męczenników dziesięciu tysięcy .

PTASZĘ WĘDROWNE

I KLASZTÓR.

Przyleciało w strony nasze
Z Ukrainy czyste ptasze,
Jak łabędzia pomusk gładkie,
Jak królewski sokół rzadkie.

Spojrzę bystro, patrzy w oczy . . .
Czy nie jaki czort stepowy?
Bo powieka oko mroczy,
I choć gładki, coś surowy?
I pierzchliwy jak od stepu,
Ręka gdyby do oszczepu;
Ale dusza nie bezbożna,
I do duszy przystać można.

Poczkaaj myślę — niech się zmroczy,
Jeśli czorta masz za skórą,
To on wymknie jakąś dziurą,
Gdy o mroku zmierzchną oczy!
Ale gdy się mrok przesilił
To mój sokół tak zakwilił,
Że mi w duszy było polno,
I szeroko, wietrzno, wolno!

— Cóż tam w stepie?

„Ha, zielono!“

— A te dęby?

„Stoją! stoją!“

— A te zorze?

„Płoną! płoną!“

— A mogiły?

„Roją! roją!“

— To i dobrze! myślę sobie,
 Że się przecież coś zieleni,
 Gdy nam Pan Bóg na jesieni
 Siąść na starym kazał grobie.

Pytam dalej: —

„A Padura?

Jako śpiewał, stepom śpiewa;
 Lecz gradowa niby chmura
 Kwiat i oczy mu zakrywa!“

— Ha, to widzę, bięda nasza:
 Serce sercem — kaszą kasza!
 Na mogile, czy na grobie,
 Człowiek sobie — a czort sobie!

Ale nam się już nie zmienić.
 Co pokochał człowiek szczerze,
 Trudno tego dziś nie cenić,
 I już zginie w starzej wierze;
 Bo głęboko to się mieści,
 Bo to przeszło w krew i w kości,
 I te same wciąż miłości,
 Ale więcej w nich boleści

Nie ma jako te tchy Boże,
 Kwiaty w łąkach, w łanach zboże,

Nie ma jako żyć z żywymi,
W starych lesiach, w żyznej ziemi . . .
Zapach stepu — to mi zdrowie!
Lecz gdy Pan Bóg tak uradził,
Że na grobach mnie posadził,
To wam brzęknę o Krakowie!

Nie dorazu — mówią ludzie —
Stary Kraków zbudowano . . .
Ale ktoś tu powstał rano
I w miłości trwał i w trudzie.
Z wielką wiarą głąz węgielny
Na tém miejscu założony,
Bo tu posiew nieśmiertelny,
Żywym sercom powierzony,
Trzyma cudem Boża władza,
I z kamieni się odradza
Stary posiew mocą dziwną
I jakby rószczką oliwną . . .
Po tym grodzie Święci Pańscy
W łasce Bożej tu chadzali,
A rycerscy i kapłańscy
Namaszczenie swoje brali.
Tu dźwignięty ręką starą
Piérwszy kościół razem z wiarą —
I najstarsza tutaj Szkoła
Do bojaźni Bożej woła —
I z najwyższej tutaj wieży
Wielka chwała Matki Boskiej,
Pieśń kapłanów i rycérzy,
W okoliczne płynie wioski,
I tą ciszą, tym ustrojem
Przy tych grobach niemo stojem.

Lud poważne chowa lice . . .
Puste place i ulice
I chodniki na wsze strony . . .
Lecz kościoły naród matczą,
Ludzie milczą — mówią dzwony,
A kamienie — jak człek świadczą.

Pusto — pusto na chodniku,
Lecz w kościołach jest bez liku
Ludu — co się Bogu korzy
I przymnaża chwały Bożej.

Przy grobowcach tylko kupi
Tu się naród rzewnie, tłumnie
A gdy skrzepi Bóg przy trumnie,
Znowu w murach się skorupi:

Bo lud wierny, a gród Pański
Bo od jutrzni do nieszporu
Wielbi Pana z tego dworu
Śpiew pobożny i kapłański.

I chwycony w wielkie koło
Duch pokutny się urabia,
Czas na wieczność przysposabia,
I ku gwiazdom wznosi czoło.

U Pańskiego tutaj tronu
Człowiek serce tak ukorzył,
Jakby księgę tu zakonu
Sam Bóg w łasce był rozłożył.

ZIMĄ W PUSZCZY.

I.

Z wieczora.

Chwała Bogu! żeśmy w chacie!
Cóż tu w puszczy? jak się macie?
Bo na świecie djablo miecie!

„A czém służyć?”

— Bez ogródki,
Kiedy zimno, to daj wódki!
Wcale dobra jałowcówka!
A na jutro — cóż?

„Ponówka!

I jak da się Bóg uchować,
To możemy zapolować.“

— O to lubię! Więc i dobrze!
Komin — cisza — dom łaskawy —
Ach i gdyby nie ból w ziobrze,
Toby nie źle stały sprawy.

„Cóż przekąsim?” —

— Quinta hora,

Każ dać kawy! — Cóż z wieczora
 Dzisiaj jeszcze robić będziem,
 Gdy na dworze takie lichy?
 Przy kominku sobie siędziem,
 I pogwarzym trochę cicho.
 Miło tutaj w waszój chacie.
 Każ dać lulkę, miły bracie!
 Przyrzuc drewek na kominie,
 A wieczorek jakoś minie.

„Cóż tam słychać?

— Gdzie?

„Na świecie,“

— Jak mówiłem djablo miecie.

„Nie na dworze! — Co w publice?“

— Tam Mosanie zawsze jedno:

Bogu świeće, djabłu świeće,
 Zresztą wszędzie głodno, biędno! . . .

„Jednak — jednak — cóż tam . . . wojna?“

— Czyż Ci bracie wojny trzeba?

Chata tutaj tak spokojna —
 Komin ciepły — kawał chleba —
 Ot-byś tylko Boga chwalił,
 I bił sarny i zające —
 Ot-byś ogień w lesie palił
 Albo brodził w kwietnej łące!

Co ci suszyć mózg kłopotem,
 Co ci djabli wiedzieć o tém:
 Czemu w słotę tak ohydno?
 Czemu w nocy bywa ciemno?

Albo czemu po dniu widno? . . .
Ot pogadaj lepiej ze mną
O tém, co się w puszczy gmatwa:
Czemu sarna tak okłada?
Albo czemu kuropatwa
Na tym śniegu tak przypada? —
Czemu borsuk zwierz najsytszy?
Czemu zając wszystkich boi?
Czemu liszka wiecznie chytry?
I wilczysko czemu broi?
Albo czemu gil tu śpiewa
W téj zimowéj głuchéj ciszy?
Albo czemu człek nie słyszy,
Chociaż w puszczy rosną drzewa? . . .
No i powiedz, powiedz Czemu? . . .
Głupia sprawa po staremu:
Tego, co na dłoni leży,
Co od wieków Bóg objawił,
Nie pojmuję — a myśl mierzy
To, co ktoś tam i gdzieś sprawił?
Kiedy nawet ten nie wierzy
W tę robotę, co ją mota;
Wierz mi bracie to lichota! . . .
Odkąd wszystko w worku siedzi,
Djabeł słucha ich spowiedzi,
I gazduje i pociesza
I doradza i rozgrzesza,
A żem szlachcic prawowierny,
Więc nie wdaję się w te sprawy . . .
Lecz kto łaskaw — plac obszerny,
I jest koło do zabawy

„Kiedy tak już nie na rękę
Dziś mój dyskurs — to wypada

Inną zagrać nam piosenkę,
I czy lepiej się nie nada:
Cóż tam piszą? Cóż tam w cechu?“

— W jakim cechu? —

„Ha w pisarskim!“

— Ej nie przywódź mnie do grzechu
Z tym tam kramem pałamarским.
Jam tu wypadł dla spoczynku,
By posiedzieć przy kominku
I obaczyć stare dęby,
Pomknąć w sankach między zręby,
Ognia skrzesać znów do gąbki
I jeżeli już nie strzelić,
Głos myśliwskiej słyszyć trąbki
I znów szromem się ubielić.
A tu Wasze dla pociechy
Twarde każesz gryźć orzechy,
Kiedy nie chcą służyć zęby.
Co mi pisma! to otręby!
O tych księgach — to rzecz długa!
Bo gdy wielu głupio gada,
To nie pisać jest zasługa
A już milczyć — jedna rada!

„Przecież, przecież coś być musi!
Nam nie wiele trzeba w lesie.“

— Ha gdy Waszmość aż tak kusi,
To Ci powiem, co jest w kiesie! . . .
Kiedy żyjesz między drzewy,
Znasz zapewne i przysłowie;

„Jaka ptaszka, takie śpiewy,
I tak w głowie jak na głowie.
I nie zawsze wiosna bywa,
I do Wita słowik śpiewa.“
Ladajaki mało sprawi,
A na prawdę czeladź wietka,
Więc swawolą ludzi bawi.
Literacka jest tandetka.
Ale towar bez zalety,
Żadnej próby nie wytrzyma,
I są książki do tandety,
Lecz pisarzy jakoś nie ma,
Bo o towar tylko chodzi
A więc książka książkę rodzi,
Trzeszczą pióra, kałamarze,
Jak rok Boży już od rana,
I jedynie na drukarze
Cała praca ducha zdana.
Aby zmarłych okraść można,
Na to piszą się dziś dzieje —
By kraść żywych, czeladź zdrożna
Dziś powieści tylko sieje.
Otóż że ta sprawa leży
Nie daleko od kradzieży,
Od kradzieży i tandétki,
Więc koło niéj krążą żydki.
A gdzie rzeczy nie tak ładne
Są dla żydków, lub w zastawie,
Tam mechesy bardzo zacne
Orędują onéj sprawie! —
To rzecz dziwna! bez faktora
Trudno ruszyć się ze dwora,
Dziś pułk cały kałamarzy!
O dworszczynę nikt nie skarży . . .

Na kawiarnię przyszła pora;
Ludzie bardzo postępowi . . .
Lecz znów wszystko faktor łąwi,
I ni kroku bez faktora.

Dobrze Bracie, żeśmy w borze,
Bo tu jeszcze, tu bezkarnie
Człowiek prawdę mówić może . . .
W świecie to-by zginął marnie,
Bo zdióbały-by gawrony,
Gdyby téj się dotknąć strony;
Ale w borze znowu szkoda,
Kiedy sucha płonie kłoda,
I jest chwilka miłych wczasów,
Szkoda tracić ją dla kwasów

II.

Rankiem.

Te zimowe wiejskie ranki,
A to istne już sielanki:
Ledwo człowiek przetaił oczy,
A tu o nas już ktoś radził,
Bo w kominku blask uroczy,
I już kawą ktoś zakadził,
Izbę ogrzał już kominek,
I kawiany szumi młynek,
I ktoś dobrze gospodarzy,
Bo śmietanka już się warzy.

Ha! dobry dzień! jak się spało?
A czy sucho tam się wstało?

Czy nie boli ze snu głowa?
 A kawuńcia czy gotowa?
 Wszystko dobrze, byle cicho,
 Bóg dał łaskę a myśl zdrową.
 Cóż na dworze?

„Okiść wiechą!

I ci-hutko a ponowa:
 Leśnych pchnąłem już do gwiazdy
 Saneczkami na objazdy;
 Bo ślad trzeba przetorować,
 I wypada zapolować.“

— A cóż będzie?

„Co Bóg zdarzy! . . .

Zgadnąć zresztą rzecz to łatwa:
 Liszka, zając, kuropatwa,
 A jeżeli człek naważy,
 To się będzie czém pochlubić,
 Bo i kozła mozem ubić.“

Pięknie widzę słońce wschodzi,
 I szron iskrzy się do słońca . . .
 No niech wiara się łagodzi,
 Niech do psiarni popchną gońca,
 Bo ptaszki moi wcześni
 Już wracają — jadą leśni.
 Jakże djabło wiara goni,
 Jakiż opar dymi z koni . . .
 Cóż w objeździe! —

— Wilki Panie!

I na jutro polowanie,

Jak się ludzi przysposobi.
Dzisiaj w lesie nic nie robi,
Okiść wielka, bardzo kopno . . .
Chociaż cicho, szronem sieje;
A jak później szrony stopną,
Ślipie człeku śnieg zaleje.
Owo zgoła nie ma sprawy!
Lecz jeżeli chcą panowie
Zapolować dla zabawy,
To na zrębach przy dąbrowie
Zajac jeszcze u manowca
W miejscu siedzi, tuż przy tropie . . .
— Więc nim z śniegów się wykopie,
Dawaj sanie i tropowca!

Nie ma mowy, dzień prześliczny!
To już nasza zima Panie:
Śnieg jak całun leży mlęczny,
A jak żłobem idą sanie . . .
Cały świat się biało niesie,
Wszystko strojne i cacane,
I po polu i na lesie
Jak w łabędzi puch owiane,
Bo drobniutkie nawet prątki
Tak się srebrnym puchem bielą,
Że jak strusie kitki trzmielą,
A to istne — „Białe Świątki.“

Milo duszy tutaj w puszczy
Jak w posiewu żywem jądrze,
Nim z łupiny się wyłuszczy,
Wszystko drzemie cicho — mądrze:
Tak tu wszystko jest nietknięte,
Więc się zdaje sercu święte . . .

Jakaż cisza — ani śladu
Ani ptaszki, ni człowieka . . .
Dobrze, że choć sroczka z sadu
Poszcęściła nam zdaleka.
Ależ oto jak w przekorę
Leci sobie sojka z krzaczka,
Co nas biędna i w tę porę
Nie opuszcza jedynaczka.
A cóż słychać? cóż niebogo
Nie wybrałaś się za morze?
Z nami żyjesz w zimę srogą?
Czy tak miło tobie w borze?
Czy tak pięknie się tu zdaje,
Że nie lecisz w cudze kraje?
Piórka twoje takie krasne,
Ktoś - by myślał, żeś ty trzpiotka,
Gdy otrząsasz szrony jasne,
A tyś zacna patryotka. —

Ha! ha tropy! a więc bacznie,
Coś tu przeszło bardzo znacznie,
W poprzek drogi trop przechodzi . . .
To zajączek tak się tłucze,
Chytrą liszkę na błąd wodzi,
I figlarne rzuca klucze.
Po co drobisz tak nieboże?
Jeśli zimno — to siedź w norze!
Jeślić straszno — nie znac drog!
Lecz co Bóg dał — ufaj w nogi!
Jak tu w nogi, kiedy kopno?
To siedź w miejscu — i lis siedzi,
Więc cię prędzój nie wyśledzi,
Aż na świecie szrony stopną;

Znam biédaku takie sprawy,
Więc siedź w norze, siedź nieboże;
I dzień dobry bez obawy!

Stój! coś przeszło gdyby chłopcy . . .
To nie chichi! wilcze tropy!
I jak droga z po za Wisły . . .
Więc nie dobre coś zamysły:
Strach na sarny! kopno w puszczy . . .
Liczymy tropy, bo nie żarty:
Jeden, drugi, trzeci, czwarty,
A jak każdy sarnę złuszczy,
Będzie szkody co niemiara.
Więc do domu wracać wiara!
A na jutro do obławy,
Bo tu innéj trzeba sprawy . . .
— Jakże wracać tak do domu,
Wracać nawet bez zajączka,
Na myśliwych trochę sromu!
Hen komesze, brzeg i łączka
Coś się niby rusza, śniedzi,
I o zakład — kot tam siedzi!
A więc jedźmy! słuchaj chłopie
Puść tropowca po tym tropie,
A my w poprzek, jak tu siedziem,
Od poręby mu zajedziem.

Ha kot! pilnuj! paf! i leży —
Wcale dobra pojedynka!
Ależ Wasze szybko mierzy.
A jakiego dał kominka!
Toś w lot widzę kota strzelił!
Bierz tropowca i daj wódki;

Trzeba zapisać wilcze smutki,
Bo i nas już szron obielił.
Tęga zima, śnieg do pasa.
Jutro łowy, — dziś do domu,
Gdy przynajmniej nie ma sromu,
Że wracamy próżno z lasa.
To i potraǳ ode złego,
Na porębie pojezdnego.
Niech zna w lesie wilcza para,
Że za sarny będzie kara.

III.

Nazajutrz.

Ależ djabła zawierucha!
Psa nie wygnać nawet z domu!
Do komina i kozucha! . . .
A do sieni nanieś łomu!
Bo strach człeku tój kurniawy,
I nie będzie nic z obławy.
A cóż robić w taką porę?
Jużciż trudno skwasić duszę;
Księgi nie w smak — więc je biorę
I innego coś dać muszę.

Gdym tak bardzo zgniewał wczora
Tem, co dzieje się na świecie;
Dziś na leśne rzeczy pora,
A coś nam się nada przecie.

Ha co widzę? gniazda ptasie!
Ptasie jaja w całej krasie!

I wypchane pięknie ptaszki
Niby cacka dla igraszki.

Otóż to mi księga mądra,
Rzecz do sęku i do jądra
Cicha praca a pobożna,
Więc nauczyć się coś można.

Każde gniazdko, nowa karta,
Coraz inna dzianka, tkanka
Każde jaje to pisanka
Z żywej krasy nieotarta.

Dziw-że tu się, że tak kwili
Na gniazdeczku biędne ptaszę,
Że pisklęciu w niem najmiléj,
Że od gniazda gniazdo nasze?

Kiedy z taką troską dziane,
I z miłością taką wite,
I splecione i wysłane
I warowne i okryte.

Dziw-że tu się, że ochotna
Ptaszka gniazdo swoje rzuci,
Gdy go dotknie ręka psotna
I po stracie swéj się smuci.

Dziw-że tu się, że tak pilnie
Na gniazdeczku swoim siedzi,
Że tak bardzo wroga śledzi
I uderza nań tak silnie.

Dziw-że tu się, że je kładzie
Jako może, jak ją staje,

By piskłeta odjąć zdradzie,
Lub na Boga tylko zdaje.

Oto karty księgi żywěj,
Opatrzności miłościwěj
Oto prawdy nieśmiertelne
I spisane i czytelne

Gdyby człek znał po świadomu,
Ile skarbów leży w domu?
I co Bożych tworów w borze?
Toby więćej było może
Na tym świecie gniazd szczęśliwych,
Ludzi dobrych i prawd żywych.
Spójrzysz proszę, co za dziwo
Remizowe gniazdo one?
Co kołysze się szczęśliwo
Nad wodami zawieszzone.

O i cóżbyś sądził o niēm,
Gdyby wzgardził tēm ustroniem!
Swoim rodem i zwyczajem
I potułał cudzym krajem?

Wierz mi, wierz mi, miły Bracie,
Wielkie skarby w ręku macie.
Pod szczęśliwą ten się gwiazdą
Tutaj rodził, komu padło
Remizowe posiąść gniazdo,
Co w ukryciu sobie siadło.
Dobrze siedzieć tak na stronie,
Co za rozkosz, gdy cichutko
Na kominku ogień płonie,
Dobrze wytchnąć, choć na krótko.

Co tu mówić: „Źle samotnie!“
W samotności duch ochotny,
I dopiero tam samotny,
Kiedy świat go w świstki potnie
I świstkami płacić każe
Względy dzienne, chleb powszedni,
I gdzie zawsze to noc zmaże,
Co nakręślił dzień poprzedni.

Gdy na drobne człek się zmieni,
Świat rozbierze go do świstka,
Jak dąb stanie do jesieni,
I nie znajdzie sam już listka.
Wielka prawda ani słowa,
Rzecz potrzebna ręka, głowa,
Bo to życie gęstym lasem;
Lecz gdy znajdzie się człek czasem,
To sam stoi w gnieździe węży,
I świat mówi, że mu cięży.

Ha jak chcecie! zresztą mniejsza,
Jak to mówią, plewa lżejsza . . .
Lecz się plewą nie odziejiesz,
Nie nakarmisz ni posiejiesz,
I na nowo szukać trzeba
Boga, prawdy, człeka, chleba;
A jak się człek czasem zdarzy,
Że go trudno w drobne zmienić,
Świat go ciągle tylko waży,
Bo się lęka go ocenić.
A jeżeli przyzna w końcu,
Że człek czysty nawet w słońcu
To mu takie zada brzemię,
Że powali go o ziemię;

Lub co gorzej, gdy się nie da,
To go większa czeka bięda.

Tylko dzielny może sprostać,
Tylko mężny może dostać,
Tylko wierny dopomoże,
Tylko czysty obmyć może —
Więc takiego staw na czele,
Aby grzechów poniósł wiele
I przy lada sprawie marnéj
Jako kozioł padł ofiarny.

Krzyż to pański, bracie, władza!
Oj i biada, biada temu,
Kto go niesie po Bożemu,
Jeśli świat go wynagradza.

Tak bywało i tak będzie.
Na rozbiorze człek nie zyska . . .
Ot niech lepiej Wasze siędzie,
Trochę bliżej u ogniska.
Poco tu się irytować
I zabiegać i frasować . . .
Jak rozumiem, nie zaszkodzi.
Lepiej wiedzieć — o co chodzi.

Nie przebije muru czołem,
Nie dopędzi szczęścia koniem,
Nie człek kręci świata kołem,
Koło świata idzie po nim!
A jest taki, co nięm kręci
I tych dziejów nic namotał . . .
Więc to duszko miěj w pamięci,
A nie będziesz się kłopotał.

WIECZÓR W SWOSZOWICACH.

Po dziennym skwarze wieje wietrzyk chłodny,
I niebem płyną jarzębate chmurki,
I mierzchną gaje i wonne pagórki,
I już na niebie blask gwiazdki łagodnej
Mruga w błękicie cicho i uroczym . . .
I ciche wody ruczaju się toczą.

Nawet osiki liść się nie kołysze,
I wielkim wszystko oddycha pokojem,
Czemuż duch tylko nie urasta w ciszę
I w jeden akord nie wiąże się strojem?

Jako przed burzą tak w myśli ciężarno —
Jak na cmentarzu, tak się zdaje marno —
I świat ucisły takie wielkie grzechy,
Że nawet cisza nie daje pociechy.

Panie! czy palcem tych lat nie oznaczysz?
Panie! czy w łasce zmienić co nie raczysz?
Bo znać nie dobre rozpoczęto dzieło,
Gdy obrzydzenie ducha ogarnęło.

Świat się w skorupę zatwardziałą zaszył,
I w tym pancerzu zabrnął w takie błędy,

Że się i Boga i siebie przestraszył,
Że nie ma drogi tędy, ni owędy.

Uderzył w siłę, a pada w niemocy,
Pali i świeci, aby było jaśniej,
Rwie się jak szatan — a tu coraz ciaśniej,
Coraz bezsilniej i sprawa po nocy!

Co tylko tknięte, wszystko już zużyte,
Ani z rozumu, ani krwi obmyte . . .
I zkądby miało być temu zwycięstwo,
Gdy nic na Boskie nie jest podobieństwo.

Gdy wszystko tylko ma iść po swawoli,
Gdy wszystko tylko ma być urobione,
To też to cierpi, to też to tak beli . . .
Bo co potrzebne, to z wieka stworzone,
A nie potrzebne, to wiecznie niewczesne,
I nieszczęśliwe i bardzo bolesne.

Świat tak dziś stanął, że mu ani radzić,
Ni potakiwać, ani można przeczyć,
Że ni iść za nim, ani go prowadzić,
Ni z nim umierać, ani go wyleczyć.

Więc tylko można a i bardzo trzeba,
Gdy tak stanęło, za ten świat się modlić,
By go Pan więcej już nie dawał spodlić,
A znak swych rządów dał w swój łasce z nieba.

Aby świat jeszcze wybrnął z onęj toni,
Aby się znowu radził Bożej woli,
Złą radę rzucił — zwyciężał bez broni,
I siadł znów cicho na pracy i roli.

KRUK, FUNDATOR OŁTARZA.

Trzebaby zdrowia poratować latem,
 Więc Swoszowice! Niebardzo zabawne,
 Ale co wody, to wody tam sławne.
 Otóż stanęło w końcu zresztą na tém,
 Że do Swoszowic z Dziekanem pojedziem
 I tam o dalszej biedzie radzić będziemy.

Cośby to z sobą tam i zabrać trzeba
 „Ja wezmę brewiarz — ksiądz Dziekan powiada
 Z resztą się znajdzie tam i kawał chleba,
 A i ta cisza może nam się nada.
 Wezmę Mogilską kronikę ze sobą,
 Aby tam było coś trochę przeczytać
 Czy to poranną czy wieczorną dobą.
 A już o resztę pono nam nie pytać
 Jakoś to będzie i jakoś się złoży,
 Gdy Bóg dał lato, to da i dzień Boży.“

Dictum et factum. I po Bożem Ciele
 Da Bóg doczekać, siadamy i jedziem . . .
 I tak się stało nie myślący wiele
 I, jak się rzekło, w Swoszowicach siedziem!

Dwie celki obok w zagajeniu cichém
 W nocy pioruny . . . Dziekan czyta rankiem

I na dobry dzień powitał mnie śmiechem,
Kiedyśmy oba stanęli przed gankiem.

„Cóż to za wielka burza była wczora!
Jakież pioruny! — Ksiądz Dziekan powiada —
A na dzień dobry jest tu rzecz z klasztoru
I może to się Jegomości nada?“
Cóż tam takiego? — z ciekawością pytam —
A Dziekan na to: „Zaraz ja przeczytam.“
Bierze książeczkę, jak się zdaje dawną,
W stary kancyonał w pergamin oprawną,
I rzecze do mnie: „Żyję już lat tyle,
I wiele dziwnych rzeczy było w świecie,
Nie jeden widział kruka na mogile,
Ale o kruku z Mogiły nie wiecie!
Jest tam mogiła, blisko od Krakowa,
Księży Cystersów — opactwo to dawne —
I działały tam się rzeczy bardzo sławne,
Które dla świata ta kronika chowa.

Anno Domini 1621.

Pod tym to rokiem stoi zapisane,
Jak na kronikę zabawne zdarzenie,
I swego czasu widać było w cenie,
Kiedy w Annałach klasztoru podane.
Jak to na świecie tak i też w klasztorze,
Różne chowają się stworzenia Boże.
Otóż tu piszą, co się rzadko zdarza,
Że kruk był kiedyś fundator ołtarza.

Jak to, kruk? pytam, a to być nie może!
Tak jest w istocie. I oto tu stoi,
Że księża kruka chowali w klasztorze.
Ale kruk krukiem, zawsze swoje broi.

Otóż gdy zmądrzał i już się ośmielił
I gadać umiał, latał do Krakowa,
I bardzo ludzi po mieście weselił,
Bo dziwnie sprytnie mówił wszystkie słowa.

Mów Ave Maria! Furtjan go naucza —
Ale kruk krukem, i natura krucza.
Ciągnie i kruka i wilka do lasu
Otóż tak było i onego czasu:

Kruk po Krakowie i latał i gadał,
Lecz, jak mówiono, i ludzi okradał;
I choć na bruku z pauprami się bratał,
Po cenne rzeczy aż przez okna wlatiał.

I wiele było posądku i szkody
Po całym mieście. I gdy kruk już leci,
Wielka to radość bywała dla dzieci . . .
Lecz się po domach lękano przygody,
Bo siła rzeczy poginęło w mieście.
I kiedy kruka z Mogiły zobaczą,
Jak na raroga wszystkie sługi kraczą:
„Kruk, kruk z Mogiły“ — I zginął kruk wreszcie.
I lat znów wiele po kroku ubiegło,
I wielu ludziom już się w grobie legło,
Którym kruk niegdyś pokradł był drogoście,
Gdy miastem latał w nieproszone goście.
Aż się przypadkiem skarb znalazł na wieży,
Co go różnemi czasy kruk poznosił . . .
Zeszli się księża, patrzą a tu leży
Złoto i srebro i drogie klejnoty.
Więc i nie małe były ztąd kłopoty,
Coby z tém zrobić! — I przeor uprosił
Aż sąd duchowny o wyrok w tej sprawie;

A gdy nie było przejrano w ustawie,
Jakby wyjść gładko z takiego wypadku,
Gdy nikt przed sądem nie stanął przy świadku,
Sąd o tém skarbie tak w końcu stanowi,
Że go na własność oddał klasztorowi . . .
I jest w Mogile ozdobnie wzniesiony
Na cześć wielkiego Patrona Korony
Ołtarz — a przy nim, co się rzadko zdarza,
Jest ów kruk złodziej gładko wyrobiony,
Jako fundator, u wiérzchu ołtarza.

Kiedy ksiądz Dziekan kroniczkę odczytał,
„Czy nie zabawne?“ ze śmiechem zapytał.
Bardzo zabawne i nikt nie zaprzeczy,
Więc niech to idzie do klasztornych rzeczy.

ODZEW.

Swoszowice d. 24. Lipca 1855 r.

Jeśli na zapas pieką ludzie chleby,
Czyliż dla brata upiec go nie warto?
Więc się rytm musi znaleźć od potrzeby,
Więc Cię pozdrawiam a corde tą kartą.

Bardzoś mię miłem obesał pisaniem,
Bardzo łaskawém osądziłeś zdaniem,
I dobrze zrobił, żeś przecie zaczepił,
Bo naszły na mnie borsukowe lata —
I dziś gdym w mojej jamie się zasklepił,
Poruszy serce już chyba głos brata.
Ale służyły jestem zdawna družba,
Więc po staremu wiem, Bracie, co służba.

Kiedyś dał Hasło, to ja Odzew daję,
Boć to i proste i stare zwyczaje,
Że głosów serca nie cedzim przez zęby,
„Więc plackiem do nóg, piérogiem do gęby!“

Kończysz, Bracie, do méj dobrej woli,
Bym coś zaśpiewał waszym lasom gwołi?
Ciężką przebyłem i tak długą drogę,
Iż dziś już czynić nie wszystko ja mogę.

Świętości Bracie nikt z domu nie daje!
Com ja wziął z Litwy, niech przy mnie zostaje....
To czułe rzeczy; — a łzy — głupia sprawa...
I gdy czułości człowiek folgę dawa;
To jacyś starzy budzą się tam w grobie,
I patrzą na nas i mierzą nas srogo:
„Takiś to szlachcic? A czy nie wstyd tobie?
A zetnij zęby i dalej tą drogą!“

I Wasze znasz ich — i daj na to radę,
Jeśli masz jaką — bo jak spojrzą w oczy,
To aż drży serce, aż się w duszy mroczy,
I człek sam siebie oskarża o zdradę,
I gdzieś pod ziemią skryłby się przed wzrokiem
I przed surowym takich dusz wyrokiem.
Ale pod ziemią oni wszyscy leżą,
I jak tu dzieje, tak tam groby dzierżą...
I chociaż tutaj nie skąpili chleba,
I drzwi otworem trzymali do nieba,
Tam każdy grobu dla nas jakoś skąpi,
I przeniec w świecie miejsca nie ustąpi!
Więc głupia sprawa! k' temu się sposobić,
Aby się w końcu chociaż grobu dobić!...
Lecz snąć, tak trzeba. — I wyroki Boże,
Jeżeli człowiek nie przyjmie w pokorze,
Nie będzie pono ni mądry, ni dzielny,
Ani w śmiertelnej sprawie nieśmiertelny.

Mój Syrokomlo! bięda owo zgoła,
Bo na homilią kroi epistoła!
A ja wiem, jako łatwo w życiu zbłądzić,
I że Bóg sędzi — więc nie chciałbym sądzić.
Wiem, jako lubią ludzie się ucierać,
To umiem milczyć i nie chcę się spierać.

Lecz korzystając z onych praw starszego,
 Powiem Ci Bracie słóweczko pociechy:
 Szle Bóg zazwyczaj gorszego na złego,
 A potém obu karze za ich grzechy.

Tobie to mówię — bo wiem, jako czujesz,
 Wiem, czém się bawisz, piszesz, pieczętujesz,
 Więc Tobie powiem, czemu źle się dzieje?
 Indziej źle czynią zazwyczaj złodzieje,
 U nas źle czynią dobrzy nawet ludzie;
 Ztąd to tak ciężko w tym pocziwym trudzie
 Wytrwać do końca, bo tych dobrych chęci
 Nie ma podtrzymać na upadku komu . . .
 Lecz byli dzielni i wielcy w tym domu,
 A tam na niebie są i dzisiaj Święci;
 Otóż tym torem i za ich pomocą
 Można się człeku łamać i z niemocą.

Jest stara powieść:

„Wziął chłop długie sznury,
 Urzynał z dołu, a wiązał u góry;
 I tak się dostał w końcu aż do nieba.“

Wszakżeś Waś z Litwy? Toć mówić nie trzeba
 Waszmości pono o barciem leziwie?
 Około pszczoły cicho i życzliwie
 Chodzić potrzeba — to i w barciach siędzie,
 I coś tam miodu i pociechy będzie!
 Kocham Cię Bracie i dobryś jest, družbo!
 Kiedyś zaciężny, to pójdziesz już służbą.
 Otóż Ci powiem — każde cięcie płazem,
 Jeżeli wiara nie pociągnie razem, —
 I ziemia temu na wieki macocha,

Co niby dobre czyni a nie kocha . . .
Więc kochaj Bracie! i tutaj i tam,
Ale co możesz, to rób tylko sam:
Bo wiele straty i siły i czasu,
Kto z podłój wełny chce dojść do atłasu,
Kto z wilkiem szuka dla owcy przymierza,
Kto osłem orać chce tę Bożą rolę,
Kto kruka uczy pocziwie pacierza,
A dobre zdaje na złych ludzi wolę.

Ale wilk wilkiem, osieł osłem wiecznie,
A i kruk krukiem, chociaż wygadany;
A człek pocziwy, co wierzył statecznie,
I chciał dobrego, wiecznie oszukany!

Ztąd więc nauka, gdy człek z siebie działa!
Może maluczka — lecz jest Panu chwała . . .
Lecz kiedy luźne ku dobremu skupi,
Głupi Mospanie! całą gębą głupi;
Bóg tego nie chce — człek tego nie kupi,
Ale co djabeł — pewno swoje złupi!

Po co to piszę? Albo ja wiem po co?
Ot widzisz Wasze; kiedy człek starzeje,
To rano wstaje, a mało śpi nocą,
Więc i dziwaczna myśl się w mózgach sieje,
I dziwnie chodzi z myślami ta głowa . . .
Otóż o pszczołach była pono mowa.
Więc po gawędzie powracam do rzeczy:
Już, że miód dobry, temu nikt nie przeczy.
Lecz koło barci nie lada mazoła,
I ostre żądło miewa bujna pszczoła . . .
Ha miód i żądło — to się równoważy,
Posmaruj miodem, gdy żądło oparzy;

A jeśli bólu i miód nie zniweczy,
To przyłóż ziemi. Ziemia wszystko leczy.
Pół biedy z pszczołą — gorzej gdy otwiera
Zatwory niedźwiedź i barcie podbięra,
Cóż w ów czas Bracie?

No ostrzeże czasem
O takiej szkodzie żoźna, co nad lasem
Po miodnych puszczech gniazdo swoje ściele.
Jest na niedźwiedzia i strzelba i ziele . . .
Więc i z niedźwiedziem byłoby pół biedy.
Lecz z trutniem Panie to już nie ma rady.
I z tego nie wiem, czy już wybrniem kiedy,
Bo to się w barciach lęgną te owady!
Na pozór iście podobne do pszczoły,
Lecą i brzęczą, pełne niby znoju,
Lecz gdy w ul zajrzysz, to po nich susz goły,
Bo pracowita pszczoła bez pokoju
Pewno nie złoży po tych plastrach miodu . . .
Więc z wszęgo złęgo, co Bóg stworzył w gniewie,
Jest to, co szatan posiał po tym siewie,
Co ani z ducha, ani bywa z rodu,
Pokurcz z psa rodem i staręj djablicy,
Co Bogu pewno nie zapali świecy,
Ale najpięrszy ciśnie się do miodu.

Trutnie, mój bracie, to moja choroba,
I pono na nie bolejemy oba!
A ileż różnych rodzajów nie bywa
U nas tych trutni — borowy dziś furda!
Pięrszy, co wrzeszczy i wieści rozszerza,
A drugi, kłótnik, gorszyciel i burda,
Trzeci, co sądzi o wartości miodu,
Czwarty, co drogi obmyśla rozchodu,

Piąty, gość truteń, który wiecznie wpada,
 Gdy pszczoła miody po pyłeczku składa,
 Szósty, już truteń rozbójnik i źmija,
 Co pszczołę z miodem pospołu wybija,
 Siódmy najgorszy, bo to już łaskawca,
 I pszczoł opiekun, więc i miododawca.
 Siedmiorakiego mamy więc rodzaju
 W naszej pasiece rozmaitych trutni,
 I pszczoła spada — a bartnicy smutni . . .

Jakże się Waści wyda to pytanie
 W tym stanie rzeczy -- gdy ekonomista
 (Wielki filantrop) uprasza o zdanie,
 Czemu pasieki upadły po kraju?

A mój ty mędrcze! zjadłbyś djabłów trzysta!
 Na inne czasy za takie pustoty
 Tylko w łeb strzelić i won do piechoty.

Wszak stary Egipt był z kamienia kuty
 A padł, gdy przeszły po nim plagi radła . . .
 Cóż żywot pszczoły nie ma być zatruty,
 Gdy siedmioraka plaga ją przysiadła?
 Cóż mówi pismo? — Owo miły Bracie:
 „Po ich owocach wiecznie ich poznacie.“

Cóż mówią ludzie? —

Nie chcąc tracić ani wątku,
 Ludzie odnoszą wszystko do początku.
 Origo trutniów — już nie osobliwa . . .
 I już legenda źle tam o nich mówi:
 „Gdy świat stwarzała ręka miłościwa,
 Dała i pszczołę w służbę człowiekowi,

I miód mu dała w osłodę żywota. —
 Już pierwszy człowiek Adam był bartnikiem,
 I kiedy mądrym przemówił językiem
 Do pierwszych barci, to patoka złota
 Sama do krubki płynęła mu z ula.
 Widząc to djabeł, że człek się rozczuła
 Nad darem Bożym, więc pomyślał sobie:
 „Poczekaj człeku! i ja coś ci zrobię,
 I będziesz musiał się powtóre spodlić,
 I będziesz musiał do mnie się pomodlić.“
 A więc jak sztukę po swojemu utnie,
 Nie stworzył pszczoły — lecz wyrobił trutnie!
 W onych to czasiech kontroli nie było,
 Trutnie do pszczoły wcisnęły się siłą
 I nuż się bracić: My jednego rodzaju . . .
 I po miód pszczoły — a trutnie? do miodu!

Pan Bóg cierpliwy — cierpliwy — bo wieczny,
 Widział, że trutnie rojowi na szkodę.
 Lecz matka wiodła wszystkim rząd stateczny . . .
 Więc rzekł w swój łasce: „Ha niech noszą wodę,
 A przyjdzie Sierpień, to i żądło macie!“
 I na tém stoi pono Panie Bracie.
 Po dziś dzień jeszcze w bartniczym wódarstwie:
 Że pszczoła z Boga, truteń z djabła rodem.
 Lecz kto wyrobił w swoim gospodarstwie
 Aż siedm rodzajów rozmaitych trutni,
 Niech się pożegna już na zawsze z miodem,
 A nawet wody nie będzie miał w putni.
 Chcieliście sztuczek? to i macie sztuczki . . .
 Trutń nowożytny ma misterne kruczki,
 Miód ci zabierze, żądłem go nie zbijesz,
 Na wodzie nawet przy nim nie użyjesz.
 Chcieliście sztuczek! to świat odziedziczy

Kwiaty bez woni — miody bez słodyczy —
A jak się trutnie dobrze przysposobią,
Z pomocą chemii nawet miód wyrobią,
A wosku zdawna potrzeby już niema.
Więc i ja trzymam, jako świat dziś trzyma:
Po co tu chować gdzieś po barciach pszczoły,
I w krubkę zbierać miody na leziwie?
Gdy już wosk mamy z łożu bez mozoły?
A miód się jeszcze wyrobi szczęśliwie?
I już nie garncem — lecz na wielką skalę
Całym potokiem popłynię po bruku,
A świat o pszczole zapomni już całe,
I o bartniku, jak starym nieuku?
Ot wierz mi, Bracie! nie raz myślę sobie,
Po co to robisz? po co ja to robię?
Młodyś — to lepiej rób z buraków syrop,
A kogo możesz, na trutnia go wyrób!

W Swoszowicach d. 26. Lipca 1855 r.

Jak Waszmość widzisz, list nie z jednej daty,
I bardzo dobrze, że to się tak stało.
Kiedym był w szkołach, mawiał mi przed laty
Mądry Ksiądz Rektor do ucha bywało:
„Mój ty mileńki! kochaniu! kochaniu!
Nigdy zuchwale nie polegaj w zdaniu;
A kiedyś zgrzany, nie pij wody na raz;
Gdy cię list wzruszy, nie odpisuj zaraz —
A jak odpiszesz, nazajutrz przeczytaj —
Nie ucz nikogo, o mało co pytaj.“

Więc jako radził, gdy zdołam, rad robię.
I kiedym list ten odczytywał sobie,
Wchodzi Ksiądz Dziekan:

„Cóż duszko Maruszko!
Czas na przechadzkę, więc do źródła dróżką.
Jaką Jegomość masz tu znów mozołę?

„Ha proszę siedzieć! — rzekłem Dziekanowi —
Pan Syrokomla tak mi z Litwy mówi . . .
A ja mu taką piszę epistołę.“

I okazałem akt jeden i drugi . . .
Przeczytał Dziekan i rzekł: „To nie lada
Sprawa Mosanie! list krótki a długi,
Ale w tym długim coś zmienić wypada . . .
„Jest więc i *quamquam*“ rzekłem niecierpliwie.
A Dziekan na to:

„Proszę miłościwie!
A cóżby na to powiedział Jan Kanty?
Że to, co Bogu miało być służebne,
Aż do zwątpienia mają przywieść franty?
Wszakże to Panu Bogu nie potrzebne.
Jakto? więc Doktor? więc nasz Akademik
Mógł w to uwierzyć, że miód robi chemik?
A choćby i zrobił (czemu ja nie wierzę)
To niech go lichy z takim miodem bierze.
Wszakże to wosku trzeba do gromnicy,
I mszy nie będzie bez jarzącej świecy.“

Ha wielka racya i uwaga wielka,
I już wątpliwość ustąpiła wszelka.
Ale patrz, Wasze, gdzie człeka nie zwioda

Ci głupi mędracy? Gdyby pójść za niemi
I na ich statku puścić się za wodą,
Człek by się zaparł i Boga i ziemi.

Mój Syrokomlo! Trzeba dla narodu
Jarzących światła i słodczy miodu.
Co człowiek zrobi, zwykle bywa marne,
A co Bóg daje, to tylko ofiarne . . .
I gdyby tylko dla tej jednej świecy,
Co ma oświecać twarz Boga-Rodzicy,
A na ołtarzu ów krzyż Zbawiciela,
Warto się łamać, warto cierpieć wiele,
I warto chodzić koło pszczół w cichocie,
I wytrwać stale w tej bartniczej cnocie.

Takiem więc hasłem żegnam Ciebie w borze,
Ja com bór przeszedł, a siadł przy klasztorze.
Niech Cię Bóg w łasce wraz z Twojimi chowa,
O chleb powszedni niech nie boli głowa . . .
Co zbierzesz miodu na ojczystej niwie,
To znieś dla Matki do ula życzliwie —
Co z natchnień Bożych weźmiesz Bracie w darze,
W jarzącem świetle stawiaj na ołtarze
Z Bogiem i w Bogu szczęśliwa Ci droga,
Sięgnij szeroko a wracaj do Boga.

CZARNA KRÓWKA.

LEGENDA Z NASZYCH CZASÓW.

I.

PROWINCYAŁ.

Stary Prowincyał zjechał do klasztoru,
I przyjął wodę święconą u progu,
I najprzód z bracią udał się do chóru,
I po zakonie oddał chwałę Bogu.

A potem wszystkich z kolei powitał,
Księgi obligów wziął z kapitularza,
Młodzież klasztorną o regułę pytał,
I na ostatku wszedł do refektarza.
Pokój domowi! Pan niech będzie z wami!
A duch po Bogu zakonowi wierny,
Niechaj chleb łamie z ubóstwem przed drzwiami;
To i Bóg będzie dla was miłosierny!

Braciszek podał krzesło i stoliczek,
Kubeczek miodu i wonny pierniczek,
A ksiądz Prowincyał dziękował w pokorze,
I przeżegnawszy pożył dary Boże.

A potem kazał podać Pismo Święte . . .
Bo z czego światło w początku poczęte,
Tego na zawsze trzeba nam się radzić,
Gdy Bóg dozwala w łasce się gromadzić.

Otóż gdzie księga sama się otworzy,
I co po prawej z góry napisano,
To Pan obmyślał dla swoich sług rano,
To przyjmiem, bracia! jako wyrok Boży.
Zasiądźcie w koło!

Bracia go obsiadła,
I wielka księga sama się rozpadła . . .
I każdy westchnął i w cichości czeka,
Co Bóg w swój łasce objawił od wieka.

Po prawej ręce, a w wyroku wiecznym
Stało, co Pan Bóg w swój łasce objawi
Wybranym swoim w Sądzie Ostatecznym . . .
I rzekł Prowincyał: „A niech to Pan sprawi.“

A potem powstał, spojrzął w około,
I miłą bracią obejrzał wesoło —
Pogłaskał słowa, oczyma pochwalił,
I do swój celi zwolna się oddalił.

Nazajutrz rano zakrystyą i mury
Obszedł do koła, księgi powertował,
A w końcu wstąpił już w ów sklep ponury,
Gdzie gwardyan żywność i zapasy chował.

Gwardyan gospodarz i człowiek opatrzny . . .
Klasztor był duży, więc i zapas znaczny,

Lecz gospodarstwa Prowincyał nie chwalił,
I tutaj tylko z serca się wyżalił.

O! kto skarbami ziemi grzbiet swój zgarbi,
I darów Bożych bliźnim nie udziela;
Ten łaski nieba znać sobie nie skarbi,
I w dniu przygody obran będzie z wielu.

Na dni czterdzieści zostawić zapasu,
A resztę rozdać pomiędzy ubogie,
Bo kiedy Chrystus mógł onego czasu
Przez dni czterdzieści przetrwać głody srogie —

To jużciż bracia! można przy zapasie
Na dni czterdzieści nam w Opatrzność wierzyć:
Bóg czyni cuda i w dzisiejszym czasie,
A lepiej łaskę, niż dostatki dzierżyć!

Czém cięższe czasy, czém większe zgorzenie,
Tém więcej kościół zaleca ćwiczenie,
Tém szczerzej trzeba za grzech pokutować,
Tém twardziej trzeba regułę nam chować.

I jako kazał, ubogie zwołano,
I wszystek zapas u furty rozdano
A ksiądz Prowincyał z cicha się uśmiechał,
Pobłogosławił i z Bogiem odjechał.

II.

GWARDYAN.

„Ha! posłuszeństwo piérwszy akt miłości!
Niech i tak będzie!“—ksiądz Gwardyan powiada—
Lecz aby przyjąć w domu nowych gości,
To pokwestować na nowo wypada.

Bracie kwestarzu! jedź, chociaż po grudzie,
Ot! obedia! pod Twoją obronę!
Wyruszaj z Bogiem, ale w nową stronę,
By nie nachodzić zawsze jedne ludzie.

Brat nasz Fidelis nie wychodzi z celi.
Póki po kweście on (bywało) chodził,
To i my przy nim i ubodzy mieli,
I sam dostatek do domu się zwodził.

Umiał przemówić, był wszędzie znajomy,
Kiedy, bywało, jechał okolicą,
To mu gospodą wszystkie pańskie domy . . .
A drobna szlachta kiedy go pochwycą,
To każdy sam go wiezie do sąsiada,
Że aż posłańców wysłać wypada . . .
A kiedy wraca, przynajmuje ludzi,
Aby popędzić baranki pomogli,

I już podwodą, nie zbiorem się trudzi,
Tak go poczciwi ludzie zapomogli.

Lecz stary żołnierz — przyszły suche bole,
A na nieszczęście zabrał się do tkactwa.
Ha! zezwoliłem na tę jego wolę
Lecz dziś już niema komu karmić bractwa;
Więc jedź braciszku! i będzie przywykaj,
Prowincyał święty, ale dla cię pora —
Szalbierzy, zbirów po drodze nie tykaj—
Jedź i powracaj; ora et labora!

III.

STARY KWESTARZ.

„Ha! posłuszeństwo pierwszy akt miłości,
Gdy na mnie siadło, klasztor nie zapości!“
Rzekł sobie kwestarz. — Więc nabrał do rogu
I w miech tabaki i wyrusza w Bogu.

Szafarz pomyślał o podróżnym chlebie,
Lecz gdy po celi krzątał się na drogę,
Brat go Fidelis zawezwał do siebie,
I rzekł: — „Co? idziesz? to ja dopomogę. —

„Mam ja pastorał, com z nim chodził zawsze,
Lecz go po całym kraju dwory znają;
I znajdziesz dla się ludzie najłaskawsze,
Co i na starą przyjaźń pamiętają.

„To weź go z sobą, a za tym kosturem
Same baranki do domu się zgarną —
I kwesta pójdzie prosto, jak za sznurem,
Ot, i nie będziesz chodził światem marno.

„I tabakierkę weź tę, bracie! w drogę,
I częstuj, częstuj wszystkich dobrych ludzi;

I ona starych przyjaciół pobudzi,
A ratuj klasztor, kiedy ja nie mogę!

„Pozdrów ode mnie, kto tam jeszcze żywy,
A kto miłościw, Bóg mu miłościwy!
Miody posycisz u pana Cześnika,
A tak, a cor de pozdrów porucznika!
Na Porcyunkułę niech też zjechać raczy,
Bo już starego sługę nie obaczy!“ —
Kwestarz za kostur z serca podziękował,
I tabakierkę do rękawa schował.

Nabrał obrazków z miasta i nowinek,
Zmówił przy krzyżu wieczny odpoczynek,
I rzekł sam sobie: Zbięraj stare kości,
Bo posłuszeństwo pierwszy akt miłości!

IV.

KWESTARZ NOWICYUSZ.

Zwolna przez wioski idzie brat Wigili,
Lecz o klasztorze ludzie coś nie radzą —
I tabakierka i pastorał myli,
I dobrze, jeśli jaki nocleg dadzą.

Aż dnia czwartego widzi krzyż na błoniu,
Ukląkł i płacze — nie widać nikogo.
Aż tu ktoś w końcu jedzie sobie drogą,
Pachołek za nim, Pan na dzielnym koniu.

A kiedy ujrzał pod krzyżem burego,
Woła z daleka: — A co to takiego? —
— To brat Fidelis! czy mnie mylą oczy?
I rażno koniem ku figurze skoczy.

Powstał Wigili, wita w imię Boga —
Pan się ku niemu z rumaka nachylił
I patrzy w oczy: — O Maryo droga!
Nie mój Fidelis — tom się widzę zmylił!

Lecz zkąd ten kostur? wszak to Fidelisa?
No, czego milczysz? mów Wasze u bisa!

Czy brat Fidelis nie żyje już może? —
A kwestarz na to powiada w pokorze:

„Żyje przy łasce i Bożej pomocy,
Ale nie chodzi już od Wielkiej-nocy,
I mnie wysęła tutaj swęmi ślady;
Bo kto nie orze, potrzebuje rady.

„Świadectwo wziętem w tęg tu tabakierce, —
Mówił brat dalej, — i służyć z nięj mogę.“
— A co ja widzę! i ją dał na drogę? —
I ledwo że mu nie wyskoczy serce,
Tak się ucieszył.
— A jakże Waści, mój bracie kwestarzu? —
„Sługa Wigili!“ — kwestarz mu powiada —
— Nie ma dziś postu nawet w refektarzu,
Toć przecie u mnie zagościć wypada?

Czy brat Fidelis nic nie mówił o mnie?
Jaki nie łaskaw, to już mnie nie kocha;
Wprawdzie wśród boru człowiek żyje skromnie,
Lecz kościół bracie! kościół nie macocha!

A to już prawie niema i pamięci,
Jak takich gości miałem w moim domu.
A przecież w sercu zawsze jedne chęci,
I coś się znajdzie, kiedy jest dać komu.

Wszak z Fidelisem służyliśmy razem,
A odważniejszym pono być nie można:
Wiele kochała ta dusza pobożna —
Ufam, że przy nim i mnie puści płazem
Bóg w łasce swojej, com ciężko nagrzeszył.
A mój bratuniu! jakżeś mnie pocieszył! . . .

Czy brat Fidelis nic nie mówił o mnie? —
A brat Wigili rzekł mu na to skromnie:
„Niech Wasza miłość mi przebaczyć raczy,
Ale w tych stronach jestem niebywały!“
Na to Pan rzecze: — Jasno się tłumaczy:
Porucznik Wełdysz, na usługi cały! —
„Gdy tak!“ — rzekł Kwestarz — „to sam Bóg
już radzi,
Bo w Dobrodzieja progi mnie prowadzi;
Gdy tak, to widzę, że już jestem w domu,
Bo brat Fidelis nie zlecał nikomu
Takich pozdrowień, jak Waszój-miłości!
Kiedym odchodził rzekł mi w serdeczności:
„O moim druhu zachwyć tam języka,
I tak a corde pozdrów porucznika!
Na Porcyunkułę niech tu zjechać raczy,
Bo już starego sługę nie zobaczy!““

Na to porucznik: — Co to mówisz Wasze?
To jeszcze pomny na przymierze nasze?
A corde, mówisz, kazał mnie pozdrowić?
To Porcyunkuły i czekać nie będę,
Ale na konia lada dzień usiędę,
I musim jeszcze przymierze odnowić!
Lecz co tam o tém będziem gadać w polu;
Nie wszystko jeszcze zginęło w kłakolu:
Pachołek zsiędzie, — siędź Waść na rumaka!
Pod dach nam trzeba. Jest tam i tabaka,
Jest trochę wosku, jest i trochę miodu,
To i na światło stanie Matce Boskiej —
Jest trochę chleba, to nie będzie głodu,
Ani nam obom, ni w klasztorze troski! —

V.

KLASZTOR W UCISKU.

Czas dni czterdziestu dobiegał do końca,
Często spoglądał ksiądz Gwardyan za drogą,
Czy brat nie wraca? albo nie szle gońca?
Lecz nic nie słyhać, nie widać nikogo

Więc poszedł za nim i drugi i trzeci,
Czejże dla domu co który przysporzy?
Ale dzień za dniem ba i tydzień leci,
A tu nie widać znikąd manny Bożej

Już w refektarzu zdawna obiad krótki,
Już i u furty począł Gwardyan skąpić.
Bóg się zagniewał, więc w klasztorze smutki,
I co najgorsze miało już nastąpić.

Gwardyan nakazał wszystkim post trzydniowy,
A sam już suszył o chlebie i wodzie
Ha! może pościć, kto przy łasce zdrowy,
Ale choremu, jak tu żyć o głodzie?

A tu trzech księży chorych na łożnicę.
I trzech z czeladzi świeżo się pokładło,

A brat Fidelis trzyma już gromnicę,
I na śmierć pono, tak mu czoło zbladło . . .

Już Gwardyan nie ma ani dnia ni nocy,
Zdrowi i chorzy potrzebni pomocy;
Więc dał do młyna ostatnią ćwierć zboża,
A sam już chodzi od łoża do łoża.

„O, ja nie skonam“ — brat Fidelis mówi —
„Póki Bóg nie da manny klasztorowi.
Nie trap się Ojczy! jeszcze ciepłe członki,
A raczej razem odmówmy koronki
Do opatrności Boskiej.“

I poczęli.

A w tém zapukał zwolna ktoś do celi:
Furtyan wszedł z cicha i powstrzymał kroku!
A niechcąc przerwać, przyklęknął na boku.

Kiedy skończyli: „Cóż tam? Gwardyan pyta.
Za chwilę brat nasz Wigili zawita,
Sam jedzie bryką, trzy podwody wiezie,
A przed nim stado baranków na przedzie.“

„A czym nie mówił“ — brat Fidelis rzecze, —
„Że chociaż wielkie, wielkie moje grzechy,
To dusza póty z ciała nie uciecze,
Aż Bóg domowi nie zesze pociechy . . .“

I podniósł oczy do nieba w miłości,
I wołał: „Boże! w Twoim ręku stoję!
O! rozmnoż chwalców Twojej Opatrzności!
Bądź wola Twoja! przyjdź królestwo Twoje!“

I zwiśla głowa — a z oczu gasnących
Śmierć już wyjrzała — Gwardyan koło bratnie
Zwołał do celi na modły ostatnie,
I rozpoczęli akty konających

Pod koniec modłów przybył brat Wigili,
A konający znów oczy odmyka,
Patrzy na niego i mówić się sili,
A w końcu wyrzekł: „Bracie! daj mi mleka . . .“

„Nie mogłem skonać — czekałem na ciebie,
Podaj mi mleka — Bóg zapłaci w niebie“ . . . —
Lecz brat Wigili zda się, że nie słyszy,
Upadł mu do nóg — z żalu ledwo dyszy,
Zerwał się w końcu i we drzwi uderzył,
Lecz gdy powrócił — łaknący już nie żył . . .

VI.

PROWINCYAŁ.

Czas się przybliżał wielkiej kapituły,
I ksiądz Prowincyał o swój zakon czuły,
Wyruszył w podróż, aby znanym torem
Zwiedzić kłasztory przed nowym wyborem.

Kiedy odwiedzał już klasztor ostatni,
Spostrzegł grób świeży — i pomyślał sobie:
To brat Fidelis! więc w miłości bratniej
Niepostrzeżony, modlił się na grobie.

Kiedy nareszcie wstąpił do klasztoru,
Wrócali bracia kruzgankiem od chóru.
Więc naprzód przykląkł krótko przed obrazem,
A potem wszystkich powitał zarazem.

Nazajutrz rzecze Ojcu Gwardyanowi:
„Smutno tu jakoś z ducha i z postaci,
Co się to Ojczy! stało klasztorowi?
Co się to Ojczy! stało miłej braci?

„Smutek zakonnój nie przystoi twarzy,
Kto mocno wierzy, tego ból nie ściśnie,

Kiedy w modlitwie znów ducha rozżarzy.
 Czy zakon może w gorliwości stygnie?
 Czy już ubogie nie ma czém obdzielić?
 Czy się przebrały miłosierdzia skarby?
 Czy się karności przeliczyły karby?
 Że duch się w Panu przestaje weselić?“

— „Ojczy! rzekł Gwardyan, jam gotów na bicze,
 Tobie jak Bogu ze spraw mych się liczę —
 Coś złego zaszło — to dobrze rozumiem,
 Lecz ni osądzić, ni poprawić umiem!

„Brat nasz Fidelis stanął już przed Bogiem,
 Skończył przykładnie, lecz od owęj chwili,
 Jak go nie stało tu za naszym progiem,
 Spokoju duszy nie ma brat Wigili . . .

„Zrazu myślałem, że taka żałoba
 Została w duszy jego po téj stracie . . .
 Boć to serdecznie kochali się oba,
 A więc błagałem: Upomnij się bracie! . .

„Ale czem dalej, tém z Wigilim gorzej,
 Nie je i nie śpi, błądzi przez dzień Boży,
 Ni go się praca ni modlitwa bierze,
 Jak gdyby wcale już ostygął w wierze.

„Ha, pomyślałem, Sakrament pokuty
 Łaską zbolalęj duszy ból uśmierzy;
 Lecz i spowiednik odtąd niby struty,
 I jakaś trwoga wśród braci się szērzy . . .

„Więc nakazałem modlitwy w klasztorze,
 Może duch braci podźwignie go może;

A Bóg nie pomny na te nasze grzechy,
Zsęła nam ciebie na duszne pociechy“ . . .

Prowincyał dawną spokojność zachował,
Dobył relikwiarz i „pax tecum“ mówi —
Relikwią świętych naprzód ucałował,
Potem z miłością podał Gwardyanowi —

I rzecze: — „Przyjmij słowo pocieszenia:
Bóg dał Piotrowi klucze od sumienia;
Jeśli przecucie, jeśli wzrok nie myli,
Wiem, co to zaszło, niech przyjdzie Wigili!“ —

I wszedł Wigili zaledwo już żywy,
Jako trup blady z rozpaczy wyrazem,
I rzekł Prowincyał: — Pan Bóg miłościwy,
Uklęknij bracie! pomódlmy się razem!

I ukląkł kwestarz złamany, skruszony,
I wielką trwogą w duszy się zatrwożył,
A głowę jego ujął przełożony,
I obie ręce na głowie mu złożył.

— „Wielki Bóg! bracie, w miłosierdziu swoim,
Niechaj nawiedzi twą duszę pokojem!
Otwórz mi duszy twojej tajemnicę,
A Bóg otworzy ci łaski skarbnicę.

„Dźwignij się w Panu i nabierz otuchy,
Jak ja cię w ręku — Pan cię jeszcze trzyma!“ —
A brat Wigili aż ryknął od skruchy:
„O! dla mnie Ojcze! miłosierdzia nie ma!“

— „Jest! — rzekł Prowincyał — Chrystus złamał złości,
I zdał Piotrowi grzeszników sumienie;
I większa, bracie! moc Bożej miłości,
Niżli być może ludzkie przewinienie!

„Wstań i mów śmiało! Chrystus, który wgląda
W ludzkie sumienie, sam więcej nie żąda
Od ciebie, bracie, jak żebyś tu wierzył,
A jeśli zgrzészysz, w piersi się uderzył.“ —

Dźwignął się w Panu nieco brat Wigili,
I rzekł spokojnie:

„Poczynam od chwili,
Gdy mnie po kweście ksiądz Gwardyan wyprawiał,
I kiedym klasztor i braci zostawił.

„Brat nasz Fidelis już z łoża nie wstawał,
Ale w tę podróż przestrogi mi dawał;
I dał mi także swój kostur na drogę!
I rzekł: „Ha, ratuj, kiedy ja nie mogę!

„Pozdrów ode mnie, kto tam jeszcze żywy,
A kto miłościw, Bóg mu miłościwy;
Miody posycisz u pana Cześnika,
A tak, a corde pozdrów Porucznika!“
„I jakoż Pan Bóg o swym domu radził,
Bo w dobrodziejów progi sam prowadził.

„Kiedym pod krzyżem modlił się na błoniu,
Człek już podeszły nadjeżdża na koniu —
Jak znajomego powitał mnie szczerze,
Kazał się na koń i do domu bierze.

„I jak Fidelis mówił, za kosturem
Same baranki do domu się garną;

I kwesta poszła prosto jak za sznurem,
I nie błąkałem się po wioskach marno.

„Od owéj kwesty klasztor nie zapości,
I kiedym wrócił, było dość radości.
Lecz mnie się zdało, kiedy Gwardyan chwalił,
Jak gdyby szyną po duszy mnie palił.

„Brat nasz Fidelis bywał towarzyszem,
I służywali razem, jak się zdaje;
Więc gdym się późniéj rozgadał z Wełdyszem,
Że brat Fidelis z łoża już nie wstaje,

„Z wielkim podziwem Pan Wełdysz mi powie:
— Wszakże to młodzik! czyż to czas na niego,
Wszak bojaźń Boga człeku daje zdrowie!
Ale nie umrze, nic nie będzie z tego!

„Mam czarną krowkę, poszlę mu na mléko,
To i odetchną jeszcze piersi chore;
A że do wiosny nie bardzo daleko,
To go na maik do siebie zabiorę. —

„I dał mi krowę i hojnie obdarzył,
I po sąsiadach sam mnie oprowadził;
A każdy sobie starą przyjaźń ważył,
I o klasztorze jak katolik radził.

„Wesoła była już z powrotem droga;
Ale gdy popaść prawie była pora,
Wychodzi z chaty niewiasta uboga
Z dzieckiem na ręku — i nędzna i chora.

„Kazałem stanąć i popaść chudobie,
—Co wam to?—pytam, widząc dziatwę w nędzy....

Lecz ona tylko zapłakała sobie,
I pospieszyła do chaty co prędzej.

„Jużciż mi trudno było, bez pociechy
Porzucić nędzę, więc pytam i słyszę:
— Ojca i męża zabrał Bóg z pod strzechy....
A biedna wdowa z dziatwą ledwie dysze.

„Konie wziął złodziej, dojna krowa padła,
Przednowek ciężki a i ciężka zima —
I taka nędza niebogę obsiadła,
Że i dla dziecka w piersiach mléka nie ma!

„Więc rzekłem biednej: jest tu z nami krowa,
Wydój ją matko i daj dziatwie mléka.
I podoiła czarną krówkę wdowa,
I dała dziatwie półtrzecia skopczyka.

„Potém do worów sięgnąłem po trochu,
A więc i mąki i kaszy i grochu
I soli dałem, tak, jako się godzi,
Ażeby stało, aż już Bóg zarodzi.

„Otóż gdy dziatwę mlékiem napoiła,
I wszystkim trojgu dała kawał chleba,
Cudowna jakaś dźwignęła ją siła,
Jakby sam Pan Bóg pokarmił ją z nieba.

„I choć niczego nie tknęła ustyma,
Już nową siłą dziecię w ręku trzyma;
I tu wspomniałem na dzieciństwo moje:
Jako tu troje i nas było troje!

„A biedna macierz i wdowa żałobna,
Była jak na to mój matce podobna.

„Kiedy z popasu przyszło ruszyć wreszcie,
Do nóg się krowy uczepiła dziatwa,
I zapłakało się biednej niewieście,
I ruszyć z miejsca nie była rzecz łatwa!

„Ha! trudno człeku przestać być człowiekiem!
Może ksiądz Gwardyan to przebaczyć raczy,
Wszak i mnie matka wykarmiła mlékem?
Jeśli nie Gwardyan, to Pan Bóg przebaczy!

„I poszła krówka na podwórko wdowy,
I do klasztoru wróciłem bez krowy!“

Na to Prowincyał rzekł jemu po chwili:
„Zgrzeszyłeś bardzo, mój bracie Wigili!
Zgrzeszyłeś bracie, zgrzeszyłeś i bardzo,
Bo ci najgorsi, co na dobre hardzą!“

— „Nie tutaj koniec!“ — brat Wigili rzecze,
„Nigdy przed karą zbrodnia nie uciecze!
Kiedym już stanął na klasztornym progu,
Słyszę, że Gwardyan zebrał koło bratnie
W celi Kwestarza na modły ostatnie,
Bo już Fidelis zdaje ducha Bogu!

„Wpadam do celi — a tu w tejże chwili
Brat konający znów oczy odmyka,
I patrzy na mnie, i mówić się sili,
I w końcu wyrzekł: — „Bracie daj mi mléka!“

„Nie mogłem skonać, czekałem na ciebie!
Podaj mi mléka! Bóg zapłaci w niebie!“ —
O niby piorun zabiły te słowa,
Bo mi się zdało, że pytał: gdzie krowa?

„On nawet skonać niemógł już bezemnie!
A jam go okradł, okłamał tajemnie!
On w mój pomocy był takim bezpiecznym,
I zszedł ze świata nie zmieniawszy zdania;
Ach! on tak łaknął w tej chwili skonania!
Jakże ja stanę w Sądzie Ostatecznym?“

Na to Prowincyał rzecze mu po chwili:
„Przyjmij pociechę mój bracie Wigili.
Kto tutaj łaknął, tam ochłodzon będzie,
I po prawicy z wybranymi siedzie!“

„Zła była ufność w miłosierdziu Bożem:
Kto się rozgrzėsza, nie będzie rozgrzeszon,
I tyle łaski, ile się pokorzym:
Lecz gdy żałujesz, to będziesz pocieszon!“

„Słowa Bożego trzeba się poradzić,
Bo z czego światło w początku poczęte,
Po wszystkie wieki pozostanie święte,
I Pan tu zstąpił grzechy świata gładzić.

„Otóż, gdzie księga sama się otworzy,
I co po prawej z góry napisano,
Dla żałującej duszy będzie dano,
To przyjmiesz bracie! jako wyrok Boży!“

Przyklął Wigili, twarz śmiertelnie zbladła,
I wielka księga sama się rozpadła,
Ku ziemi korna schyliła się głowa,
A ksiądz Prowincyał przeczytał te słowa:

„Błogostawiony mąż, co po staremu,
Kiedy Pan grzechu nie poczytał jemu,
A w duchu jego nie ma żadnej zdrady!“

„Taki ci wyrok padł z niebieskiej rady;
Pan ci przebaczył, boś miłował szczerze:
Nie łam zakonu a trwaj dalej w wierze!“

To rzekłszy, głowę miłościwie ścisnął,
A brat Wigili u kolan zawisnął;
I długo jeszcze Prowincyał go cieszył,
I z nim się modlił i w końcu rozgrzészyl;
A gdy pocieszyć i rozgrzészyc raczył,
Więc mocno wierzym, że i Bóg przebaczył!

NA BIELANACH.

Zdala Tatry widne tam,
Bliżej stary Kraków sam,
 A w dolinie Wisły prąd;
Tam na górach Boży tron,
Tam za dzieje mówi dzwon,
 A tu cichy Boży kąt.

Pięknie tutaj z dawnych lat,
Żywy tutaj ducha świat
 Śród tych lasów, śród tych skał:
Grunt poświęcił już sam Pan
Dla sług swoich, dla swych ścian,
 By go wszelki człowiek znał . . .

I każdemu miło tu
Chwycić piersią tego tchu
 I po świecie puścić wzrok:

A kto wiele w świecie znał,
Ten stanąwszy wśród tych skał,
Pójdzie może dalej krok?

Bo tajemny jakiś wiew
Tchnie w pustyni od tych drzew,
Jakby modłów cichy szmer:
Bo kto przeszedł próg tych bram,
Już dla niego ginie tam
Spraw światowych nętny wir.

Kto zbolełą duszę ma,
A w kim serce jeszcze gra,
Ten dla duszy znajdzie wczas;
Kto tak w świecie zabrnął w kał,
Że na duszy ciężar miał:
Ten pokutny znajdzie głąz.

Komu płakać dusza chce,
A popłakać nie ma gdzie,
Tu popłakać miejsce jest.
Ktoby myśleć, marzyć znał,
Ktoby tu się modlić chciał,
Weźmie tutaj duszny chrzest.

Kto postradał własny dach
Komu ludzi, świata strach
A jednak musi żyć:

Kto z t \acute{e} m \acute{z} yciem zerwa \acute{l} ju \acute{z}
I nie szuka serc ni r \acute{o} \acute{z} ,
M \acute{o} g \acute{l} by jeszcze tu si \acute{e} skry \acute{c} .

Lecz kto pok \acute{o} j tu-by wni \acute{o} s \acute{l} ,
W rozkosz ciszy, w prac \acute{e} r \acute{o} s \acute{l} ,
Tu szcz \acute{e} s \acute{l} iwie m \acute{o} g \acute{l} by \acute{z} yc;
Ktoby \acute{l} ask \acute{e} Pa \acute{n} s \acute{k} \acute{a} mia \acute{l}
I do nieba drog \acute{e} zna \acute{l} ,
Tu i s \acute{w} i \acute{e} tym m \acute{o} g \acute{l} by by \acute{c} . . .

IV.

ZE DWORU.

ANNIE Z WĘGLIŃSKICH
I TYTUSOWI
TRZECIESKIM,
PRZYJACIOŁOM MOIM

składam ten zbiorek w Polance napisany 1853 r. w lecie

NA PAMIĄTKĘ.

NA WYJEZDNÉM DO POLANKI.

Jadę i jadę i wyjechać trudno —
I nudzę drugich i samemu nudno,
Bom osiadł, jako ów galar na haku,
Co długo zaległ, a chce bić od brzegu.
Dawnych przyborów gdzieś już ani znaku,
Ocieżał, zamókł od słoty i śniegu,
I trudna rada, jak mi Pan Bóg świadkiem,
Bo jak na wodę puszczać się tym statkiem?

Wszakże — jak mówią — wiele człowiek czyni,
Kiedy już musi. — Pan Bóg gospodarzy,
Najświętsza Panna nasza gospodyni,
Więc niech się dzieje, co opatrnie zdarzy.

Nie to zatrwaza serce, co tam będzie?
I czy gdzie galar w piasku nie osiędzie?
Lecz to się ciężko dla duszy wydaje,
Że co kochane, na brzegu zostaje!

Ha, trudna rada! Odbijaj od brzegu!
Niech was tu skrzydło Aniołów ocienia!
Żegnaj Krakowie! bo już galar w biegu,
Żegnajcie w Bogu! — i do zobaczenia!

CÓŻ TAM W STARYM DWORZE?

Przeżyłem w borze i w klasztorze lata,
I już najchętniej żyć zdala od świata;
Lecz gdy tak padło z klasztoru i boru,
Idę pielgrzymką do starego dworu!
Bo z kąd człek wyszedł, tam mu wracać trzeba:
„Ani Hetmanom bez Boga i chleba!”

Mawiali starzy — więc idźmy, gdzie strzecha,
Na kwietne łąki i cieniste lasy,
Na ciche ranki i na wiejskie wczasy,
Gdzie z bydła sytość, a z ziemi pociecha!

Bo jużciż czasu upłynęło wiele!
A jam nie spytał nawet, jak Bóg radzi
Po dobrych kątach o swojej czeladzi?
A są po świecie gdzieś i przyjaciele!

Bo jużciż z ziemim nie wyrósł tak jeden?
A i nie zawsze żyłem pośród wrogów:
Choć jam się dawno odbił od swych progów,
Jeszcze wśród swoich człek nie taki bieden

Coś ja i posiał — coś ja i posłużył
A choć czas wszystko zaciera i traci,

To jeszcze może — bogdajbym wywróżył!
Ktoś to po leciech choć dzieciom zapłaci

A więc odwiedzić trzeba ścieżki stare,
A i odnowić te zarosłe ślady;
Dotknął Bóg człeka? — ha to dał i wiarę:
Że stara przyjaźń może doda rady

Jeśli nie rady, to może pociechy
Miłość się zwykła trzymać staręj strzechy,
A przy miłości i Bóg dopomoże;
Więc pytam w końcu: —

Cóż tam „w starym dworze?“

Bo wsią prowadzi nie wesoła droga —
Chaty jak ule, w których pszczoła spadła,
Czeladź ponura i tępa i sroga,
I podła nędza coś ludzi przysiadła . . .

Cóż to przednowek tak się dał we znaki?....
Żebyć przednowek! lecz siódmy rok taki!
Mało kto dosiał, to i nędza w domu,
I nie ma rządzić ani słuchać komu

Gdzież się chleb podział? czy jakie uroki,
Że lud od roli taki głodny chodzi —
Jak po niej przeszły fałszywe proroki,
Takie przekleństwo, że ziemia nie rodzi....

Błogosławionęj zabrakło karności
A ziemia święta — a kmieć Boży sługa —
Więc dziś od pługą świecą żywe kości,
Bo tylko dobry może stać u pługą.

Bez Boga wszystko padło w kmiącym domu,
I z biedy dźwignąć nie ma już dziś komu;

Bo wspólna wszystkich i wielka potrzeba,
Jedni rąk żebrzą, drudzy żebrzą chleba

A cóż Pan na to?

— Choć czeladź nie karna,
Pan między głodne dzieli resztę ziarna. —
— Cóż sama Pani? —

— Pani miłosierna!

Jak dawniej jeszcze leczy i pociesza,
A chociaż czeladź podła i niewierna,
Modli się za nią i w sercu rozgrzesza.

— To dzięki Bogu! to jest i pociecha!
I gdy dwór jeszcze tak „odrabia Pańskie“, —
To nie zaginie jeszcze stara strzecha
I znów ztąd wyjdzie ludzkie i kapłańskie!

I przetrwa w łasce tu królestwo Boże,
Bo kiedy wierzą jeszcze pod tym niebem:
„Świat ci kamieniem? bądź ty światu chlebem!“
To jeden zakon w klasztorze i dworze

I zejdzie ziarno dobrego posiewu,
I ludzka ręka te rany zagoi,
I jeszcze tutaj stać staremu drzewu,
A w jego cieniu i dwór ten dostoi! —

PIÉRWSZA NOC WE DWORZE.

Noc Świętojańska siadła na zagrodzie,
Gwiazdy zadrzały na przejrzystej wodzie,
Zapachy trawy odwilgły w pokosie,
I głos ligawki ozwał się po rosie . . .

I świętojańskie wypełzły robaczki,
I co to oraz woni i uroku!
Bo poznały i cętki i ślaczki
Po wonnych krzewach i w starych drzew mroku.

Jak gdybym z ciężkiej podniósł się choroby,
Wszystko mię nowo uderza od doby —
I zapoznawać się ze wszystkiem muszę,
Jakbym po leciech znów odzyskał duszę.

Znajome głosy ozwały się z sioła,
A każdy niby od lepszych lat woła
Na powitanie z sobą towarzysza:
Wielka, swobodna i uroczą cisza!

Cisza na siole, w polach i na borze
I pod okienkiem kwitnie jeszcze róża,
I też ligawka i też nocna stróża,
I po staremu wszystko w starym dworze . . .

MOI HETMANI.

Kto jeszcze w Boga i w lepszy świat wierzy,
Wie, co w uścisku przyjaciela leży!
Więc już nie powiem, za co mi tu stanie,
I jakie było z dworem powitanie?

Jam pojrzał w oczy — on na moje włosy,
I po spojrzeniu pojęliśmy jasno
Ubiegłe lata i rzucone losy —
I biędę świata — i tę drogę własną!

Wielka to była, choć krótka rozmowa,
Chociaż on milczał, a jam nie rzekł słowa!

Spojrzałem z ganku po obejściu w koło,
I jakoś sercu zdało się wesoło.
Więc rzekę: pięknie u Was w starym dworze,
A on mię pyta: Cóż słyhać w klasztorze?

Wielki Bóg bracie! i to nasze szczęście,
Żeśmy wytrwali na przeciwne losy,
Bo kto ku niebu, bluźniąc, podniósł pięście,
Temu na duszę nie zesze Bóg rosy . . .

Cóż cię tu wiedzie?

Los na nowo zaciął!

I już ciż czasu upłynęło wiele,
A jam nie spytał o dawnych przyjaciół,
A są po świecie gdzieś i przyjaciele?

Już ciż są jeszcze i ufaj na śmiało!
A choćby został sercu tylko jeden,
To i tak można wyjść ze świata cało,
I kto tu stoi Bogiem — to nie bieden!

Rozgość się u nas, proszę, po Twój woli,
Nie ma co mówić — ej boli, bo boli!
Lecz my nie pierwsi, i my nie ostatni,
A jak Bóg zechce — wypłyniem z tej matni!

Rozgość się tylko jeszcze w starym dworze!
Gdzież dla mnie kącik? gdzież tu głowę złożę?

Na to gospodarz: „Co się godzi komu,
Lecz już najmiliej w tym drewnianym domu,
Bo ściany białe — zielone firanki,
I sprzęty stare — i okno od wschodu,
I tutaj widok będziesz miał na ranki
I ciche wody — a tu do ogrodu,
Resztę potrafić jeszcze przysposobić . . .
A i te ściany będzie czém ozdobić.“

Boć i we dworze słucha człowiek dzwonka,
To i myśl dobra może się przybłąka?
I siadłem w dworku drewnianym gościną,
I ciche ranki, ciche wody płyną,
I rosą spadły nie jedne pociechy!
I myśl nie jedna budzi się z pod strzechy . . .
I serce znowu już nie jedno wróży,

Bo bardzo cicho — cicho jak po burzy
Więc puszczam sercu i myślom na wolę
I orzę gęsią po zielonym stole. —

Czasem wzrok padnie na bukiet i kwiaty,
Czasem przez okno, lub na ciche ściany,
Lub na portrety patrzę zadumany
A na mnie patrzy pan Hetman brodaty. —

Pięknie ci pięknie Waclawie i strojno,
I z tą buławą i przy karabeli,
Zacną miłością dusza się weseli,
I patrzy na świat mężnie i spokojno

Znałeś, w czem żywot warto tu położyć,
Toś kochał Boga, Muzy i Ojczyznę,
A kto w narodzie wziął taką puściznę,
Czyliż ten jeszcze ma się czego trwożyć?

I tyś pokutne psalmy u kurhanu
Z żalością serca nucił niegdyś Panu,
Chociaż ta ręka, co niosła buławę,
Zdołała sięgnąć i po inną sławę. —

Toś mi też miłym — boś mi lutnią bratni
I po miłości troistój najszczerszy,
Boś z starożytnych niby już ostatni,
A z nowożytnych znowu niby pierwszy. —

I ty Hetmanie! jesteś jak ogniwo,
Co wiernie wiąże podania i losy,
I jako serce, co bije krwią żywą,
I jako hasło, co podaje głosy . . .

Jakże z tém pięknie tym bielonym ścianom,
Że za tło służą poczciwym Hetmanom
I jak szczęśliwie, że niby w przymierzu
I Hetman Klemens znalazł się w pancerzu
W jednej izdebce z Hetmanem brodatym?
Jakże szczęśliwie, że nie koniec na tém:
Że nad to jeszcze Hetmani nie sami,
Lecz że tu każdy znalazł połowicę?
Bo jak znienacka strzelą ich źrenice,
To coś wyraźnie niby duszę mami,
I tak się zdaje, jakby byli żywi! —

Jakoście żyli, tak życie poczciwi
W ludzkiej pamięci jeszcze przez lat wiele!
I kościom Waszym najlepiej w kościele
A skarbom Waszym najlepiej w klasztorze
Ale portretom najpiękniej we dworze,
Gdzie z pokolenia przejdzie w pokolenie,
Bóg i podanie — język i sumienie.

LILIOWY RANEK W POLANCE.

Lipcowe słońce — i nadeszło lato!
Ostatnia może róża się uśmiecha,
I stara lipa okwitła bogato,
A lilia dysze z wonnego kielicha

O lilio biała! ty starozakonna!
Coś na Ołtarze wstąpiła z Maryą,
Powiedz mi, powiedz, prorokini wonna!
Jakie się w tobie tajemnice kryją?

Kwiat twój otwarty — a jednak głęboki;
Takaś poważna — a smukła i szczytna!
O znać, że w ciebie patrzyli proroki,
Bo choć świecąca — takaś aksamitna!

Nie czystsze gwiazdy, co świecą w pokoju,
Sam Eliasz nie był już więcej zakonny,
Ani Salomon w całym swoim stroju
Nie był tak strojny i kadzidły wonny

Jedna cię tylko przeszła „Gwiazda morza“,
W której się nieba tajemnicę kryją,
Z rószczyki Jessego Rodzicielka Boża,
I dla niej wiecznie zakwitaj lilio!

DO PANA SZYMONA.

Pytacie
Mój Bracie!
Co robię
W téj dobie?

A siedzę
We dworze
I gęsią
Znów orzę.

Pieśń pierwsza
Najszczersza
„Z klasztoru
I z boru!“
Pieśń wtóra
„Ze dwora.“

Więc na téj to osi
I myśl się dziś nosi —
I serce się prosi,
I oko się zrosi:
Lecz póty i póty
Duch myślą otruty

I pełen pokuty,
Aż wszystkie boleści
Tęj strony wygłosi,
I w pieśni pomieści,
Co w sercu wynosi,
I ziemskie gorycze
Sam połknie w milczeniu;
A jasne oblicze
Wyświéci w natchnieniu. —

Ha, trudno to światu
I mówić już o tém,
Z jakiego warstatu
I z jakim kłopotem
Te pieśni się rodzą,
Nim życie osłodzą!

Jak mrówka mozolno,
Jak pszczoła tak wolno,
Jak pająk cieniutko,
Jak motyl na krótko
Pracuję i przędę,
I wzlecę i siędę,
I zawsze tak będę;
Bo padło sic nobis!
Sic vos, sed non vobis!

I gdyby ta struga
Z Muz brała początki,
To lutnią na szczątki
Bym pobił — a pługą,
Ej pługą i skiby
Jałbym się na nowo
I żyłbym bez chyby

Szczęśliwie i zdrowo!
 Lecz do tój roboty
 Nie Muzy pogańskie
 Dodają ochoty:
 Po prostu — „To pańskie!“

I grubo ten skłamał,
 Kto mówi tak sobie,
 Że już się wyłamał
 Z pod Pana —

Ja robię! —

I dzieciom przykażę
 Odrabiać jak wprzód:
 Bo Pańskim ołtarze,
 I pańskim narody,
 I pańskim dom stoi,
 I pańskie w ornacie,
 I pańskie za chórem,
 I pańskie we zbroi,
 I pańskie za piórem,
 I pańskie po chacie,
 I pańskie ze dworu,
 Z klasztoru i z boru!

I kto się wyłamał
 Z pod tego zakonu,
 Ten siebie okłamał
 I skonał bez skonu!

Bo kiedy na Pańskie
 Nie wyszedł w potrzebie,
 To będzie „szatańskie“
 Sam robił na siebie!

MŁODE MAŁŻEŃSTWO.

I.

Na wsi dopiero niedziela niedzielą:
I strój i kościół, więc i odwiedziny;
Twarze się niewiast niedzielnie weselą,
Ostro nabite, zawiesiste miny.

Krośnińskie dzwony ozwały się zdala,
I srebrnym dźwiękiem zadrzało powietrze,
I słońce niby jaśniej się zapala,
I tchnienie piersi niby jakieś lepsze.

W kolej po drodze niedzielne ukłony,
Suma wychodzi i ucichły dzwony,
Ozwał się organ — a więc w niebo z wiarą
Płynie modlitwa z Najświętszą Ofiarą.

Jakże to dusza pobożnie wesoła,
Kiedy w powszechniej modlitwie się zleje,
Jak kropla rosy z tém morzem kościoła,
I bierze nowe łaski i nadzieje!

W czasie modlitwy wyczytasz żywota
Na każdej twarzy — ale po ofercie

Otacza kościół aureola złota,
Bo każdy czuje w sumieniu, „co bierze!“

Więc naprzód chwila uroczystej ciszy,
Potem wesołość, spokój lub pociecha,
I znowu wioska swym urokiem dyszy,
I znowu sercu miła stara strzecha.

Czy Bogu miłe te modły? — któż powie?
Czy zmażą stare i te nowe grzechy?
Ale to pewna, że już człowiekowi
Nie żyć na świecie bez takiej pociechy! —

Stasiu! zrób krzyżyk i pocałuj ziemię!
I niech cię chowa Pan w bojaźni swojej!
Boże błogosław wierne Twoje plemię,
A sprawiedliwy niech w Twój pieczy stoi!“

II.

Trzaśnięto z bicza — ruszyły powozy
I droga poszła na rzeki i łązy
Po chwili pytam: A gdzie to my jedziem:
„Ha, jużciż młode małżeństwo odwiedzim!“

Ktoś wziął relikwią patronów Korony;
Ktoś bochen chleba — aby strzesze onęj
Bóg błogosławił w szczęściu i sytości,
Bo młodzi mieli przyjąć pierwszych gości.

Więc parę życzeń i parę łez padło . . .
Dworeczek strojny i nowy jak stadło,
A gospodyni, pełna jeszcze sromu,
Pierwszych swych gości prowadzi po domu.

I rada przyjąć i uraczyć rada,
Lecz roztargnięta, jak ptaszę pierzchliwa,
Nie pewna w sercu, czy się to tak nada,
I niby dziecię wśród obcych trwożliwa.

Zda się, że sama jeszcze jest w gościnie,
Że coś ją wzięło, że się to tak minie;
Choć rada przyjąć i bierze i darzy,
Brak jęj tych znanych kątów i tych twarzy.

Na poły jeszcze w domu, kędy zrosła,
Na poły w domu, gdzie ją Bóg prowadzi,
I tam została i tu się poniosła:
Prawie jak drzewko, gdy go człek przesadzi.

Boleje drzewko choć w najlepszej ziemi,
Gdy przesadzone, aż już dobrze siędzie;
Lecz ty się przyjmiesz, i dobrze ci będzie
Przy dobrej woli między ludźmi temi....

Bo masz to z daru, czego tutaj trzeba,
By życie drugim i sobie ozdobić,
A więc nie trudno będzie ci się dobić
I szczęścia bliźnich i miłości nieba

PRZY PALACEM SIĘ ŹRÓDLE W IWONICZU

ZWANEM

BEŁKOTKĄ.

W cieniu tych lasów, coś tam szemrząc słodko,
Dziś — jak przed wieki — witasz nas „Bełkotko!“
A jak natchnienie przez usta przepływa,
Czysty się płomień z twych nurtów dobywa,
I czią przejęci nad źródłami twemi,
Wielbimy Boga w cudach naszej ziemi!
Bo ogień święty i szmer źródła rzewny,
Co tajemniczo z pod ziemi wychodzi,
Jest temu życiu serc naszych pokrewny,
Co się z płomieni i z łez cichych rodzi.

MALINOWA GÓRKA.

Jako uderza na lazurze chmurka,
Gdy sama jedna po niebiesiech płynie,
Tak wystrzeliła na wielkiej równinie
Po nad Wisłokiem „Malinowa-górka.“

I tak się zdaje, jakby wzgórek śliczny
Do okolicy całej się uśmiechał,
I brał wzajemnie uśmiech okoliczny,
I zna go każdy, co tędy przejechał. —

Ku południowi płynie kraj zbieżysto,
Na zachód poszła obrzednia dąbrowa,
A ku północy, na Wisłok urwisto
I nagle spada „Górka Malinowa.“ —

Jakże ci pięknie u tych skał Wisłoku!
Jak się swobodnie twoje szumy stroją?
I jakże hardo, chociaż niby w mroku,
Jeszcze te wieże Odrzykonja stoją?

Gdy okolicę zwiedzali wojskowi,
Mówili sobie: „Oto pole bitwy!“
A okoliczny lud w przeczuciu mówi:
Że się odbędą tu wielkie gonitwy . . .

I tak to wróżą „Malinowój-górcze,“
Że tutaj mnogie zetrą się proporce,
Że tutaj będzie sama bitwy matnia,
Krwawsza niż kiedy — lecz bitwa ostatnia!

Na starym dębie jest gniazdo bocianie,
I serce pyta: „A cóż się z niēm stanie?
I już te wody nie takie urocze,
I wieża patrzy, jak widmo prorocze!

Trudno nie zadrżać i mieć tu odwagę,
Bo zda się słyszę, jak ta ziemia stęka!
Kto wie, co wojna, ten się o świat lęka,
I kto zna dzieje, zna i bitwy wagę . . .

Może nie jedno zacne serce na dnie
Tych wód przejrzystych legnie tam głęboko!
Może nie jedno konające oko
Na stare gniazdo raz ostatni padnie?

Jeśli wprawnemu oku można wierzyć,
Jeśli na oślepu sercu przeczuć można,
Czyliż nie znajdzie już dusza pobożna
Jakięj kotwicy, by tu się zadzierżyć?

Nie raz, o duszo! dumiałaś w obłędzie
I na mogile i na bojowisku:
Dziś się przypatruj przyszlęmu igrzysku,
I dumaj w miejscu, gdzie mogiła siędzie!

I „łaską grobów“ poświęć pole bitwy,
I łaskę dziejów uprosz dla idących,
I łaskę ziemi uprosz dla walczących,
I łaskę nieba dla przyszlęj modlitwy.

ZA POLEGŁYCH.

Drożyny polnej nikną niby ślady!
Czołno na brzegu, przeprawa i rzeczka —
Wioska za wodą ćmi się między sady,
A górą jakaś omszona wieżyczka . . .

Ozwał się dzwonek — a za jego głosem
Uklękło dziewczę, które wodę niosło,
I uklęknął kosarz w łące nad pokosem,
I uklęknął rybak i odłożył wiosło . . .
I dzwonek dzwonił i umilkł po chwili,
Wszyscy modlitwę klęcząc odmówili,
I jak ich było, tak powstało troje,
I każde znowu wzięło się za swoje . . .

* * *

Nie źle tu, widzę, ludziom za tą wodą,
Znać, że nie każdy do nich się dostaje;
Znać, że poczciwy żywot sobie wiodą,
Kiedy chowają takie obyczaje?

Znać, że tu ziarno dobrego posiewu
Przed wieki padło i na dobrą rolę,

I stać tu jeszcze szczepionemu drzewu,
Kiedy Bóg ludziom daje dobrą wolę . . .

Kiedy przebywał w krainie zamorskiej
Onego czasu Bartek Nowodworski —
Prosił o odpust osobny dla Polski,
I dał go Papięż w łasce Apostolskiej.

Za co?

A za to, że się w imię Pańskie
Cały lud w Polsce witał i pozdrowiał:
A każdy rycérz pacierze kapłańskie
Niby zakonnik na księdze odmawiał

Dziśby już prosić o odpust osobny
Dla tych, co jeszcze trwają w wierze stariej . . .
Lub o modlitwy na ziemi żałobnej
Za tych, co w nędzy odpadli od wiary

Wracając myślą od lat dawno zbiegłych
„Podaj tam czółno!“ — krzyknąłem —

Wszak pono
Na Anioł Pański we wsi zadzwoniono?
„O, nie! mój Panie! — dzwonią „za poległych!“

—Co? za poległych? — za których? i kiedy?
— Któż to wie, Panie! dzwonią tak od wieku,
Bo czyż nie było na świecie dość biedy?

Bywały Turki, Tatary i Szwedy:
To jest za kogo się pomodlić człeku!

Bo kto najechał za czasów ubiegłych,
Statku ni ludzi pono nie przymnożył,
A ktoś tam zawsze i głowę nałożył,
To téż i dzwonią zdawna „za poległych“

Co w tém miłości! pomyślałem sobie,
Dzwonić przez wieki na poczciwym grobie
Tych, co polegli gdzieś tam nie liczeni —
Których zasługę tylko Pan Bóg cení

Nie darmo serce ma ów mały dzwonek
I pierś spiżową — za dzieje się żali,
A żałość ziemi wyśpiewa skowronek,
I żywy człowiek przy tém Boga chwali

To dzieje świata i dzieje kościoła
Po starych grobach zbiera miody pszczoła,
Po ziemi idzie puścizną kochanie,
A po modlitwie duchów obcowanie. —

W małym kościółku, co wśród wioski stoi,
Cicha pobożność w kwiaty ołtarz stroi
Staro-gotyckiej szkoły obraz święty
Jak tu wniesiony, widać, że nietknięty

I nabożeństwo rzadko się odprawia,
Choć pozostało wszystko z lat ubiegłych

I dobrą pamięć tylko dzwonek wznawia,
Bo codzien dzwoni ktoś tam „za poległych“....

* * *

Oj nie ma, Panie! już nawet pamięci,
Jak się ta pamięć „za poległych“ święci:
Ale jak ojcom mawiali ojcowie,
To nachodzili na kraj Tatarowie.

I pustoszyli i ogniem i mieczem.
Lecz raz spotkała ich tutaj przygoda,
I rzekli ludzie: „Tutaj ich wysieczem,
Kiedy przybyła na Wisłoku woda!“

I wszystkie pola zaścieliły trupy,
Bo się pogaństwo w powrocie nie strzegło.
I odebrano i ludzi i łupy,
Ale i naszych nie mało poległo.

Gdy się ocknęli ludzie po tej bitwie,
Między łupami i dzwon znaleziono,
I ktoś zadzwonił — i odtąd już pono
Chwali wieś Pana w codziennój modlitwie.

Zkąd dzwon był wzięty — kogoż było pytać?
Jest na nim napis — lecz tak rozum błąka,
Że go i księży nie mogli odczytać!
Więc stanął kościół dla miłości dzwonka.

I taki zwyczaj z lat dawno ubiegłych,
Że ludzie mówią „dzwonią za poległych“ —
A że nie wadzi, co dobre człekowi,
Więc też i paciierz nie jeden odmówi . . .

Z PUSTYŃKI ŚWIĘTEGO JANA Z DUKLI.

Ostatni pański dworzec pod górami
Świeci w tej Dukli staremi murami,
I parę świątyń wśród gór tu się chowa,
A po nad niemi już we mgłach Cergowa . . .
I stary zegar wybija godziny,
Jako przed wieki stare dzwony biją
I przeszły sławne i możne rodziny —
A pańskie trumny w kościołach się kryją.

Po sławnych niegdyś przebrzmiała już sława,
Po sprawiedliwych pozostały prawa,
Po możnych pamięć pozostała zbytku . . .
Ale jak bije na Cergowej źródło,
Co było w Bożej miłości poczęte,
To dzisiaj jeszcze w sercach nie wychłudło,
I wieczne żywe, jest w pamięci — Święte!
O i nie do tych duch się w dziejach garnie,
Co żyli w złocie, a dziś śpią w marmurze,
Ale co żyli dla świata nie marnie,
A dziś czuwają jak Anieli-Stróże
Nad ową ziemią, co im rodzicielką,
Którą miłością kochali tak wielką,

Że na jej skrzydłach i za jej przyczyną
I dziś ku niebu jeszcze serca płyną.

Błogosławiony żył tu sługa Boży
Niegdyś Jan z Dukli — i wierna Cergowa
W świętej pustyni ślady jego chowa,
Gdzie obok źródła sypiał na rogoży.
I święte źródło bije tam wieczyste,
I w mroku starych buków uroczyste
I wiecznie żywa tam serca prostota
Odnawia pamięć świętego żywota.

Kiedy Jan z Dukli po tej ziemi chodził
I świętobliwym żywotem zasłynął,
Bóg takim światłem dusze mu nawodził,
Że naród za nim, jak za świętym płynął

Więc ksiądz Prowincyał zjechał do klasztoru,
A chcąc doświadczać jeszcze jego cnoty,
Z cichej pustyni wezwał go do chóru
I coraz cięższe zadawał roboty.

I już nie wolno było mu ni siedzieć,
Ni spać, ni modlić, ni wziąć pożywienia,
Ale się naprzód musiał opowiedzieć,
I u starszego prosić zezwolenia.

Czém większa była zakonna surowość
I czém twardszego żądano posłuchu,
Tém i pokora większa i gotowość,
Tém więcej święty weselił się w duchu.

Kiedy raz z rana zapytał nieśmiele,
Gdzie mszę mieć będzie?

Ksiądz Prowincyał powie:
Taka ma wola, że w naszym kościele,
Ale przed wielkiem ołtarzem we Lwowie.

Mąż święty na to nie rzekł ani słowa,
A wzniosłszy oczy z radośnym uśmiechem,
Jak gdyby ze mszą, w ornacie, z kielichem
Prosto z zakrystyi wyruszył do Lwowa.

Z książką i z dzwonkiem szło przed nim pachole,
I niestawając szli i dniem i nocą,
A pan obudwu trzymał na swym stole,
I krzepił łaską i nadziemską mocą.

Już z Dukli ludzi wyruszyło wiele
A gdy mąż święty przy każdym kościele
Na drodze swojej uczył i pocieszał,
Z wsi i miasteczek tłum za nim pośpieszał.

I kiedy przybył nareszcie do Lwowa,
Mówili sobie i wielcy i mali:
„Tego kapłana Bóg w swęj łasce chowa,
Gdy taka rzesza przy nim Pana chwali.“

A więc we wszystkie uderzono dzwony . . .
I wielka jasność świeciła mu z czoła,
Kiedy zawołał wszedłszy do kościoła:
„Niech będzie Jezus Chrystus pochwa-
lony“.

Kiedy Mszę Świętą następnie odprawił,
Wielką nauką całą rzeszę skruszył . . .

A kiedy skończył — już dłużej nie bawił,
Ale napowrót do Dukli wyruszył

I ruszył za nim cały tłum narodu
I wychodziły z procesją gromady,
I od wsi do wsi, od grodu do grodu
Stąpała rzesza w jego święte ślady.

A gdy do Dukli przybył już ze Lwowa,
Mówili sobie i wielcy i mali:
„Oto mąż Boży i święta to głowa,
Gdy taka rzesza za nią Pana chwali!“

I sam Prowincyał poczcił sądy Boże
I podał wodę święconą u progu,
I rzekł w miłości i w ducha pokorze:
„Wracaj na puszcę: boś ty miły Bogu!“

PRZEDNOWEK SKOŃCZONY.

Już się dym z chaty wzniesie czasem zrana,
Już się i śpiewka, z dawna nie słyszana,
Ozwie czasami po ścierni i rosie,
I wyszła biedna wdowa na pokłosie.

Miła ta ścieżka, co kręto prowadzi
I na podwórka i na wiejskie sady,
I miło sercu, że biednej czeladzi
Nowy chleb dodał tak do razu rady?

Nie dawno jeszcze była cisza głucha,
Jakby żywego nie było tu ducha —
Dziś ruch po chatach i nowa ochota
I w każdym kącie życie i robota!

O zniwo! zniwo! nadzieja nie marna!
Już i cep bije i szumią już żarna,
I pierwsza rozkosz najpierwszego zniwa,
Ten ranny zapach wiejskiego pieczywa.

Między półkopki pasie się już krówka,
Przybyło mleka — to i dziatwa drobna

Znowu na przyzbie wesoła jak mrówka,
I macierz nędzna już nie tak żałobna . . .

Lecz żywy obraz Opatrzności Boskiej
Wiecznie ta wdowa, co tam zbiera kłoski,
Co po tej ścierni powoli tam kroczy,
I często zwraca ku Niebu swe oczy.

Co to się żółci i biedy najedli
Gramatykarze, nim jasno dowiedli
Całemu światu — aż po źródłosłowie
Że „zboże“ — z Boga — a „ubogim“ zowie
Się przeto tylko „ubogi“ na świecie,
Bo coś „u Boga“ musi mieć tam przecie!

Znać, że z nich żaden na przednowku głodu
Nigdy nie zaznał; — znać z tego wyvodu,
Że nie widzieli ni twarzy głodowej,
Ani zakonnej na pokłosie wdowy.

Ha, idźmy dalej! —

Cóż ekonomiści?

Ekonomiści mądre księgi piszą:
Lecz głód jak czyścić — ciągle ludność czyści,
A stare dwory zaledwie już dyszą!

Bo u nas zdawna ekonomia taka:
Jak Bóg zarodzi — to jest chleba dosyć,
Ledwo go przeżąć, i ledwo przekosić.
I bresze nawet wesoło sobaka!

Jak nie zarodzi — a przednowku pora,
To wór na plecy i dalej do dwora!
„Daj Panie chleba!“ —

A więc póki staje,
Pan jako dawał, tak i dzisiaj daje . . .
Lecz jak już w worach wyniesie się zboże,
I uprawnienie równe nie pomoże,
I jak to mówią „ni z tyłu, ni z przodu!“
A więc mrą ludzie lub puchną od głodu . . .

W DRODZE DO MARYI-POLA.

Pies — mówią — przetrwa trzy płoty i koty;
Koń — trzy psy przetrwa; a człowiek trzy konie!
Dawno, znać dawno nie byłem w téj stronie,
Bo inne widzę psy, konie i płoty . . .

Zarosły ścieżki — zmienili się ludzie!
Gdzie równo było — dziś gdyby po grudzie —
Gdzie lasy były — jak na dłoni czysto,
A młody zapust strzelił w las gaisto . . .

Coś to zapewne już i lat ubiegło:
Coś w téj Wisłoce upłynęło wody,
Jak tu nie jedno już ugorem legło,
Jak się odbiłem od mojej zagrody?

W MARYI - POLU.

Jak dawniej zdala wita dąb wyniosły,
I zapach znany z łąki pokoszonej,
I znane sercu te Gorlickie dzwony,
A moje drzewa — ach, jakże porosły!

Domku mój stary! domku pod dębami!
Obaśmy widzę na świecie już sami?
Źle ci beze-mnie, — źle i mnie bez ciebie!
Tyś zalazł w ziemię — moje wyschły kości . .
A co najgorsza, kiedy świat tak grzebie,
Trudno i myśleć nawet o przyszłości!

Chwast na dziedzińcu — w sadzie zrosła dziczka,
Zginęły róże — ale źródło grzeczne!
I dęby stoją jak dawniej bezpieczne,
I pozostała na dębie kapliczka,
A więc zostało — co czyste i wieczne!

Powiem to pieśniom, którem tutaj spisał,
Powiem to dzieciom, którem tu kołysał,
Co się w pożytek na świecie obraca,
I jakich śladów sam czas nie zatracą,

Studnio, daj wody! daj mi listek dębie!
A Ty królowo prowadź w dalszą drogę! —
Dłużej tu bawić nie chcę i nie mogę!
Bo i dębowi nawet źle na zrębie

KRZYŻ NA STEPIE.

. . . I my w Arkadyi poczęli te dzieje!
A dziś już tylko w książce szukać nieba . . .
Panie Tytusie! trzeci dzień dészcz leje,
Otożby ducha czém pokrzepić trzeba!

Chmurzyska patrzą na świat gdyby sępy,
I biédnym w sercu, a i w duchu tępym!
Mieli ojcowie w słoćę swe pociechy,
Póki się węgrzyn trzymał staręj strzechy.

Nam już innego potrzeba kordyału,
Bo idą na nas borsukowe lata,
I przekonanie dziś miejsce zapału
Zajęło w sercu — a więc i strach świata . . .

„Nudzisz, braciszku!“ — Pan Tytus mi na to —
— Nudzę, bom nudny! —

Ale panie zawsze
Na nudnych ludzi od panów łaskawsze,
Więc rzekła ciesząc: „Wszak jest babie lato!“

„To nie potrzeba i rozpaczą grzészyc,
Moi kochani! znamy my was, znamy!
Potrafim jeszcze i w słoćę pocieszyć,
I tych borsuków wyprowadzić z jamy!“ —

„Będę lektorką! ale proszę grzecznie
Siedzieć i słuchać! — No, czegoż Wam trzeba?“
— Jużciż jednego trzeba tylko wiecznie,
Człeka na ziemi, a nad ziemią nieba. —

Co się podoba! kalendarz, kantyczki,
Byle to było pocziwe i nasze!
Dzięwczę u źródła — dziecię u kapliczki —
Koń u namiotu — u mogiły ptaszę. —

Byle w kałuży nie utknąć za progiem,
Byle się spotkać z człowiekiem i Bogiem,
I z czystą wodą lub z jędrnym oddechem,
I z nocną ciszą lub ranku uśmiechem.

„Nie złego widzę panom się zachciewa!
Tak w sam rym trafić, to nie bardzo snadnie,
Lecz koń i namiot wszak na stepach bywa?
Więc „Krzyż na stepie“ może wam przypadnie?

„Step—wielka karta—a krzyż—wielkie znamię,—
Krzyż nie zawiedzie — a step nie okłamię!
A więc cóż na to wielmożni nudziarze?“ . . .

.
— Jużciż słuchamy, kiedy pani każe! . . .

A więc usiadłszy słuchaliśmy oba
Zrazu niedbale i bardzo krytycznie,
Bo kwaśnej duszy nic się nie podoba;
Lecz jak nas powieść wzięła poetycznie,
I jak czarami w inny świat przeniosła,
Kiedy nas owiał urok pięknej wioski,
A potem jeszcze stepu oddech boski,
Darmoż odprawić było niebios posła?

Bo nie oderwać ni serca, ni ucha,
Jak od téj pieśni, co to rodem z ducha,
Jak od toastu w uniesienia chwili
Ust nie oderwać — aż się już wychyli

Lektorka nasza odłożyła księgę
I zapytała: „Cóż moi Panowie?
Czy tam deszcz leje jeszcze na potęgę?
Czy jeszcze słota i w sercu i w głowie?“ —

„A gdzież tam słota! pogoda! prześlicznie!“
I jakoż, gdyśmy wrócili do siebie,
Była pogoda w duszy i na niebie —
I gwiazdy drżały jakoś eterycznie. —

Z każdego balu to najlepsze pono,
Że jest po balu pobalowa chwila,
W której jak obraz staje całe grono,
Którą się serce na długo zasila,
A więc usiadłszy do herbaty w kątku,
Snuliśmy jeszcze długo z tego wątku . . .

Powieści dzisiaj dość na świecie bywa,
Wyuczył kuglarz sztuk z jednéj butelki,
I szklanka wody rzecz nie osobliwa;
Lecz czysta woda, to wiecznie dar wielki,
Bo czysta woda, to i czyste źródło —
A mimo wszelkie wrzaski tryumfalne
W literaturze dziwnie coś pochłódło,
I są źródelka brzydko mineralne . . .

„To coś już znowu zakrawa na słoć!“
Rzekła lektorka — „a ja mam ochotę,
Wiedzieć koniecznie, co w powieści maćej

Tak Was zajęło?“ —

„Pan pólkownik cały!

Półkownik piękny! kocham pólkownika!
 Bo po rycérsku dzielny i ozdobny,
 Jak król pustyni, gdy stepem pomyka,
 A w sercu jakoś tak pięknie żałobny,
 Że go i kochać i rozumieć trzeba,
 Bo związek ziemi z zniebem wyrozumiał,
 I w prostéj duszy tak pięknie zadumiał,
 Że znalazł drogę ze stepu do nieba.“

„Cóż bohaterka? a cóż piękna pani?“
 „Ot lafirynda! ot sobie Kamilka!
 Chora, zraniona, a mimo to rani.
 Ale i dla niej jest tam piękna chwilka.“
 „Bo pojąć życie, którem wyżsi żyją
 I wzbic się z nimi, gdy się oni wzbiją,
 Choćby raz w życiu, choćby nie na długo,
 I to już pięknie i to już zasługą!“

— Co do mnie jednak, mnie za duszę trzyma
 Ów koń pustyni, kiedy strzyże uchem,
 I w stepie wietrzy świętego pielgrzyma,
 Jakby przeczuwał, że tu sprawa z duchem:
 Co to od grobów ziemi Świętęj wieje,
 I ziarnem Bożem po wszem świecie sieje,
 I choć krzyżami drogę swoją znaczy,
 Światłem niebieskiem i miłością raczy.

Ten oddech stepu wielki i szeroki,
 Ten „krzyż na stepie“ prosty i wysoki,
 To i świątynia i odprawa święta,
 Podniosłą duszą i gładko ujęta!

Z niewiela czego a piękną rzecz zrobił,
W całej powieści ni złości, ni brudu,
Nikt się niezabił, nikt się ani pobił,
Węzeł rozcięty, a bez krwi i cudu. —

To się już dzisiaj zdarza bardzo rzadko,
Namiot i kozak, a i step i konie . . .
A wszystko poszło i grzecznie i gładko,
Że mało kiedy bywa tak w salonie. —

To dar prawdziwy, i tego nam trzeba:
Człeka na ziemi, a nad ziemią nieba . . .
I wielka prawda, że krzyż wielkie znamię,
Krzyż nie zawiedzie, a step nie okłamie . . .

DO WALENTYNY TROJANOWSKIEJ.

Każdy rok znaczył niezatarte ślady,
I przechyliło się nasze stolecie,
I jak w połowie życia lub biesiady
Warto się znowu obejrzyć po świecie . . .

Boć to stolecia, to biesiady Boże —
Płyną jak fale w ocean wieczności,
Życiem wir dziejów wybija na morze,
A kiedy wraca, to zamiata kości . . .

I cóż zostało z całego półwieka,
Co było z Boga, albo z ducha rodem?
Co się jak kryształ ścięło dla człowieka
I odtąd gwiazdą świeci nad narodem!

Z podniosłem sercem i z duszą wyniosłą
Możnaby spojrzeć dzisiaj już za siebie,
Bo w płody ducha nieszczęście urosło
Siejące gwiazdy na dziejowém niebie.

I gdyby nie myśl, że to kwiatów tyle,
Któremi nasze sypnęło stolecie,
I z łez i ze krwi wzrosło na mogile —
To z dumą spojrzeć możnaby po świecie!

Lecz myśmy życiem przeszli lutni dzieje
Z boleścią serca, z duszy niepokojem,
I duch stólecia, co w narodzie wieje,
Nie raz nas w locie owiał skrzydłem swoim.

A lutnia nasza to harfa Eola,
Dla nięj nie trzeba ni mistrza ni ręki,
Niech tylko wietrzyk pociągnie przez pola,
A już drżą strony ojczystemi dźwięki.
I takięj ciszy nie zna już powietrze,
Gdzieby nie grała choćby jedna strona,
Bo nawet piersi westchnienie najleksze
W nięj się odezwie wprzód, nim jeszcze skona.
I co jest głosów w całym przyrodzeniu,
I co jest głosów w tajnej ducha głębi,
Co siły dzielnej w twórczym ziemi tchnieniu,
Czém niebo świeci i czém morze kłębi:
Przez naszą lutnią wszystko to przepływa!
I ona niebu i ojczyźnie śpiewa,
Bo jak ojczyzna harfa Eolowa,
Na której Stwórca sam nawiązał strony . . .
A za nagrodę wywabia z nięj tony
Dusza, co Bogu swoją miłość chowa.

Przeszliśmy razem lutni naszej dzieje
Z boleścią serca, z duszy niepokojem
Wszelkie obawy i wszelkie nadzieje . . .
I cóż powiemy, gdy u kresu stojem?

Iskrę geniuszu w narodzie zapalił
Bóg ręką swoją, aby się oczyścił,
I wiarą ojców znów Pana pochwalił,
I obietnicę Pańską w sobie ziścił,

Iskra geniuszu upadła jak chłosta;
I co w miłości dała dusza prosta,
To w dom rzucono jak z piekła pochodnie,
I łzy pocziwe wyrosły na zbrodnie,
I krew pocziwa poszła na ofiarę . . .
Nowe zawiodło, a runęło stare,
I duch narodu na długo zatruty,
I znowu jedna tylko jeszcze droga:
Kto nie miłością, ten drogą pokuty
Pójdzie do Boga, albo mimo Boga.

KAZIOWI W DZIEŃ IMIENIN.

Mój Kazieńku! To najlepsze
I po Bogu i po roli,
To, co w życiu nas podeprze
Ludzką radą w dobrej woli.

„Wstawaj rano! sypiaj twardo!
Hartuj duszę — jadaj miernie,
Z bolem łam się z młodu hardo,
A dochowaj słowa wiernie.

„Ucz się słuchać — abys umiał
Rozkazywać, gdy tak padnie;
Ucz się pracy, byś zrozumiał,
Co tam leży w życiu na dnie.

„Ucz się milczeć — byś treściwie
Umiał podnieść w niebo głosy;
Ucz się modlić — byś cierpliwie
Umiał wytrwać na złe losy.

„Dobra wola — to skarb w życiu,
Co się tylko czynem żywi . . .
Dobre chowa się w ukryciu;
Ztąd kochani, miłościvi.

„Rano rozważ, co masz czynić,
Nim postawisz krok na progu,
A wieczorem licz się Bogu!
I już lepiej jest obwinić
W sercu siebie, niżli bliźnie,
Kiedy noga się pośliźnie.
Nic nie pocznij bez rozwagi,
Boga wzywaj do pomocy:
To nie braknie ci odwagi
Ani we dnie ani w nocy.“

KOMETA.

Jakiś ruch wielki zrobił się z wieczora,
I wszystko wyszło ze starego dwora,
I każdy woła do drugich i siebie:
„Gwiazda z ogonem! kometa na niebie!“

I chwila ciszy — w której każdy wзира
Do własnej głębi i serca się radzi,
Albo się myślą w sądy Boskie wdziera:
Co to ta gwiazda za sobą prowadzi? —

Po takiej chwili niemego badania
Różne domysły, życzenia i zdania:
„Wrześniowa gwiazda to i na moc wróży,
Może też zdrowie już ludziom posłuży?“

„Z południa wyszła a na zachód bieży,
Znać po zachodzie tą różgą uderzy,
Może na niebie coś się tam przesila?
Może się światu zbliża wielka chwila!“

Prawda, że pięknie i wesoło kroczy,
I dziwnie ńęci i serce i oczy,
Bujnym ogonem jak snopem zamiata,
Może też wróćą urodzajne lata? . .

„Nie, to na wojnę! — ktoś inny powiada —
I była taka w jedynastym roku.“

— O nie! z tój pójdzie światu dobra rada,
A tamta krwawo świeciła w obłoku!

I tak krążyły długo różne zdania,
I różne wróżby, różne przekonania
Aż gwiazda zaszła na wieczorném niebie,
Rzekł ktoś śród tłumu niby sam do siebie:

Kiedy Bóg w ugór puścił dzisiaj ludzi,
To tylko jedno życzenie się budzi:
Wiele boleści — a cały świat czeka,
Daj panie światu wielkiego człowieka!
Jeżeli ziemi urość ma wesele,
Postaw wielkiego człowieka w kościele!
Bo bardzo nędzna bez tój łaski nieba,
Bo światła, ciepła błaga świat po mrozie
Jeżeli światu chłosty jeszcze trzeba,
To daj go Panie nawet i w obozie!
Bo taki w dziejach już porządek stary:
Kto nie chciał Bogu da światu ofiary,
I z nędzy własnej i z światowych śmieci
I ze krwi własnej i ze własnych dzieci.
Więc daj go nawet w nieprzyjaciół domu!
Wielkie, nie straszne — straszno ginąć marnie,
I śmierć głodowa straszniejsza od gromu,
Wielkie, nie straszne — bo wszechmocą garnie.
A kiedy cała — cała ludzkość czeka,
Daj Panie światu wielkiego człowieka!

DO

J P.

Pan w łasce swojej wszystko może sprawić,
Bo krzyżem drogę wyznaczył do nieba.
Lecz by przed Panem grzesznych w łasce stawić,
Twojej nam cnoty Justyno potrzeba!

Wszak ty znasz wielkie Twój Patrony dzieje!
O ziemską miłość rzewnie ją proszono,
A ona dała tę, co Chrystus sieje,
I tą miłością bije Twoje łono

Idź w Panu drogą, jakąć Pan przeznaczył!
Bo kogo świętą wolą natchnąć raczył,
Za tym iść łatwiej. — Idź Justyno przodem,
A wielu pójdzie za Twoim przewodem

DO

PANI MACIEJOWEJ KRASICKIEJ,

Z DOMU

STADNICKICH

POSYŁAJĄC JEJ „MOHORTA“ DO DUBIECKA.

Co z domu wyszło, niech do domu wraca,
Jak owoc wdzięczny i poczciwa praca;
Jeślić łza padnie przy wspomnieniach znanych,
I na ten widok postaci kochanych,
To jej nie otrzyj! — bo takimi łzami
Nikt nie zapłacze — ni po nas — ni z nami!

Z Krakowa

d. 10. Stycznia 1855. r.

POST SCRIPTUM.

Trudno na słońce z tém, co zrosło w cieniu, . . .
Trudno przemówić po długim milczeniu,
Lecz darmoż także, żeby smutną głowę
Kwiat, w cieniu zrosły, nie podniósł do słońca . . .
I darmoż milcząć upornie do końca,
Gdy matka wiarę, a Pan Bóg dał mowę?
Więc niech to żyje w poświęconém kółku,
Czemu na świecie nie ma już przytułku . . .

Przyjmij tę księgę, drogi przyjacielu!
Którą ktoś szczęściem, czy nieszczęściem zeszył,
Bo gdym się w sercu nareszcie rozgrzeszył,
Cóż o tém mówić, że brak tu kart wielu?

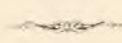
Z lat bardzo różnych, z bardzo różnych czasów
Niby traf ślepy pozrzucał tu karty,
I ani śladu nie jednych zapasów . . .
Nie jeden rozdział całkowicie zdarty.

Ale cóż począć? cóż to wreszcie szkodzi?
Zarosły ścieżki i krew rdzą zakrzepła,

A światu tylko o wianeczek chodzi,
O trochę cieniu i o trochę ciepła.

Więc chociaż życie nie składa się w wianek,
Niechaj się nagnie choć z pieśni równianka —
Byle się skłonił do wieczora ranek,
Mniejsza kto obrał ciernie z tego wianka.

SIEDM
PSALMÓW POKUTNYCH
Z PSAŁTERZA DAWIDOWEGO
UŁOŻONYCH DO ŚPIEWU.



ANTYFONA. „Nie racz pamiętać Panie na występki nasze albo rodziców
naszych i nie racz nas karać za grzechy nasze.“

I.

PSALM 6.

Nie karz mnie Panie w Twój zapalczywość,
A w rozgniewaniu nie bierz pomsty ze mnie,
Ale się zmiłuj, uzdrów mnie tajemnie!
Boć udręczone są Panie me kości
I dusza moja jest bardzo strwożona . . .
Pókiż mnie trzymać będziesz na katusze?
Obróć się Panie, a wyrwij mi duszę,
Wybaw i przyjmij do Twojego łona.
Do miłosierdzia Twego przyjm mnie w Niebie,
Bo gdy nieprawy tę ziemię posiedzie,
Kto w ówczas w śmierci pamiętać na Ciebie,
A w piekle, Panie, kto Cię chwalić będzie?
Ja pracowałem we wzdychaniu mojem
Duchem ku Tobie, Boże wielkiej mocy!
Będę polewał pościel łez mych zdrojem,
Będę umywał łożę każdej nocy
Oko me, Panie, od zapalczywości
Jest zatrwożone — bom zaparł miłości
Wszystkie w mych piersiach — w jednej żyjąc ziemi
Jam się zastarzał z wrogami wszystkiemi.

Ale odstąpcie wszyscy już odemnie,
Co przeciw Panu nieprawość czynicie!
Bo głos mych płaczów wysłuchał tajemnie
I mą modlitwę Pan już przyjął skrycie . . .
Przeto niech będą srodze pohańbieni
Nieprzyjaciele — i niech złe obrzydzą;
Niech będą wszyscy wielce zatrwożeni,
Niech się nawrócą i prędko zawstydzą

II.

PSALM 31.

Błogosławieni, których Pan nie spytał
O ich nieprawość i zakryte wady,
Błogosławiony, co mu nie poczytał
Grzechu — a nie masz w duchu jego zdrady.
Ja, iżem milczał, gdym wołał dzień cały,
Kości się moje, Panie, zastarzały:
Boć ociężała i we dnie i w nocy
Nademną, Panie, ręka Twój wszechmocy!
I nawróciłem się do Ciebie wiernie,
Gdy w mym ucisku we mnie tkwiło ciernie
Przetomż oznajmił grzech mój, Panie, Tobie!
I co nieprawe, nie tałem w sobie.

Rzekłem: wyznawam niesprawiedliwości
Przeciwko sobie, Bogu mój pociechy!
A Tyś odpuścił moje nieprawości,
A Tyś odpuścił, Panie, moje grzechy!
Dla tego będzie w serdecznym pochopie
Wszelaki Święty mąż, czasu przygody,
Modlił się Tobie — wszakże w wód potopie
Już nie przybliżą do Niego się wody
Tyś mą ucieczką w utrapienia chwili,
Które mnie bardzo, bardzo ogarnęło!
Wyrwij mnie od tych, co mnie otoczyli!
Radości moja! Czyń miłości dzieło! —

Rzekłeś mi w Twojej obietnicy Panie!

„Dam Ja ci rozum i sprawię twe zdanie,

„I wskażę, kędy twa droga się toczy,

„I sam umocnię nad tobą me oczy!

„Nie będziesz, jako koń i muł bywają,

„Którzy rozumu i woli nie mają!“

Toć ściśnij jeszcze uzdą i wędzidłem

Tych, co nie przyjdą spocząć pod Twym
skrzydłem.

Wiele jest Bożych biczów na grzesznika,

Ale kto ufa, nie ulegnie marnie:

I ufający ujdzie przeciwnika,

I miłosierdzie Boże go ogarnie!

Przetoż się w Panu weselcie szczęśliwi!

I radość bierzcie ludzie sprawiedliwi!

A wszyscy chwałę odnoście wybrani,

Co prawe serce przynosicie w dani

III.

PSALM 37.

Panie! nie strofuj mnie w zapalczywości,
A w gniewie Twoim nie karz mnie Jehowo!
Bowiem utkwiły we mnie strzał Twych ości,
Bowiem wzmocniłeś rękę Twą surowo!
I nie masz Boże zdrowia w ciele mojem
Dla obliczności gniewu Twego, Panie;
I kości moje nie spoczną pokojem,
Dla przytomności grzechów i kar za nie.
Bo nieprawości obeszły już ziemię,
I moją głowę grzechy przewyższyły,
I obciążyły mnie, jak ciężkie brzemie —
A blizny moje przez głupstwo pogniły.
Znędziałem wszystek, skurczyłem się cały,
Przez dzień chodziłem smutny i zbołały —
Bo biodra pełne są naigrawania,
I niemasz, Panie, zdrowia w mojem ciele:
Bom ryczał z bólu od serca wzdychania,
Bom jest i strapion i ponizon wiele!

Przed Tobą, Panie, jest chuć moja wszelka,
I me wzdychanie, i ma żałość wielka
Nie są Ci skryte — Serce me strwożone;
I precz odbiegły mnie też moje siły,
I nie są przy mnie i jasności one,
Co w oczach moich Twe Niebo odbiły!

Bo przyjaciele i ci moi bliscy,
Przeciw mnie stojąc, do mnie się zbliżyli;
A ci dalecy, gwałty mi czynili,
Którzy szukali duszy mojej wszyscy
Marności prawiąc, złęgo mi szukali —
A przez dzień cały zdrady wymyślali.
A ja, jak głuchy, niby nie słyszałem,
I jako niemy, ust nie otwierałem:
Stałem się jako człowiek nie słyszący,
Odporów w uściech swoich nie mający.
Albowiem w Tobie jest moje ufanie!
A w mym ucisku wysłuchaj mnie Panie!
Bom Ci tak mówił: „Aby się też kiedy
Nie weselili nademną me wrogie,
Co wielkie rzeczy czyniły z méj biedy,
Podczas gdy moje szwankują dziś nogi“ —
Bom ja na bicze gotów i na prawdy,
I przed obliczem jest Ci ból mój zawdy!
Bom mą nieprawość sam Tobie określił,
I za grzech będę też z żałością myślił. —

Ale, o Panie! nieprzyjacieli żywie!
Wrogie się moje nademną wzmocnili:
A ci, co dręczą mnie niesprawiedliwie,
Po téj się ziemi bardzo rozmnożyli!
I ci, co zwykle złe za dobre dają,
Mnie uwłaczali — i ci mnie też łają,
Iżem Cię, Panie! w sercu mojem chował,
Iżem dobroci Twojej naśladował! —

Toć mnie nie odstęp, Panie, w mym frasunku,
Boże zbawienia! Bądź mi na ratunku!

IV.

PSALM 50.

Zlituj się Panie mojego ubóstwa
Według wielkiego miłosierdzia Twego!
A według źródła Twych litości mnóstwa
Nieprawość moją zgładź dnia dzisiejszego!
I jeszcze więcej, z nieprawości mojej
Obmyj mnie, Panie, Twą ręką tajemną
I oczyść z grzechu — boć nieprawość stoi,
I grzech mój, Panie, zawdy jest przedemną!
Złość jam uczynił, i bardzom się skrzywił,
I Tobie grzech mój te usta wyznają:
Byś się w Twych mowach Ty usprawiedliwił,
Żebyś zwyciężył, gdy Cię posądzają.
Oto poczęty jam jest w nieprawości —
W grzechum poczęty, w grzechum się uchował,
Ale Tyś, Panie, prawdę umiłował
I objawiłeś mi skryte mądrości . . .

Pokropisz, Panie! hyzopem me ciało,
A wrychle będę wszystek oczyszczony,
Obmyjesz z grzechu, a powstanę z chwałą
I będę wszystek nad śnieg wybielony!

Słuchowi memu dasz wesele one,
A radość przejmie kości poniżone.
Odwróć od grzechów mych oblicze Twoje,
A zgładzisz wszystkie nieprawości moje!

Serce chciej czyste we mnie postanowić,
Ducha prawego w wnętrzościach odnowić,
A nie odrzucaj od Twój obliczności —
Lecz duch Twój, Panie, niechaj we mnie gości.

Przywróć mi radość Twojego zbawienia,
Duchem przedniejszym dodaj potwierdzenia,
A dróg Twych będę nauczał, mój Panie!
Że się niezbożne zwróci na wołanie.

Wybaw mnie ze krwi, bym w Tobie ocalał,
Wybaw mnie Boże zbawienia mojego!
A będzie język z radością wychwalał
Twą sprawiedliwość czasu wszelakiego!

Otwórz me wargi, abym usta władał,
A chwałę Twoję będę opowiadał.

Bowiem, o Panie! gdybyś chciał ofiary,
Wzdybym Ci ją dał, gdym dzień cały szlochał,
Ale Ty, Panie, gardzisz tymi dary,
W całopaleniach nie będziesz się kochał. —

Ofiara wdzięczna, Tobie wielki Boże!
Jest duch strapiony — i przed Twoim tronem
Nie wzgardzisz duchem rozlanym w pokorze
I sercem w skrusze Tobie unizonym

Uczyń, o Panie, dobrze Syonowi
W dobrej Twojej woli! by się dla Twój chwały,
Jerozolimskie mury zbudowały,
A wszelki język moc Twoję opowie!

I w ówczas wdzięczne przyjmiesz znów ofiary
Sprawiedliwości — i objaty w darze,
Całopalenia i wszelakie dary
Tedy nakładą na Twoje ołtarze

V.

PSALM 101.

Modlitwę moją wysłuchaj, mój Panie!
I niech do Ciebie przyjdzie me wołanie!
Któregokolwiek dnia jam uciśniony,
Oblicza Twego nie zwracaj odemnie —
Któregokolwiek pod Twoje obrony
Ja się uciekam, pociesz mnie tajemnie!

Jako dym bowiem dnie moje ustały,
A kości moje jak skwark wywiędniały.
Zwiądłem jak siano na upale Nieba,
I wyschło serce moje dla żałości,
Iżem zapomniał jadać Twego chleba,
Do ciała mego przyschły moje kości.

Ptakowi puszczy podobien się stałem,
Stałem się jako ów kruk w pustkach nocny . . .
Jak ptak na dachu ze strachu nie spałem,
Chory na duszy, na ciele nie mocny.

Bowiem mi Panie, srodze urągali
Nieprzyjaciele moi przez dzień cały —
A ci, co w szczęściu dawali pochwały,
Przeciwno mnie się zdradnie przysięgali,
I popiół, Panie, jako chleb jadałem,
I z gorzkim płaczem napój mój mięszałem,
Bo upadł na mnie gniew Twojego oka:
Wzniosłszy mnie, Panie, rzuciłeś z wysoka,

I dni me zesły jako cień po świetle,
I wcześniem usechł jako ścięte kwiecie! . . .
Ale ty, Panie, trwasz na wieki wiecznie!
I pamięć Twoja przechodzi statecznie
Z serca do serca i z kraju do kraju —
A od rodzaju idzie do rodzaju
I Ty powstawszy, Panie, z Twego Tronu,
Ty się zmiłujesz nad dolą Syonu!
Boć już na czasie Boże zmiłowanie,
I zmiłowania już nadszedł czas Panie!
Bowiem Twym sługom się upodobały
Kamienie jego i ziemie w żałości,
I będą Ciebie narody się bały,
I ziemskie króle Twojej wielmożności!
Bowiem zbudował Bóg Syon wspaniale,
I Sam okaże się w nim w swojej chwale!
Bowiem Sam wejrzał na modlitwę onych,
I nie pogardził proźbą ponizonych.

Niech to napiszą ludy po swojemu,
I rodzajowi dadzą potomnemu;
A lud wszelaki, co strwożony będzie,
Po wszystkie czasy Pana chwalić siędzie!
Albowiem wejrzał z wysokiej Świątyni,
I spojrzął z Nieba na swoją Ziemieć,
Aby wysłuchał jęki okowanych,
I rozkuł Syny Twych pomordowanych!
By na Syonie brzmiało Jego Imię,
I Jego chwała po Jerozolimie.
Gdy się narody i ich króle zbiorą
W jedno, by Panu służyli z pokorą —
Bo odpowiedział mu w drodze Swój mocy:
Objaw mi krótkość dni moich i nocy,
I nie bierz, Panie, mnie jeszcze ze świata
W połowie lat mych, bym za grzech żałował.

Z wieku do wieku trwają Twoje lata,
Ty, coś w początku ziemię ugruntował!
Niebiosa one są rąk Twoich sprawy,
Oneć poginą, jak szata zwietrzeją:
Lecz Ty zostaniesz, Panie, bez obawy,
I lata Twoje postąpią koleją!
Choć je odmienisz, jako szaty jakie,
Zmieniają się one i staną inakie;
Ale Ty, Panie będziesz jeden zawdy,
I nie ustaną Twe lata i prawdy!

I owo, Panie, sług Twoich synowie
Mieszkać tu będą ufni w Twojem słowie!
I prowadzone też szczęśliwie będzie
Potomstwo ono, co tu po nich siedzie.

VI.

PSALM 129.

Wołałem k'Tobie z głębokości, Panie!
Wysłuchaj głos mój i żałośnie łkanie —
Niech będą uszy Twoje nakłoniłone
Na ten serdeczny głos modlitwy mojej.
Bo jeżeli będziesz nieprawości one
Pilnie uważał, a któż się ostoi?

Ale u Ciebie, wszak jest zmiłowanie;
I dla zakonu, czekałem Cię Panie!

Czekała dusza moja, na Twe słowo:
Ufała Panu dusza ma na nowo!

Od straży nocnej, do gwiazdy poranu,
Lud Izraela niechaj ufa Panu!

Boć jest u niego miłosierdzie skryte,
I odkupienie u niego obfite.

I On odkupi czasu przygodnego
Lud Izraelski z nieprawości jego

VII.

P S A L M 142.

Panie! wysłuchaj modlitwę mój duszy
W sprawiedliwości, wysłuchaj nie długo!
I w prawdzie Swojej przyjm mą prośbę w uszy,
A nie wchodź, Panie, do sądu z Twym sługą.
Bowiem się żaden nie usprawiedliwi
Przed Twym obliczem z tych, co jedno żywi!
Albowiem duszy mojej wróg ubliżył,
I na tej ziemi żywot mój poniżył!
W ciemnych mnie miejscach, gdzie sprawa mi sławna,
Posadził Panie — jak umarte z dawna!
I zafrasował się mój duch tajemnie,
I serce moje strwożyło się we mnie

Tam pamiętałem, Panie, na dni stare,
Tam pamiętałem, Panie, na dni sławy:

I rozmyślałem wszystkie Twoje sprawy,
Uczynki rąk Twych biorąc na mą wiarę!

I wyciągałem rękę w moim grobie
Do Ciebie, Panie, wśród ciężkiej przygody!

Bo dusza moja tak ma się ku Tobie,
Jako ku niebu ta ziemia bez wody

Przetoż wysłuchaj mnie też prędko, Panie!

Bo duch ustaje we mnie i ustanie

I nie bierz Siebie mym oczom płaczącym,
Boć w grób podobien będę zstępującym.

Spraw, bom Ci ufał, gdy mnie poniżano,
Bym miłosierdzie Twe usłyszał rano!
Oznajm mi drogę, w którąbym miał godzić,
Bom wzniosł mą duszę, by ku Tobie chodzić.

Wybaw mnie od mych nieprzyjaciół, Panie,
Bom cię do Ciebie uciekł przed mym wrogiem,
Naucz mnie czynić Twoje rozkazanie,
Albowiem Boże! Tyś jest moim Bogiem!
I duch Twój dobry mnie też zaprowadzi
Na ziemię równą — i tam mnie posadzi.
W sprawiedliwości Twojej mnie ożywisz,
I dla Imienia Twego uszczęśliwisz.
Wywiedziesz duszę moją z téj mozoły,
Wytracisz wszystkie me nieprzyjacioły,
I zgubisz wszystkie, dawszy na karanie,
Bom ci ja wierny jest Twój sługa, Panie.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Św. itd. itd. itd.

LEGIENDY

O

ŚWIĘTYM JANIE KANTYM

OPOWIEDZIANE W RADNEJ SALI MIASTA KRAKOWA

DNIA 14. MARCA 1868 R.

na dochód kościoła Akademickiego Św. Anny.

PAMIĘCI
STANISŁAWA PILATA

POŚWIĘCAM

tych kart kilka u Świętych Grobów zebranych

I SKŁADAM JE NA GROBIE PRZYJACIELA

ZE CZCIA I Z ŻAŁOŚCIĄ SERCA.

LEGIENDA
O ZAŁOŻENIU MIASTA KĘT

1200 ROKU.

Z orlego gniazda poszedł dziejów wątek,
I ponad ziemią orzeł się przesuwał
I nad ojczyzną swoją wiernie czuwał.
Z orlego gniazda i tutaj początek.

Było dwóch braci, na dwóch księstwach siedli,
Obadwa byli bardzo chciwi sławy:
Więc władnąc, żywot w nienawiści wiedli
I najeżdżali sobie na dzierzawy.

W Zatorze jeden; w Oświęcimie drugi—
Nieunoszony, tylko przemyśliwał,
Jakby zagrabic ludzi albo pługi,
A po zaczepce do wojny się zrywał.

I nocą łuny świeciły na niebie,
A we dnie ziemią płynęła krew bratnia,
Bo wiara była dzielna i dostatnia.
A każdy swoich z żalem serca grzebie,
I pyta Boga i ziemi i nieba,
Po co te wojny, za co giną w boju?

Gdy jest dość ziemi i bydła i chleba,
By tylko żywot prowadzić w pokoju.

Gdy się waśń ludziom uprzykrzyła bardzo,
Wiecznie na boje bez potrzeby chodzić,
Tak uradzili, by braci pogodzić. —
Lecz że książęta tylko na miecz hardzą,
Stać się to miało od niechcienia prawie,
Żeby obudwu sprowadzić do zgody —
I umyślili w rycerskiej zabawie
Łowy wyprawić u granicznej wody.

Jakoż, gdzie dzisiaj Soła łanem płynie,
Stał las odwieczny po Wisłę w równinie —
I w tymto lesie urządzono łowy.
A gdy po myśli poszły łowy one,
Skłonniejsze były serca powaśnione:
I między braćmi przyszło do rozmowy
Prawie około tych kopców granicznych,
W uroczym cieniu dębów niebotycznych.

I kiedy jeden pozdrowił po Bogu,
A drugi słowo namienił o rodzie,
Podali ludzie wino w turzym rogu,
Prosząc na klęczkach, by je pili w zgodzie.
Tedy Duch Święty zstąpił znów na ziemię:
I pocieszone obu księstw jest plemię:
Bo i mir boży powraca do ziemi,
Gdy miłość bratnia między rodzonymi.
A gdy się nadał taki dzień wesoły,
Pod starym dębem zastawiono stoły,
I wyprawiono ucztę na granicy,
Ślubując Bogu i Bogarodzicy

I gród i kościół w tém miejscu postawić,
Gdzie Pan to raczył dla niegodnych sprawić.

Tedy orlica na znak dobrej wróżby
Z gniazda trzy jaja na stoły wyroni;
I poskoczyły ku książętom družby,
I każdy pisklę piastuje na dłoni,
Bo już pisklęta prawie z jaj się kłóły.
A że książęta w orle się poczuły
Synami ziemi w ziemi i narodzie,
Więc umyślili tarczą okryć w zgodzie
Gród, co od kąta obojój granicy
Na chwałę Boga i Bogarodzicy
Kętami zwany — i ztąd jego miano.
A na znak zgody i wielkiej pamięci
Pół orła w tarczy herbowej się święci,
I trzy jaj orlich do niego dodano.

Jakoż nie próżne były orle wróżby:
Bo pierwsze pisklę wezwano do służby
Bożej, z Kęt onych, Jan Kanty w narodzie;
A drugie pisklę wylęgłe w tym grodzie:
Święta Ludwina; a już pisklę trzecie,
Co ma wyjść z grodu i przejść po tym świecie,
Oczekiwane jest w bożem przejrzeniu
Na przyszłe czasy, po świętém natchnieniu.

ALMA MATER.

Pięć wieków przeszło, jak się snują dzieje
Około murów Kaźmierzowej szkoły,
I księga dziejów kościelna napoły,
Napoły duchem narodowym wieje.
Bo co się działo na ziemi i niebie,
Zeszło się tutaj w duchowej potrzebie:
I są wspomnienia jako perły cenne,
I są zabytki cenniejsze od złota,
Wielkie zaklęcia i pobożne wota,
Bo aureolą świętości promienne.

Co przysłonięte pięciu wieków mrokiem,
To się odziało w narodzie urokiem
I zrosło z niebem i ziemią tak wiernie,
Żyje w modlitwie i pieśni eternie,
Płynie przez wieki i przez pokolenia
W świadectwie nieba, w czujności sumienia,
Jak płyną znaki po niebie gwiaździstém,
Świadcząc o rządzie i ładzie wieczystym.

I komuż zebrać te święte legiendy
I staręj szkole odnieść je po Bogu?
Temu, co przeszedł jako lirnik tędy
A niegdyś w służbie stał u tego progu;
Temu, co w trudzie dobija się ładu,
I sądu dziejów i Bożego sądu.

Pacierz i szkoła — to odwieczna wiara
I stariej szkoły i ojczyzny stariej . . .
Wszystko, czém stoi ta puścizna stara,
Wszystko to poszło z tej narodu wiary.

Jakoż za wielkim a krótkim przewodem
I mądrość Boża i mądrość światowa
Stała w przymierzu z wyznawcą-narodem, —
I szedł do czynów od wielkiego słowa.
I wyszły wielkie i długie szeregi
Mędrców, rycerzy, radnych i kapłanów
Z tej stariej szkoły, i w potrzebie stanów
Gdzieś się oparły aż o morskie brzegi:
Aż Bóg nareszcie w nagrodę zasługi
Dał stariej szkole wybrańca z posiewu,
By miał hetmana szereg służby długi
I znał, że świętość kwiatem tego krzewu,
Z którego rośnie i dzielność i sława,
Jaką w narodzie Bóg co lepszym dawa.

Ależ bo rządne było gospodarstwo
Tę stariej szkoły w wiekowym pochodzie;
I piękne było Rektora włodarstwo,
Bo wiarę światłem posiewał w narodzie.

Zaprzec się świata, wskazać tor młodzieży,
I dary Ducha Świętego piastować,
Ojczyźnie służyć w kapłańskiej odzieży,
A w bliźnich prawdy Boże umiłować —
Owo wyznawstwo było stariej szkoły.
I nie siadali wyznawcy do stołu,
Póki się okrzyk nie rozległ wesoły,
Że z nimi zasiadł ubogi pośpołu:
„*Pauper venit, Christus venit, sedeat nobiscum.*“

Bo nauczali tak, jako czynili,
I po zakonie, choć wśród świata żyli.

I już od króla każdy aż do żaka
Czczył starą szkołę... I jest wiara taka,
Że póki w ziemi Alma Mater stoi,
Bóg nie odwróci jeszcze twarzy swojej,
Bo póty jeszcze przędzie się nic złota
Wiary i światła! dziejów i żywota.

FELIX SAECULUM SANCTORUM.

W dziejach Krakowa bywa ów wiek zwany —
On łaską wyższą od nieba nadany
Zgromadził Świętych Pańskich tu w Krakowie.
Wspierali oni duchem się nawzajem,
I przeszli ziemią jak nieba posłowie—
A dziś na niebie czuwają nad krajem,
Jak patronowie téj naszéj Korony
W czasie dopustu srodze udręczonéj.

Sześciu ich było, i każdy był czynnym
Po Świętej służbie przy kościele innym.
Był tam Świętosław — i Boner krakowski —
Litewski Gedroń — i mąż prawie Boski
Szymon z Lipnicy — był przy Bożém Ciele
Stacho Kaźmierczyk — a przy staréj szkole
Był nasz Jan Kanty. — I było wesele,
Gdy się widzieli tacy w jedném kole:
Miłością Świętych miłowali siebie
I nawiedzali się w dusznój potrzebie;
Czasem noc nawet na świętém czuwaniu
Zeszła im w Bożej rzeczy miłowaniu.

Jedną noc taką wziąłem ja z podania
I niech legienda przybytek odsłania
Téj małej celi, w której Doktor Święty
Wiódł w staréj szkole żywot rozpoczęty,

Latarki migły późno już z wieczora,
I weszli Święci do celi Doktora;
Ale ujrawszy, że bardzo zajęty,
Stanęli cicho, i milcząc u progu,
Patrzą, co czyni: czy się modli Bogu,
Czy w księdze czyta może Doktor Święty?....
Nie, on koszulki dla chłopiąt sposobne
Rozłożył rzędem po łożu i stole
I chwali sobie, że bardzo nadobne
Będzie w koszulce takie to pachole.
„Tę dam Jasiowi, a tę dam Tomkowi,
A tę sierotce memu Kaźmirkowi:
Będziez radości! bo jest czem obdzielić;
Nie darmom obszedł dzisiaj kawał miasta —
W pomoc przybyła pobożna niewiasta.“
I sam jak dziecko począł się weselić
I klaskać w ręce: „Ej! będziez pociechy!“
Aż Szymon przerwał nareszcie te śmiechy
I rzekł, dobywszy jabłko z za rękawa:
„Grzecznemu dziecku jabłuszko się dawa.“
Zmięszał się Kanty: „Przepraszam“ — powiada
Więc i z pośpiechu koszulki odkłada
I stół uprzętnął. — „Przypomniałem sobie,
Że drogich braci mam witać w tej dobie“,
Rzekł pomieszany, bo się zafrasował,
Że na przyjęcie nic nie nagotował.
Tedy się u drzwi ozwało pukanie,
I całe grono w zadziwieniu stanie:
Bo otworzywszy nie było nikogo —
Tylko bukłaczek stał na srebrnej tacy
I sześć kubeczków wyłaczanych drogo,
Jarząca świeca i pierników kilka —
Rozśmiał się Szymon i rzecze: „Po pracy
Nie zła się święci u Kantego chwilka.“

Mało słów padło tój nocy czuwania;
Bo wszyscy byli równo tego zdania,
Że niepowszednie jakieś znaki dane.
A więc, gdy zorze zaświeciły rane,
Wino i srebro dano do kościoła
I przystąpiono do Pańskiego stoła.
A i szept jakiś poszedł po Krakowie,
Że Świętym Pańskim służą Aniołowie.
I lata biegły, i rosła nić złota
W cichém zakryciu świętego żywota.

POŻAR W KRAKOWIE.

Urósł Jan Kanty i w bojaźni Bożej
I w czci u ludzi, bo w służbie kościoła.
Jak sługa Boży sypiał na rogoży,
A jasność wielka świeciła od czoła
Mistrza mądrego tej Pańskiej winnicy
I starzej szkoły; więc ziemi dziedzicy
Znali się do czci — a naród, co płynie
Tam, gdzie go wiodą ziemi gospodynie,
Pojmował Jana, jak pojmują prości,
Gdy ich duch Boży wiedzie do miłości.

Tedy Bóg raczył dać wyraźne znaki,
Że on Jan Kanty jest wybrańcem nieba,
By do pokuty miał się jaki taki
I dopuszczona jest wielka potrzeba:
Pożar wybuchnął o zorzy porannej
W dzielnicy miasta, zwanjej Świętej Anny.
Wybiegł Jan Kanty, zadrżał o kościoły
I o te mury staropolskiej szkoły.
Naród się rzucił gęsto do pożaru,
Ale daremnie, bo ogień się wzmagał.
Tedy Jan rzecze (snać z Bożego daru):
„Gdzie człek niemocen, Bóg będzie pomagał,
„Kiedy się płomień po nad miastem sroży,
„To niech modlitwa powstrzyma gniew Boży.“
I wśród płomieni upadł na kolana,
Błagając łaski u Zastępów Pana.

Tedy mąż jakiś ukląkł obok niego.....
Poznał Jan Kanty Patrona Korony,
Od Stanisława w łasce nawidzony;
I święty zapęd powziął z cudu tego,
I wielkim głosem miłosierdzie Boże
Począł wychwalać A kiedy w pokorze
Cały z nim naród zaniósł się od szłochu,
Krzyżem upadłszy, i kajał się w prochu,
Tedy zgasł pożar za sprawą cudowną,
I Jan powstawszy miał tam rzecz wymowną
O tych zwierzeniach Patrona Korony,
Który mu mówił, że się we krwi spławi,
Jeżeli się z grzechu naród nie poprawi,
I będzie bardzo srodze udręczony.

Od owych czasów Jan, co z dziatwą chodził,
Rósł już powagę i w cześć ludzką z laty,
I gdy z kościoła do szkoły przechodził,
To lud całował kraniec jego szaty
I lata biegły i rosła nić złota
W cichém zakryciu świętego żywota.

NAPAD ZBÓJCÓW.

Znak to największy łaski Boskiej pono,
Kiedy na słowo albo czyn człowieka
Łotr się swęj drogi i sprawek odrzeka,
I staje w Panu duszą odrodzoną
Otóż i takie rzeczy się podziały
Dla większej Boskiej i Kantego chwały.

Między katedrą a między amboną
Schodził mu żywot — nauką się bawił,
A resztę czasu na modlitwie trawił
I kiedy duszę znał w pracy strudzoną,
I czuł, że niebios zasiłku potrzeba,
Brewiarz i kostur wzięwszy, pielgrzymował,
I księgę żywą, jak mówił, wartował
O tym kawałku podróznego chleba.
I był przez życie cztery razy w Rzymie,
Zwiedzał grób Boży aż w Jerozolimie
I Bóg widocznie w łasce swojej trzyma
Po takich drogach wątego pielgrzyma.

Kiedy raz z rzymskiej powracał podróży,
To mu się przyszło przeprowiać przez góry,
Co się otarły szczytami o chmury.
Pustynia wielka, więc i trud był duży;

Ni przewodnika, ani też gospody,
 Dokoła tylko dzikie pienia wody
 I szumią lasy — lecz spokojny w wierze
 Pielgrzym odmawiał kapłańskie pacierze.

Wtém jakieś łotry drogę mu zastąpią,
 Grózb bardzo srogich i obelg nie skąpią.
 „Jestem pielgrzymem,“ Kanty im się składa,
 „Z dalekich krajów.“ — „To oddaj nam złoto!“
 Groząc maczugą łotr na to powiada,
 „Bo już ostatnia twa godzina oto!“
 I ukląkł Kanty, szaty z siebie zrzucił,
 Oddał kaletę podróżną powolnie,
 A potem oczy ku niebu obrócił
 I czekał śmierci w Panu bohomolnie.
 „A czy nic więcej nie masz - to włóczęgo?“
 Niebem się świadczył łotrom sługa Boży,
 Że tyle tylko wziął do téj podróży.
 To go puszczone z kosturem i księgą:
 Bo chociaż brewiarz srebrem był okuty,
 Wydał się łotrom jakoby zatruty;
 To go nie brali i odeszli, szydząc
 Z Bożego sługi. — Kanty sam się widząc,
 Powstał powoli, i bolejąc srodze
 Nad ich upadkiem, szedł dalej po drodze.

Wtém jakoś nagle przypomina sobie,
 Że ma zaszytych na ciele w kaftanie
 Kilka sztuk złota; to w strapieniu stanie
 I pyta Nieba: „Panie! cóż ja zrobię?
 „Wszakże i łotra nawet się nie godzi
 „Złudzić niegodnie i okłamać grzesznie!“
 I pobiegł w skały za łotrami spiesznie....

A ci zdziwieni, że za nimi chodzi
Ten, co przed chwilą jest od nich odarty,
Stanęli w miejscu.... I rzekł im mąż święty,
W jar się spuszczać po ścieżeczce krętej:
„Słuchajcie bracia! kary byłbym warty,
„Gdyby mię woła, nie pamięć zawiodła;
„Oto mam jeszcze w kaftanie ukrytych
„Kilka sztuk złota przed drogą zaszytych;
„Jakoż ta wina bardzo serce zbodła,
„Żem was okłamał, bom przepomniał na nie:
„Miejcie nademną przeto zmiłowanie,
„I chciejcie przyjąć bez urazy oto....“
Tu rozdarł kaftan i oddał im złoto.

A w kole łotrów najprzód zadziwienie,
A potem długie i dziwne milczenie;
Coś wstrzęsło niemi.... Spojrzą po sobie ...
Straszliwa trwoga, wprzód nigdy nieznana
Chwyciła serce — padli na kolana,
I było cicho przez chwilę jak w grobie.

Jan Kanty spojrział na nich miłościwie
I rzekł im słodko: „Jeżeli pociechy
„Pragniecie nieba, to dam ją życzliwie,
„Ale żałujcie za te waszy grzechy!“
— „O! myśmy Boga samego okradli,
„Bośmy Świętego pańskiego napadli!“
Mówili łotry i było płkanie
I wielkie serca grzesznego wylanie.
A sługa Boży widząc to z pociechą,
Przyjął gościnę pod łotrowską strzechą.
I ze czcią w szaty znowu go ubrano
I grosz podróżny z kaletą oddano.

A gdy nareszcie przyszło do rozstania,
Było wielkiego płaczu i błagania,
Aby mąż święty za nimi się wstawił,
Aby im w nowój drodze błogosławił.

I lata biegły i rosła nić złota
W cichém zakryciu świętego żywota.

SPIŻARNIA MATKI BOSKIĘJ.

Odwiedzał Kanty chore i strapione,
Obdzielał głodne, nagie przyodziewał,
Leczył cierpiące, cieszył obciążone,
A razem z dziatwą święte pieśni śpiewał.

Ledwo że ranek ziemię uweseli,
A rząd garnuszków stoi już przy celi;
Boć to Jan Kanty był spiżarnią żaczków
I żywicielem tych szkolnych robaczków,
I mawiał ciesząc: „Chłopaczkowie moi,
„Znajcie, że świat ten na sierotach stoi;
„Pacierz i szkoła a Matka podeprze,
„I wyjdzie jeszcze chudzina na lepsze.“

Lecz przyszły lata ciężkie dla narodu,
Bo niedoboru, przednowku i głodu...
I nędza w niskie zawitała progi...
I co z rządności było lub z zapasu,
Wszystko to zabrał żaczek lub ubogi;
I począł Kanty trapić się od czasu,
Bo już i żaczków nie było czém dzielić,
A cóż dopiero rzeszę uweselić?

Raz gdy garnuszek próżny w rękę trzymał,
Osłabł i usiadł, i w końcu zadrzymał;

Tak się zatrapił nędzą biednych ludzi.
Coś mu się marzy — niby ktoś go budzi, —
I sam nie wiedział, czy to sen, czy jawa?
Lecz głos anielski taką radę dawa:

„Tackę maleńką weź od Świętej Anny
„I proś na światło do Najświętszej Panny
„Pierwszego człeka, co spotkasz w ulicy;
„A będzie światło dla Bogarodzicy.
„A potem pójdiesz, kędy w Krzyżu siedzą
„Za straganami pobożne mączarki,
„I po pieniążku dodasz za ich wiedzę
„Do każdej lampki, do każdej ofiarki;
„I będziesz prosił, aby z dobrej woli
„Każda z nich dała i po szczypcie kaszy,
„Po ziarnku grochu i po grudce soli,
„I na ofiarę dasz to Pani naszej;
„A Ona dar ten w Swój łasce rozmnoży,
„I pójdzie tobie, a i biednym sporzój.“

Ocknął się Kanty i za tém natchnieniem
Puścił się z tacką po ulicy cieniem;
Aż znany kupiec doktora powita,
Więc i o drogę i tackę zapyta.
Kanty powiada, że na światło zbiera
Do Matki Boskiej, co nędzę podpiera.
„Właściem szedł za tém, i dziwnie się składa“
— Uradowany kupiec mu powiada —
„Flisacy moi wrócili od morza,
„I targ był dobry, i Bóg strzegł przygody;
„To gdy nade mną taka łaska Boża,
„Przyjmcie ofiarę, co wyrwana z wody,
„Gdy Matka Boska i Święta Barbara
„O nas niegodnych tak się wiernie stara.“

Więc i na światło dał naprzód trzy sztuki,
A potem jeszcze znacznie dodał więcej,
Jakto mawiano: „na żaki i druki;“
I podziękował Kanty najgoręcej,
I było z czego dodać do ofiarek,
Kiedy już w Krzyżu stanął u mączarek.
Tu wiernęj rzeszy otoczony kołem
Zmówił litanią z niewiastami społem
I błogosławił, a potem po trochu
Prosił to kaszy, to soli, to grochu.

Więc było wielkie niewiast zadziwienie,
Że Doktor święty, co w tak wielkiej cenie
Jest w całym mieście, po jałmużnie chodzi!
I płacząc, rzekły niewiasty trwożliwie:
„Po szczypcie dawać, to coś nieżyczliwie,
„To dla nas krzywda i to się nie godzi.“
Lecz Kanty, biorąc po szczypcie, dziękował,
I razem wszystko złożył w małej czarze.
„Stragany chlebne, to boże ołtarze“
Mówił i słowa bardzo umiłował.

Ale, gdy odszedł, niewiasty w też ściegi
Za sługą Bożym poszły na przebiegi;
Bo rozżalone powtarzały sobie:
„Znać służba padła na nas już w tej dobie,
„I Bóg widocznie na próbę nas stawia,
„Gdy jałmużnika takiego wyprawia!“
Więc się puściły . . . i patrzą, co czyni.
A Kanty prosto poszedł do kapliczki
I wkoło czarki pozapalał świeczki,
A potem ukląkł i rzekł: „Gospodyni
„Szafarni Bożej! bierz od nas niegodnych —
„A chleb i łaskę rozmnoż dla Twych głodnych.“

Jakoż nie brakło już od tego czasu
Chleba ni soli w tój spiżarni Bożej,
A Kanty czerpał dla głodnych z zapasu,
Co niby cudem co nocy się mnoży;
Aż Bóg nareszcie przednowek zagodził,
Bo i na polach i sadach obrodził.

I lata biegły i rosła nić złota
W cichém zakryciu świętego żywota.

DZBAN Z MLĘKIEM ROZBITY.

Najwyższe sprawy Bożego kościoła
I wielkie sprawy polskiego narodu
Popierał Kanty jako mąż zawodu,
Bo tam i tutaj należał do czoła;
Lecz służby serca dla maluczkich chował,
Bo przed wszystkimi one umiłował.

Biegła dziewczyna, gdzieś z przedmieścia sługa,
Na sprzedaż z mlękiem; ale tak się zdarzy,
Że nieszczęśliwie dzban się w ręce zważy
I stłukł się padłszy, i spłynęła struga
Mléka po bruku. Tedy od żalości
Biędna dziewczyna płaczem się zaniosała;
A ciżba ludzi dokoła nięj rosła,
I jako zwykli czynić ludzie prości,
Ten jęj wymyśla, a ów upomina,
Ów się lituje . . . A biędna dziewczyna
W żalości serca załamała dłonie:
„A cóż ja pocznę, cóż ja biędna zrobię!
„Gospodarz srogi, i gdzież ja się schronię?
„I jakąż teraz radę dam ja sobie?
„Ani co sprzedać, ani kupić za co.
„Oj! źle za taką służbę mi zapłacą —
„Skrzywdzą i jeszcze wytrącą z zasługi!...“
I osłupiała, i patrzy gdzie strugi
Spłynęły mléka, w żalu zadumana.
Wtém nadszedł Kanty i do nięj powiada:

„Zbierz te skorupy!“ — Padła na kolana...
I dzban w jej rękach sam się cudem składa.
„Patrzże niewiasto, że Bóg wielki z tobą;
„To dłużej w żalu nie narabiaj sobą!“
Potém po ludziach spojrział wkoło siebie:
„O! krzywda sługi wielką krzywdą w niebie!
„I upominam nie krzywdźcie służebnych!
„Bo Bóg odmówi wam rzeczy potrzebnych,
„I w nędzy ducha sami zostanieie.
„A ty chodź ze mną oplakane dziecię.“

I w trwodze Bożej szła dziewczyna za nim —
A że był ludu prostego kochaniem,
Więc cała rzesza zdziwiona wypadkiem
Szła tuż za niemi z bardzo wielkim statkiem,
Czekając tego, co się zdarzyć miało,
I poza miastem doszli do Rudawy.
A Kanty kazał dzban napełnić cało,
I Bogu zlecał nędzę ludzkiej sprawy.
I cud się zdarzył wśród ludu nad rzeką;
Bo gdy w modlitwie rzewnej się rozczulił
I dzban ów z wodą do swych ust przytulił,
Tedy się woda przemieniła w mléko.
I rzekł Jan Kanty: „Ludziom małej wiary
„Powiedzcie o tém, że Bóg dobre sługi
„W opiece chowa; i bierzcie ztąd miary,
„A niech się kaja i jeden i drugi.“
To rzekłszy ludziom, otulił się togą
I znów do szkoły wrócił krótszą drogą.

I lata biegły i rosła nić złota
W cichém zakryciu świętego żywota

ŚWIĘTA TOGA.

Jak zakonowi był Jan Kanty wierny,
Tak był dla nędzy ludzkiej miłosierny.

Raz gdy z kolegium spieszył do kościoła,
Mróz był straszliwy; — patrzy, człowiek leży
Skostniały wszystek, prawie bez odzieży,
Siność twarz całą obeszła od czoła.
Strapił się Kanty — nie było nikogo,
A więc zziębłego, co leżał nad drogą,
Jak mógł otulił własną swoją togą.
A gdy mszę cichą w kościele odprawił
Na tę intencję zziębłego żebraka,
Uprosił ludzi, by znieśli biedaka.
Ale Bóg cudem dla Kantego sprawił,
Że gdy w to miejsce spojrzął, ponad drogą
Miejsce na śniegu znacznie odtajało,
Lecz na ulicy nie było nikogo:
Znać, ktoś go podjął, i dobrze się stało.
Lecz gdy Jan Kanty do swęj celi wrócił,
Toga wisiała w swém miejscu na ścianie.
To się zatrwożył zrazu i zasmucił
I wielkie było ludzi zadziwienie:
Bo cela była pod kluczem zamknięta,
To zkąd się wzięła w celi toga święta?

Po dziś dzień jeszcze ta toga się chowa
U świętej Anny, i w dziejach Krakowa
Słynie łaskami. I był zwyczaj stary:
Kiedy po Kantym obrano dziekana,
To po wyborze i mszy świętej z rana
Odwieczną togę na niego wkładano,
Aby Duch Święty zlał na niego dary,
Jakie Jan Kanty dał szkole na wiano.

Wskazują jeszcze miejsca na ulicy,
W których mąż Boży w miłosierdziu stawał,
I gdzie spotkawszy bosego człowieka,
Własne obuwie bez namysłu dawał:
Więc i oddawszy pospiesznie ucieka,
Nagie swe stopy przysłoniwszy togą,
Aby to jeszcze nie gorszyło kogo;
Bo się to działo w zimie i po śniegu;
I wtedy tylko widziano go w biegu.

I lata biegły i rosła nić złota
W cichem zakryciu świętego żywota.

WSKRZESIENIE DZIECKA.

Była Wielkanoc: i święty bohater,
Jako był zwyczaj onęj Almy Mater,
W dziedzińcu Almy żaczków uweselał,
Bo ich i chlebem i pisaném jajem
Na Zmartwychwstanie Pańskie poobdziałał.
I żaczki z sobą dzieliły się wzajem.
Tedy nadbiegła ulicą od miasta
W śmiertelnej trwodze strapiona niewiasta.
„A gdzie mąż święty?“ tak u chłopiąt pyta,
W rozpacz serca miota się i chwyta.
Jan Kanty siedział w swęj celi na ziemi
I dzielił radość świętą z maluczkiemi.
Niewiasta przed nim na kolana padła
I jako chusta tak straszliwie zbladła.
„O! ratuj ojcze! jam jest biędna wdowa,
„Dziecię mi kona! Gdy cieszysz szczęśliwych,
„Nie żałuj dla mnie modlitwy i słowa,
„A może jeszcze powróci do żywych
„Dziecię, co we łzach matki ukąpane
„I na pociechę było wdowie dane!“

Powstał Jan Kanty od maluczkięj rzeszy
I za niewiastą, ile zdoła, spieszy.
Dziecię nie żyło, gdy weszli do progu;
I rzekł Jan Kanty: „Ofiaruj je Bogu!“
Niewiasta padła w wielkięj serca męce,

A Kanty ukląkł, — wziął dziecię na ręce
I wznosił do nieba — i jest ożywione
I do pierwszego zdrowia powrócone.

A gdy dom wdowy Kanty uweselił,
Tedy dopiero jajem się podzielił
I z oném dzieckiem i z oną niewiastą;
Bo choć Wielkanoc święci całe miasto,
Uważał sobie, że wdowa w żałosci
Nie pamiętała na ten dzień świętości.

I lata biegły i rosła nić złota
W cichém zakryciu świętego żywota.

CUDOWNA RĄCZKA Ś. JANA KANTEGO.

Zwijąła Marya na swe motowidło
W przedziwne pasma to przędziwo złote;
I kiedy przyszło nagrodzić już cnotę,
Anioł pod głowę podłożył mu skrzydło.
I jest w miłości niebios wyniesiony,
I ledwo zeszedł, już cudy wsławiony.
A gdy Jan Kanty jest ku czci podany
W całym narodzie, jak Patron Korony,
Co wiódł do światła równo wszystkie stany —
Tedy ujrzano jak wieczorem ręka
Niosąca świecę jasno gorejącą
Obeszła Kraków. — Otóż każdy klęka
Tym znakiem wyższym przejęty gorąco:
Bo była ręka ta okryta togą,
Świeca nie gasła, którą ręka niosła,
A ztąd i wiara u ludzi urosła,
Że to Jan Kanty chodzi znaną drogą,
Że to Jan Kanty, ta pochodnia nasza,
I ludzkie dzieci do szkoły zaprasza.

I dzisiaj jeszcze ta ręka obchodzi
Czasem po świecie. I szczęśliwa matka,
Która swe dziecię za tém światłem wodzi;
Szczęśliwy dworek i szczęśliwa chatka,
Przed którą święta zatrzyma się ręka,
Lub gdzie ta świeca błysnie u okienka.

Bo który młodzian za tém światłem spieszy,
Zwykle nie błądzi i nie łatwo grzeszy;
A choć upadnie, dźwiga się w miłości,
Za oną łaską Patrona światłości.

Rączką Kantego nazwano znak łaski.
I gdzie Zwierzyniec, gdzie Kleparz, gdzie Piaski,
I na Rybakach, i w Powiślu całym
O tej to rączce Kantego słyshałem,
I o światłości pochodni wesołej,
Co ludzkie dzieci zaprasza do szkoły.

O! Święta Ręko! dziś jeszcze służebna
Ojczyźnie polskiej, jakżeś nam potrzebna
W czasach dzisiejszych, kiedy dla narodu
Światła zabrakło! Ciebie więc wzywamy
W czasach ucisku, duchowego głodu,
Ty świeć tej szkole i świeć u tej bramy.

JÓZEFOWI DROWI
BRODOWICZOWI
NA 50-LETNIĄ ROCZNICĘ

PEŁNEGO ZASŁUG PUBLICZNEGO ZAWODU.

Rocznica złotego wesela wesoła,
Jak zorza światłości niech świeci dla koła
Wybranych w tój służbie pamiętnie!
Niech serca rozgrzeje na ciężkie koleje,
Niech czoła namaści poświętnie!

I z sercem podniosłem, i z jasnem tęp czołem
Na ucztę duchowną tu stańmy dziś społem
Poważnie, serdecznie, urzędnie,
Bo w służbie tu stajem, zasłudze cześć dajem
W miłości serc polskich popędnie.

Pół wieku ubiegło od owych ślubowin
I wielkich a wiernych z Ojczyzną umowin,
Po których oddałeś jój służby—
A coś tam ślubował, toś wiernie dochował,
Ziściłeś nadzieje i wróżby.

Pół wieku ubiegło! I krótko się prawi,
Co pamięć Narodu dziś wdzięcznie tu sławi,

Jak łańcuch włożono na Ciebie
 I pierścień i togę — i dano Ci w drogę
 To słowo: „byś dostał w potrzebie.“

Pół wieku ubiegło! I któż to dziś zmierzy,
 Co w pracy połowy stolecia tam leży
 Zabiegów, ofiary, boleści? . . .
 I któż tam przeliczy cierpkości, goryczy,
 Co na dnie stolecia się mieści? . . .

Pół wieku ubiegło ciężkiego w zapasach
 Od owęj to chwili, po owych to czasach,
 Gdy Rektor odebrał przysięgę —
 Gdyś skuty łańcuchem, szedł w Niebo Twym duchem
 I rozwarł dla uczniów Twą księgę . . .

I kilka pokoleń w Narodzie i w Szkole
 Pod Tobą już przeszło przez polską tę rolę,
 I szedłeś poważnie przed niemi:
 Boś kochał i wierzył i uczył i dzierzył
 I trzymał w Narodzie z lepszemi.

I Alma ta Mater, pamiętna na śluby,
 Z Twych usług dla siebie dziś szuka już chluby,
 Boś władał jęj berłem potężnie:
 I z Wielu, co władło, nie Wielom już padło,
 Zawładnąć tém berłem tak mężnie.

Toć wiło na Twoje się rządy robactwo,
 I jadem dyszało nikczemne matactwo,
 Szalbierząc, że Rektor im cięży —
 Boś w światła obronie stał w naszej Koronie,
 I przeszedł przez gniazdo tych węży.

Dziś jednak — po leciech sąd dziejów powraca,
I Kmiecia Bożego pochwała ta praca —

Bo gmachy i ludzie urosły:

Co wiernie nam matczy, o Tobie dziś świadczy
I idzie z zasługą Twą w posty.

I owo tu stoją, w tój służbie nauki,
Z posiewu Twojego synowie i wnuki,

By poczcic swojego Rektora,

I Ojca w Ojczyźnie, po dziejów puściźnie,
Półwiecznej zasługi Nestora.

O wielki to ciężar ten łańcuch Twój złoty!

Kto w życiu go dźwiga dla Boga i Cnoty,

O! temu on tylko nie cięży:

Ten drugim uprości tę drogę w miłości,

Ten tylko na końcu zwycięży!

Co świat ma do dania, a dzielność do wzięcia,
Poważnie zdobyłeś w pół wieku objęcia —

Bo wieniec cywicznej zasługi —

Czém chwały przymnożyć, cóż jeszcze dołożyć?

Jest wieniec, czy wyższy, czy drugi?

Jest wdzięczność serc wiernych i pamięć Narodu,

Co strzeże tych wieńców wielkiego zawodu,

Jak wielkich zastępów obrony.

Co dzielny zdobywa, na własność to wpływa

Do skarbcza klejnotów korony.

Więc serca wiernego pamięci wyrazem

Niech będzie to dla Cię, że stajem tu razem

Przed Tobą w Rocznicę pół-wieczną —

Coś posiał, to rośnie w Ojczyźnie miłośnie
I stoi wśród dziejów stateczno!

I miło wraz z Tobą obejrzeć się razem —
Bo sprawy i lata nie przeszły tu płazem.
Za całą nagrodę żywota
W pamięci niech Twojej ten żywot Twój stoi,
I młodość niech stanie Ci złota.

Niech urok zielonej Podolskiej dąbrowy,
I szmer ów wiosenny i śpiew ów majowy
Na chwilę Twą duszę zatrzyma:
Niech dym się nad strzechą przeciągnie z pociechą
Po łące przed Twemi oczyma.

Niech pszczoły zabrzęczą, zakraczą żórawie,
I pieśń niech popłynie po rosie i trawie —
I postać Twój Matki niech stanie:
I w całym uroku, niech przejrzy się w stoku
Uroczu młodości zaranie!

I wielkim pierścieniem niech złączy się z sobą
Uroczy ów ranek z pamiętną tą dobą
Twojego *Złotego Wesela*:
Niech daje zachęty, dla pracy dla Świętej
I siły walczącym udziela.

We Lwowie 18. Maja 1867.

B A R W Y.

Ktoby chciał oddać niewinności wdzięki,
Anielski urok nieskażonej cnoty:
Niech białej barwy weźmie na sukienki.
Innej nie trzeba dla wdzięków prostoty!
Białością świeci Wenery gołąbek,
Którego z lubą łączy złota wstęga —
Gdzie wdzięki kryje niewinności rąbek,
Tam tylko szczęście z miłością się sprzęga.
Ach, przeto strzeżcie tej barwy niewinnej —
Ona nie cierpi w swoim łonie innej!

Ktoby chciał oddać miłości rozkosze,
Lub wieszczej duszy tchnienia i przemiany:
Różanej barwy niech użyje prozę —
Bo pomysł wieszczca, dech dziewic różany.
Różanym światłem błyska wzrok jutrzeńki,
Różana piosnka pomaga dumaniu,
Różany uśmiech wznosi Boskie wdzięki,
Różana zorza śmieje się kochaniu,
I z ust śpiewaka płyną hymny szczytnie
Jeśli róż lice jeszcze nie przekwitnie . . .

Ktoby chciał oddać wierny rys zazdrości,
Obraz choroby lub wyraz rozpaczy,

Lub śmieszny zapach zalotnej starości:
 Niech żółtą barwą te odcienie znaczy —
 Żółcią tchnie wyraz rozjątrzonej mowy,
 W żółć się odziewa wszystko, co się mieni,
 I żółcią kipią wulkanów parowy,
 Żółcią przeraża smutny wdzięk jesieni,
 A choć nas jesień dostatkami darzy —
 Szron raz już ścięty w perłach nie rozżarzy!

Ktoby chciał oddać wierność przyjaciela,
 W ostatnim razie nawet i skon szczytny,
 Lub stałość serca, co wszystko podziela:
 Niech weźmie barwy na ten rys błękitnej —
 W błękit się stroi gwiazdziste sklepienie,
 W błękitnych falach łamie się jezioro
 A gdy na człeka zwali się cierpienie,
 I wszystkie światła nadziei wygorą —
 Wtenczas raz tylko spojrzysz po błękitcie —
 A męztwo wraca — bo tam dla nas życie!

Ktoby chciał oddać podłego oszczercę,
 Zdrady przyjaciół, szczęścia połysk marny,
 Lub w srogich mękach obolałe serce:
 Niech na ten obraz weźmie kolor czarny!
 Ponury smutek powlekają kiry . . .
 Po czarnych norach gadzina się wije . . .
 I z czarnej paszczy sieją czarne wiry . . .
 I czarna zbrodnia w czarną noc się kryje
 I znów zczerniałe bywają obrazy —
 Lecz sny grobowe czarniejsze sto razy! . . .

Ktoby chciał oddać, co w młodości czuje!
Co wszystkich zwodzi, co zwiemy nadzieją:
Zieloną barwą niech obraz maluje —
A jego rysy wszystkie się rozśmieją!

Dla tego w wieniec stroją pannę młodą,
Dla tego wiosna wskazuje nadzieję,
Dla tego w cieniu czujemy swobodę,
Dla tego ubiór łowca zielenieje —
Gdy wszystko minie — jeszcze i w tej dobie
Zielony listek połyska na grobie . . .

Tak to przed laty śpiewano, noszono —
W bieliźnie Westy chodziły kapłanki,
Kwiat niezabudek zdobił wieszczę łoża,
A wieniec z mirtu zdobił skroń kochanki:
Wtenczas świat wiedział, jakie kto ma godło,
Nikt się nie mylił, bo każdy był znany —
Ale to właśnie na tę myśl przywiodło,
Aby w kolorach oddać i zamiany:
Dziś wszystko w świecie pstro, w mieniące
tęcze . . .
W paski, w krataczki i w barwne obręcze...

W Maju roku 1828.

W PAMIĘTNIKU PANI Z. O.

Panie to lubią podatki nakładać
Na serca nasze za młodu —
A gdy się serce nie umie już nadać,
To taki obyczaj jest z rodu:
Że się nakłada podatek na głowę,
Bo głowa zawsze coś warta —
Więc musi smarzyć koncepta jałowe
Lecz do albumu jest karta.
O to chodziło i o to chodzi
W zakonie starym i nowym:
Że sercem płacą podatek młodzi
A starzy mózgiem jałowym.

W Marcu roku 1864 we Lwowie.

Z GŁOSÓW PISMA ŚWIĘTEGO.

Pod krzyżem Marya obok Jana stała —
I grzeszna ziemia we wnętrzościach drżała...
Słońce się mściło trwożnie nad Golgotą....
I szedł po ziemi grzesznej przestrach wielki —
I rzekł Zbawiciel do Swój rodzicielki:
„To syn Twój Matko!“ — a do Jana „Oto
Jest Matka Twoja“.....

I niebiosa drżały . . .
I stare groby wewnątrz otwierały
I otchłań duchów wielkim jękiem jękała —
I przed przybytkiem ta zasłona pękła
A widząc ludzie, czego nie zaznali —
Krzyczeli : — „Uchodź! bo kościół się wali!..“

I od téj chwili z Bożego zlecenia
Jest Marya matką ludzkiego rodzaju —
I po wsze czasy matką zastąpienia —
I gwiazdą morza, co wiedzie do raję.

I do Nięj tylko, do Nięj się ucieka
Człowiek, i naród, i męczennik wszelki —

I w Jój boleściach jest tylko opieka
Dla tych boleści ziemi rodzicielki! —

Bolesna Matka modlitwą to zmywa,
Co grzeszna ziemia w zamęcie nagrzeszy —
Gdzie świat bez rady — tam ona przybywa,
Przytula, garnie, utwierdza i cieszy.

W roku 1864.

SIELANKA.

Czeremchy pachną — i żabki grzechocą . . .
I błyskawice zdala gdzieś migocą . . .
I znowu wracasz z twym urokiem wiosno!
Za cóż ja patrzę duszą tak żałosną
Na twoje czasy? I cóż mnie tak smuci?
Co mi świat zabrał — jaskółka nie wróci.

Wśród czarów ziemi i żywego tchnienia
Stoję jak więzień pośrodku więzienia —
I nie wiem, w jakąby się puścić drogę . . .
Bo zaklęć czarów wymówić nie mogę —
I komuż za to będę się już żalił?
Czyż wiosna wróci to, co piorun spalił?

Pachną czeremchy . . . i liść młody szumi....
Lecz bólów serca wiosna nie rozumie —
I płynie strumień mruczając, jak łąza czysty . . .
W gwiazdy się stroi nieba sklep wieczysty . . .
Za cóż się serce w tym pokoju smuci?
Co mi grób zabrał — wiosna nie powróci.

W Maju 1865. roku.

DO STRZECHY.

Omszona Strzecho na rządnej zagrodzie!
Jakże Ci pięknie wśród tych drzew i sadu,
Jakże Ci pięknie w ziemi i w narodzie
Gdyś na świadectwo domowego ładu!
Jakże Cię miło pełnem sercem witać,
Kiedy się oczom ukazesz z daleka!
Jakże Cię miło o Twe dzieje pytać,
O losy wioski i losy człowieka!

Gdy dym z ogniska Twego się zakłębi
I w słońcu słupem ku niebiosom bieży . . .
A w koło Ciebie to stado gołębi
W skrzydła ochotne przed lotem uderzy . . .
Cóż to za urok domowego progu,
Domowych Bogów, które władną w ciszy,
Kiedy się znowu podobało Bogu
Wrócić — i zastać dawnych towarzyszy!

Omszona Strzecho! Ty przytułku Boży
Rodziny w węzłach pracy i pokoju!
Czego pod Tobą człowiek nie przysporzy —
Za tém na próżno pogoni wśród znoju:
I biada temu, kto się puścił Strzechy
I błądzi światem w burzy i zamieci . . .
Komu ognisko takie nie zaświeci,
Ani pozdrowią tak wdzięczne uśmiechy! . .

Omszona Strzecho! Ty darem żywota,
I darem chleba, i darem miłości
Darzysz człowieka — i prosta Twa cnota
Nawet za Tobą drogi życia prości!

Do Ciebie piérwszój z dobrą wieścią wiosny
Zpuszcza się bocian — i na gniazdo siada . . .
Pod Tobą piérwsza jaskółka zapada
Kwiląc o świecie piérwszy śpiew miłośny . . .
I kiedy bocian z gniazda zaklekoce,
A nad powałą ozwie się jaskółka —
To i na przyzbie dziatwa już świegoce,
I drób szerszego szuka dla się kółka:
I ludzie w sercu noszą się z pociechą,
Że im przybyło mieszkańców pod Strzechą,
Że bocian z kmieciem jednę gniazdo dzieli,
Że oko lotem jaskółka weseli —
Bo już i pszczoły, co się zimna strzegły,
Oczka po ulach do koła obległy . . .
I kiedy cicho mignie swawolnica
Pasem świecącym po węgle łasica,
Więc i króliki, co się w norach rodzą
Z pod przyzby w sadek nieśmiało wychodzą . . .
Bo cicha Strzecha, to arka przymierza:
I co domowe, to się pod nią tuli,
I jak człek wierzy, tak i jój dowierza
Wszystko, od ptactwa aż do biédnych króli —
Wszystko to, wszystko w zgodzie z sobą stoi:
Bocian odchowa pisklęta przed jazdą,
Jaskółka nowe ulepi znów gniazdo,
Pod wschodnią strzechą pszczoła się wyroi . . .
I kiedy zamieć rzuci znowu śniegiem,
To wróbel tylko pod strzechą przypada,
I pies na przyzbie tylko się układa,

A dziatwa siada przy ogniu szeregiem:
Cóż to za urok miewa to ognisko,
Kiedy oświeci te rumiane twarze!
Gdy się sadowią koło siebie blisko,
A pies na przyzbie trzyma nocne straże —
Jakżeś bezpieczny! i jakże do razu
Przystajesz sercem do tój ciepłej Strzechy,
Gdy cię witają ogniska uśmiechy
I twarze pełne ludzkiego wyrazu!
Cóż to za urok miewa to światełko,
Kiedy ci mignie w zamieci zimowěj
Naprzód z kaganka przez zamglone szkiełko
Na nagim stepie albo od dąbrowy . . .
Na widok jego to byś leciał ptakiem —
Ale tu rowy, okopy i płoty:
Więc macaj drogi — i objeżdżaj szlakiem,
Aż gdzieś odszukasz wsiowe kołowroty —
Światełko znikło . . . pies tylko ujada. —
Zaspy jak szańce — wicher groźnie wyje
Więc pytasz siebie: czy nikt tu nie żyje?
Czy się nie znajdzie dla zbłąkanych rada?
A w tém z pod zaspy przeciągle i głucho
Pieśń się zmieszała z nocną zawieruchą . . .
Więc słuch wytężasz i zziębłe źrenice —
A tu pod zaspą nuca wieczornice,
A pies z pod zaspy zbliża już ujada . . .
Aż nagle światło tuż przez drzwi wypada —
I aniś myślał, że tak bardzo blisko
Znajdzie się Strzecha, a pod nią ognisko!
Spojrzysz po chacie: a tu, niby łątki,
W koło ścian białych siedzą krasne prządki,
I pieśń ucichła — ale zasromane
Patrzą ciekawie te twarze rumiane!

O! niech Bóg w łasce każdemu, co błądzi,
Taki przytułek po burzy przysądzi,
Gdzieby wypoczął po latach strudzenia
I port bezpieczny znalazł dla sumienia —
I gdzieby znowu ta sama pieśń złota,
Co piastowała ów ranek żywota,
Tak utuliła te ziemskie boleści
Jako śpiew matki płacz dziecięcia koi!

Tego Ci Strzecho życzę w duszy mojej:
Stój, jakoś stała, w pokoju i cześci! —

W roku 1868.

DO JASKÓŁKI.

Po tój dłużej białej zimie
Nastaje zielona —
Serce pragnie odżyć w rymie —
Lecz myśl w szronie kona . . .
Dnia przybyło — i o świetle
Słucham: czy nie kwili?
Czy nie sunie po błękanie?
Wieścią nie zasili?
A któż taki? — Jaskółeczka.

Jeszcze nie przybyła
Jak wiosenna wesołeczka
Sercom wszystkich miła —
To nie wierzę w wiosnę jeszcze,
Pod strzechę się tulę —
Aż pozdrowi wieszczów wieszczę
Szczebiotami czule . . .

W Krakowie
7. Maja 1869. roku.

DO JASKÓŁKI.

Jaskółeczko! Jaskółeczko!
Z czém przybywasz do téj wioski?
Gdzie twa strzecha i gniazdeczko
Ty ptaszyno Matki Boskiej?

Gdy pomuśniesz już błękity,
Kiedy pierwsze witasz świty —
To przybywa już pociechy
Z wiosną do téj wiejskiej strzechy.

Ale zkąd ci to ptaszyno
Przyszło do mnie tu zawitać?
Czy że skrzydła światem płyną?
Czy chcesz może o co spytać?

Ja Cię tylko słyszeć mogę —
I przeżegnać Twoją drogę —
Powitanie nie zatrzyma,
Bo spoczynku dla Cię nie ma.

Między ziemią a błękitem
Lekkiem skrzydłem uwieszona,
Gdzie za Tobą iść opytem?
Gdzie przysiedziesz przytulona?

Ty pomuśniesz dalej skrzydłem
Po nad łąki, po nad wody —
To płyn dalej na swobody
Płyn skrzydłami i oczyma!

Prowadzona tém wędzidłem,
Jakiem Bóg w Swój łasce trzyma,
Płyn skrzydłami i oczyma . . .
I nieś Boże te pociechy
Sługom Pańskim dobrej woli,
Ludziom pracy, ludziom roli
Pod te nizkie wiejskie strzechy!

W roku 1869.

ZŁOTE SŁOWO.

Niech oko Opatrzne, co czuwa nad światem,
Nad mrówki i pszczołki robotą,
Osypie Wasz żywot owocem i kwiatem —
Niech natchnie pocziwą ochotą!

Niech praca po ziarnku dokłada do ziarnka,
Niech mierzy i liczy i waży —
A kiedy pocziwa uzbiera się miarka,
Niech miłość tą miarką szafarzy!

Wśród burzy żywota nie wyjdzie bezpieczny
Z tej walki ni wielki, ni mały:
Lecz wyjdzie oględny, wytrwale stateczny,
Rozumnie serdeczny i dbały:

Więc licz się i z czasem i z groszem i z wiekiem,
Ćwicz w pracy i w męztwie i cnocie —
Szczędź zdrowia i mienia — czuj sojusz z człowiekiem,
A Bóg ci pomoże w robocie!

W roku 1870.

O S T A T N I L I R N I K .

.....Wiatr wielkim młyńcem po stepach się żeni..
A na zachodzie, słońce bez promieni,
Niby to kula czerwona się żarzy —
Orzeł na niebie pogodnym się waży
I w wielkich kołach okrąża pustkowie . . .
Zdała huk jakiś idzie po dąbrowie . . .
I gdy wiatr zmilknie — tylko z cicha szumi
Morze bodiaków . . . i białe ich puchy
Jak srebrne runo do ziemi przypada —
Grę tę mogiła dla siebie rozumi
I patrząc w stepy o niej opowiada . . .
A radę dzielą te stepowe duchy

Pomiędzy morzem bylce i dziewanny
Przycicha nieco ten szum nieustanny —
I tutaj usiadł starzec na mogile:
Znać, dziad wędrowny spoczął tu na chwilę —
Łaskawa koza legła mu przy boku,
I wsparł się na niej — i zagrał na lirze . . .
Koza uszkami w step daleki strzyże —
A starzec widać światła nie ma w oku . . .

To ślepy lirnik. — Czy mu przewodnikiem
W życiu tém koza? — A i któż to zgadnie,
Jakiem do siebie mawiają językiem?
Lecz znać się zdają, bo legła układnie

I za lirnika patrzy koza w stepy
Mądrze i czujnie — i jest jemu okiem:
Bezpieczny zna się starzec pod jęj bokiem
I gra spokojnie, choć i sam i ślepy.

Stepowe susły lubią dziwnie granie:
Więc naprzód jeden podbiegł jak na szpiega,
A potem drugi i trzeci podbiega,
I całe gniazdo susłów niemo stanie —
I graniu liry dziwi się zdumione . . .
Wie o tém lirnik, bo się ku nim zwrócił,
I garść okruchów z torby im wyrzucił —
Pierzchnęły zrazu . . . lecz się znowu nęcą
I coraz większém stadkiem w koło kręcą
I jak chowane idą na okruchy . . .
A starca cieszą te stepowe duchy!
A mądra koza, co legła pod bokiem,
Ani się ruszy, ani mrugnie okiem,
Aby nie spłoszyć takich gości miłych
Na ucztę dziada i liry przybyłych.

Słońce stanęło teraz na zachodzie —
Więc i ostatni promień tego słońca
Wysłany w stepy do mogiły w gońca
Rozlał blask złoty po lirnika czole,
Po siwych włosach i srebrzystej brodzie . . .
I twarz poważna, miedzią ogorzała,
Już sama jedna w stepie tylko pała,
Jakby złożona na złocistém kole

Wtém ktoś się zbliża przyśpieszonym chodem...
I pierzchły susły . . . starzec się ocucił —
Więc i oblicze ku tej stronie zwrócił —

Koza beknęła — koźlę biegnie przodem,
A za ni^ęm chłopak ze dzbanuszk^{iem} mleka:
I starzec ściągnął rękę do napoju,
A koza leży jak dotąd w spokoju
A małe koźlę z chłopakiem się tryka
.
.

W roku 1871.

GRAMATYKA I OSIOŁ.

(BAJKA.)

Zeszło się z sobą dwóch gramatykarzy,
Więc każdy słowa, każdy zgłoski waży,
Bo o wymowę chodzi i odmiany —
A każdy w zdaniu swoim nieprzejednany:
Osioł się mówi — osioł się powiada —
Drugiemu osieł do smaku przypada —
Więc też stoczyli spór bardzo zacięty,
Jakby chodziło o mienie i życie:
Jeden się skąpał aż w samym sanskrycie,
Drugi, co bywał wymowny i cięty,
Mówił: „Niech spór ten rozstrzygną żwirzety!“

W dziedzińcu pał się osioł in natura —
Więc go pytają: „A któraże, która
Dykcyja ma zostać już odtąd poprawną?“
Jakoż dał osioł odpowiedź im sławną,
Bo rzekł: „„A po co tak wiele dowodzić:
Różnica wprawdzie może tu zachodzić
Lecz w pojedynczej liczbie, a nie w mnogiej —
W mnogiej nie będzie nikt nikomu wrogi,
To zkąd te spory zacięte urosły:
Gdy w mnogiej liczbie, tośmy zgodne osły!
Więc na co zdała się ta walka żwawa,
Gdy dykcyja osły ma większości prawa?“ —

W IMIENNIKU M. R.

Niech Bóg z modlitwą daje Tobie ranek,
Dzień pracowity, a na święto wianek,
I cichy wieczór, a i noc pogodną,
I dobrą wolę i duszę swobodną!
I jak czajeczka płyn mi przez te lata
Lekko i łatwo, bez żalu i troski . . .
Niech to, co Boże, wiąże Cię do świata,
I dom ukochaj i zaciszę wioski!
A jeżeli trzeba bliźniego pocieszyć,
To go i pociesz, pokrzep, gdy załaknie —
To Ci i pociech w tém życiu nie braknie,
I zdołasz nawet w Twém sercu rozgrzeszyć
I obciążonych i błędzących w świecie.
Szczérze bierz życie a dobrze się złoży,
Bo z dobrej roli rośnie Boże kwiecie —
A czyste serce, to polski dar Boży.

DO PAMIĘTNIKA PANNY A. K.

Z drobnych się chwilek życie nasze składa,
I niepowrotnie każda w przepaść pada . . .
Że się i trudno sercem z niemi liczyć,
Że je i myślą trudno odgraniczyć,
I niepodobna zbliżyć, ni oddalić,
Ani powstrzymać, ani je utrwalić.

Z lotnych się składa to życie widoków . . .
Na tle smug żywych i jasnych obłoków
Jak myśli, lotne mijają postacie,
W odmiennych ruchach w coraz zmiennęj szacie
Biegną... i stają... i płyną... i krążą...
I drobne chwile w pasmo życia wiążą.

Wśród tego pasma wieczystego ruchu
Chwil i postaci jak się ostać w duchu?
Trzeba znać wartość każdéj drobnéj chwili,
Zanim się wagą ku przeszłości schyli,
I brać ją lekko, albo ująć mocno —
A któraś przecie będzie i owocną.

Wśród tłumu ludzi potrzeba wyboru:
A ci najlepsi, co nie zwrócą z toru,
Z drogi żywota serca ani ducha,
Przy których dobrze, gdy się człek osłucha

W ich słowach, myślach, uczuciu i zdaniu,
Co, chociaż obcy, równi w przekonaniu.

Lecz cóż da wiarę, jak oceniać chwile,
I w pasmie chwil tych płynące postacie?
Potrzeba w domu stać o własnej sile
I w wierze Ojców i w rodowej szacie
Patrzeć na zmienne żywota widoki
I ciemne smugi i jasne obłoki:

Kto na świat patrzy z takiego ogniska —
Wyjdzie szczęśliwie z trudnego igrzyska,
Jemu się oko bliźnich zaanieli,
I świat i ziemia wiernie go obdzielili,
I siedzie sobie cicho w tych drzew cieniu —
I znajdzie skarby w ziemi i sumieniu.

23. LUTEGO. *)

„... Galilee, vicisti!“ --
„Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło“

Drży arfa Dawida — i strona trącona
Po wiekach tak wielu — na wieki znów kona,
Duch słowa wielkiego i hasła:
Co dan był, jak rosa,
Uleciał w niebiosa —
I gwiazda dla ziemi zagasła . . .

Z przymierza kapłanów — po duchu rycerzy
I lutnia w ojczyźnie i oręż się dzierży,
Więc z chwałą w pokoju duch staje,
I świadkiem dóm stary
Miłości — ofiary,
Co z ziemi się bierze i daje.

I świadkiem jest Naród — bo pękło ogniwo,
Co pieśnią serdeczną wiązało nas żywo
Z tajemnic duchowych pocztą!
Bezbrzeżną — bezmierną,
Proroczą — eterną,
Jak drzenie gwiazd Bożych — tak świętą!

*) Na zgon Zygmunta Krasińskiego.

Drży arfa królewska — bo pokój wieczysty
Już zamknął te usta nowe psalmisty,
I zwłoki już jego grób kryje:
O duchu w przymierzu!
O wieszczu — rycerzu!
I wieluż ja jeszcze przeżyję?...

Zamknęły się usta — lecz pieśń się powtórzy
Żywotem narodu w wiekowej podróży —
I pójdzie jak mściciel w świat dalej:
Bo skoro zaboli
Świat męką niewoli,
To Twoją się pieśnią rozzali.

Po wielkim żywocie cierpienia i chwały
Gdy duchem się dzielim, — nam tylko zostały
Puścizną Twe szaty podróżne,
I imię Twe z chwałą,
I miejsce zostało
Jak przestrzeń eteru tak próżne!

W sieroctwie po duchu i w serca żałobie
Czém poczcim my Ciebie? — Na grobie
Krzyż — arfę i szablę położem:
Boś śpiewak był Pański,
I rycérz kapłański,
Co brzydził się hańbą i nożem.

Boś z piekła ziemskiego, z Bożego kochania;
I z męczeństw Narodu, z Cherubów śpiewania
Do pieśni brał perły i przędzę:
I z góry niebieskiej
Płaszcz opadł królewski,
Co okrył zgorszenie i nędzę.

Pieśń Twoja nad ziemią, to niebo szkarłatu,
 Na wielkie świadectwo i ziemi i świata —
 Pieśń wieku — za Naród — na czasy:
 Jak rycérz orężna,
 Jak Cherub potężna —
 I poszła z zapasu — w zapasy!

Z pomiędzy wybranych raz jeszcze wybrany!
 Twe imię w narodzie to balsam na rany,
 Szermierzu wielkiego zawodu!
 Nie wielom tak padło
 Na dziejów zwierciadło
 Wypłynąć jak „łabędź“ Narodu.

Po wiernym żywocie Bożego przymierza,
 Po męce śpiewaka i walce rycerza —
 I dreszczach proroczej boleści:
 Spoczywaj w pokoju
 W światłości téj zdroju —
 Od której ponawiasz nam wieści!

Spoczywaj w pokoju — po próbie za wielu!
 Spoczywaj w pokoju! — boś stanął u celu —
 Jak żołnierz Chrystusów ochotny:
 Spoczywaj w pokoju!
 Po Bożym tym znoju —
 O wielki! natchniony! samotny! —

R Y T M

NA UROCZYSTOŚĆ PIĘCDZIESIĄT LETNIEJ ROCZNICY
ZAŁOŻENIA TOWARZYSTWA NAUKOWEGO KRAKOWSKIEGO
*odczytany na publicznym Posiedzeniu Towarzystwa
dnia 16. Maja 1868 r.*

Owo i przeszedł w półwiecznym pochodzie
Zastęp szermierzy, związany przymierzem;
Szermierzy ducha w ziemi i w Narodzie,
Okryty wiary dziejowej puklerzem. —

Owo i przeszedł i odbyta warta —
I pozostali obchodzą rocznicę
Jako puścizny i pracy dziedzice. —
To i przybywa nowa w dziejach karta. —

Przeszli szermierze po półwiecznej drodze,
I szeregowi — i naczelnii wodze,
Do pracy ducha równo powołani,
Równo zaciężni i samo-wybrani. —

Przeszli szermierze — lecz kto to odczytał,
Na jaką wchodząc natrafili rolę?
Kto ich o posiew i zabiegi pytał,
O męki ducha i o wieku bole?

A przecież wszystko, co duchem zdobyte,
Jeśli nie łzami i nie krwią obmyte,

To matką ducha życiu jest wydarte. —
I kto za siebie zapisał tę kartę,
Tego w miłości odpuścić należy
Z koła zaciężonych i z pocztu szermierzy. —

Z uznania pracy dla pracy otucha —
I drobna pszczoła zbiera tylko miody;
Lecz kto zapytał Wisłę o jej wody?
Kto pyta Polskę, z kąd pobiera ducha?

Są cenne perły, z morza wyniesione,
Są drogie kruszce, z ziemi wydobyte; —
I jest żelazo na pług i obronę —
Głębi wydarte i w ogniu ubite. —
I niema skarbu bez tej perły cenniej —
I niema uczyty bez drogich puharów —
I bez żelaza niema pracy dzienniej,
Ani pokoju, ani Bożych darów.
Lecz kto tam kiedy o nurka zapytał,
Co wyniósł perłę i dał do korony?
Kto o górnika, — gdy za puhar chwycił,
Za pług do pracy — za miecz do obrony? —

Jako nurkowie i jako górnicy —
I na dno morza i do wnętrza ziemi
Spuścić się muszą ducha pracownicy,
By dobyć skarby i obdarzać niemi. —
Drobne to wprawdzie, co człek zdobyć zdoła;
Lecz z tych zdobyczy skarb Narodu rośnie —
Bo prawda mówi słowami Anioła. —
A gdy się w sercach rozkrzewi miłośnie,
Dopiero wówczas obéjrzeć się trzeba —
Za tym, co słowo wyniósł na czas z nieba —

I dał je ziemi, jak zadatek wielki,
Natchnień Niebieskich, Matki Rodzicielki!

Z uznania pracy, dla pracy otucha. —
I drobna pszczoła zbiera tylko miody; —
Lecz kto zapytał Wisłę o jej wody?
Kto pyta *Polskę*, z kąd pobiera ducha?

Wię każdy ruczaj, gdzie powziął początek —
I źródła swego zapomnieć nie może;
To i obchodzi pamiątkę tych świątek,
Zanim się Wisłą dostanie na morze. —
I choć się zleje z rzeką wielkim mirem —
I srebrną wstęgą snuje się wzdłuż ziemi;
Na srebrnej wstędze okręca się wiry,
Kiedy zatęskni za źródłami swymi. —
Tak Flis tłómaczy te wiry wiślane,
Gdy o znaczenie wirów go zapytać,
Które zaledwie, że okiem pochwycić,
A już ci znikły równo umuskane;
Bo się znów zlały z tym wiślanym prądem,
Albo rozbiły, zetknąwszy się z lądem.

Czém ten wir drobny na żeglownej wodzie,
Tém człęk służebny w dziejach i w Narodzie —
I jak gra Wisła drobnymi wirami,
A przecież szumnie wzdłuż Ojczyzny bieży,
Tak stoją dzieje małemi siłami —
I drobne ziarnko wielki korzec mierzy. —

Bo też za wiele i za bardzo wiele
Musiała praca duchowa zastąpić;
Gdzie tylko słowo stać mogło na czele,
Gdzie tylko natchnień wiek nie raczył skąpić. —

I z dumą można by spojrzeć za siebie,
Gdyby nie pamięć — z czego to wyrosło;
W jakim ucisku i w jakiej potrzebie,
Z boleścią wieku i serca się niosło?

Chcąc wierną służbę odważyć szermierzy,
Którzy tu przeszli w półwiecznym pochodzie;
Trzeba ocenić, co w tej głębi leży,
Co się nie działo w świecie i w Narodzie!
Bo miarą ducha jest ta miara wieku —
I człek w Narodzie, a Naród w człowieku
Tak się zwierciedli, jak Boża źrenica,
Choć niedojrzana, dla dziejów przyświeca —
I wielkie Rządy Opatrzności trzyma; —
Bez Boga, człeka i narodu niema!
I niech poważne rozpamiętywanie,
Na tej tu uczcie za wszystko nam stanie. —

Otóż kto w Boga i kto w Naród wierzy,
Niech poczi pamięć zesłych już szermierzy —
A byli tacy w tym zesłym zastępie,
Co miarą pisma mierzyli dla ziemi. —
Jeżeli serca wspomnieniem zasępię,
Chciejcie to pojąć, że razem z lepszymi —
Żyć duszy miło w dziejowem wspomnieniu —
I stawić w słońcu, co spoczęło w cieniu.
Wszak duch Narodu budowniczym Domu; —
A że w tym kącie dziś nam poszło sporzój,
Czyż niema za to podziękować komu?
Nie będzie węgła, gdzie go Bóg nie złoży!

W duchu musiało urość, co widomie,
Dziś gmachem stoi i ma się ozdobić;
Nim Alma Mater mogła odspobić

Tę Córę, w starym odchowaną Domie. —
 Zanim jęj drodze mogła błogosławić,
 Dawszy jęj berła krzyżowe na wiano;
 I za nim sama Dom ten mogła stawić, —
 I stać się Matki Córą ukochaną. —

Co się tam działo przed czasem rozłąki —
 Dzieje zapiszą — Matki Jagiellonki; —
 My tu spłacamy te duchowe długi —
 I dzieje pracy i dzieje zasługi. —
 A gdy w tém Kole przyszło dziś do liku —
 Spraw towarzystwa w rocznicy obliczu,
Zasługę zmarłych, poczijmy w Wężyku
Jak służbę żywych czcimy w Brodowiczu!
 Wieszczy narodowy, co wiek przeżył z chwałą,
 Kwestarz — Senator — tę rękę zgrzybiałą
 Wyciągnął jeszcze, stojąc już przy grobie —
 I rzekł poważnie: „*nie dla mnie, lecz sobie.*“
 I Naród złożył — nie powiem jałmużny,
 Ale to złożył, co sobie był dłużny;
 I jest dla pracy znowu przytulisko —
 A i kąt własny — i własne Ognisko,
 Przy którym zasiąść i ogrzać się można; —
 I jest komora, kędy ręka zbożna
 Składa te zbiory — i prace zawodu
 Jako grosz wdowi, znowu dla Narodu!

Teraz do Ciebie! co nam przewodniczysz —
 I dzieje Koła na Twych karbach liczysz —
 Zwracam me słowo — pełen ztąd otuchy,
 Że się radują poprzedników duchy,
 Których tu pamięć obchodzimy półwieczną —
 I pracę wieku, zaszczytnie stateczną. —

I cóż Ci powiem, zacny Naczelniku?
Postąpi naród — postąpi nauka;
Lecz wydobyte skarby w tym języku
Po pracy naszej przejdą na prawnuka. —
Myśmy wynieśli z téj półwiecznej toni,
Co ducha zdobi, utwierdza i broni,
Duchowej naszej Rzeczypospolitej —
Pomnik Narodu *niczém nie pożyty* —
Zostanie język; żywy, w Panu żywy —
Myślą, uczuciem, życiem sprawiedliwy. —
Z tym to sztandarem stajemy wśród wieku:
Bogu, co Boskie — a co ludzkie, człeku
Oddając wiernie; wśród Narodów żywi,
Bo żywi w dziejach, tylko sprawiedliwi.
W groźnej i bardzo dla Narodu chwili
Gdyśmy w zapasach wieku się strudzili,
Niech krwawy ducha i pracy nabytek,
Dla wielkiej Rzeszy idzie na pożytek. —
A ufam w Panu, że z tego posiewu
Światła i prawdy i Bożego krzewu
Urosnie wielkie dobro dla Narodu,
Nim się stulecie schyli do zachodu. —
I ufam w Panu, że od dziś w pół wieka
W narodzie naszym nie braknie człowieka,
Co pamięć naszą w tym domu odnowi —
I téj rocznicy dzieje znów opowie.

Dnia 21. Marca pierwszego dnia wiosny w pomieszkaniu P. Szymona Dutkiewicza przy ulicy Kanonickiej pod L. 123. w Krakowie.

Znam, że Bóg wielkiej łaski mi nie skąpił,
Gdym próg Twój jeszcze Szymonie przestąpił,
Gdy nie oczyma — sercem Ciebie witam
I o pocziwe sprawy domu pytam:
A gdzie mój ułan? gdzie komódka stara?
I macam, jaka tych rzeczy jest miara,
A wtém mi znany zégar bić poczyna
I wszystko sercu rzewnie przypomina:
I lata razem po Bogu przeżyte,
I prace z Twoją pomocą odbyte —
A ty mi mówisz: „*Jest tu Twoja księga —
Praca lat siedmiu, czasami w niej czytam.*“
Książka to moja? ręka po nią sięga —
To foliant widzę? — zapisany żmudno —
I dziś podźwignąć nawet mi go trudno;
I trudno wierzyć, że duchem zdobyte,
I krwią pisane i łzami obmyte
I jest i było, co księga zawiera.

Twoja Szymonie dla mnie przyjaźń szczéra
Zebrała karty, może mało warte,

Lecz że w miłości warte bardzo wiele —
A że rzecz piękna szczerzy przyjaciele,
To do téj księgi składam ja tę kartę:
I oby jeszcze nie była ostatnią,
Którą i składam z tą miłością bratnią.

A o Ignacym czyż przepomnieć można?
Wszedł i uściskał jako sługa stary
I była chwila to dla mnie pobożna,
Bom i ja ścisnął człeka dobrej wiary. —

NA IMIENINY PANU
SZYMONOWI DUTKIEWICZOWI

1867 R.

Na Szymona i na Judy
Czekaj śniegu albo grudy;
A gdy Bóg dał imieniny,
Po staremu nadmij dudy
I puść koncept z pod czupryny.

Dudy wprawdzie już dziurawe,
Ale oczy jeszcze łzawe;
Więc Ci niesie serce biędne
Te życzenia zawsze jedne,
Jakie chowa wraz z narodem,
To je przyjmij dziś z „Rapsodem.“

PANU BRODOWICZOWI

PRZY WYJEŹDZIE Z RRAKOWA W R. 1857.

Czas do domu czas, —
Zabawili nas!
Czas by miasto grobów rzucić,
Czas na Ruś do swoich wrócić —
Czas do domu czas
Zabawili nas! —

Zeszło z sił i z lat...
Zmienił nam się świat!
Czasby wytchnąć wielki Boże!
Gdzieś śród jaru na futorze —
Czas do domu czas
Zabawili nas

Patrzę na ksiąg stos,
Jak na własny los,
Jak na bracią i ich rany
Dramat życia odegrany
Czas do domu czas
Zabawili nas!

A więc dalej w świat
Tropić stary ślad:
Czas już zjechać z tych rozdroży
I poczytać w księdze Bożej—
Czas do domu czas
Zabawili nas!

W I E R S Z

napisany z okoliczności otworzenia w Uniwersytecie Pragskim fizyologicznego Zakładu przez J. N. Purkinie.

Były dwie siostry — w jednym czasie rosły,
I pracę ziemi, serce Bogu niosły
Jak gdyby w niebo wzięte Anielice,
Cichęj zasługi, światła miłośnice!

Bo co już było na ziemi i niebie,
Co krzepić mogło Ojczyznę w potrzebie,
Albo ją podnieść i zacnie przystroić,
Albo jęj rany pocziwie zagoić,
Wszystko to, wszystko niosły one wiernie,
Podając kwiaty, obierając ciernie,
A za ich pracę kraj się okrył sławą —
I jedna z siostr tych wzrosła nad Weltawą,
Druga nad Wisłą — a choć świat obszerny
Rozdzielił obie już na żywot cały,
Przecież je łączył taki sojusz wierny,
Jakby u jednęj matki się chowały —
I różne losy przeszły siostry obie
I dziś po wiekach patrzą znów ku sobie —
A choć je wawrzyn ziemski nie uwieńczy,
Znają obiedwie, co im świat zawdzięcza,
Bo jak krew matki, tak siostrzyce bliźnie

Rozlały światło po wielkiej ojczyźnie —
I obie napis chowały u progu:
„Cześć rozumowi, co nie bluźnił Bogu“ —
I jak przed wieki patrzą dziś ku sobie
I stara nasza Jagiellońska szkoła
„Daj Boże szczęście“ — Pragskiej siostrze woła,
A Praga mówi: „Szczęść Boże i Tobie!“

— Z tém samém godłem, które im wystarczy,
Na wszystkie wieki stoją dziś na straży
Córy Minerwy, oparte na tarczy,
A Bóg ich losy na swój szali waży.

Siostrzyco Pragska! My nie zajrzym tobie,
Bo z wieka pragniem tylko prace dzielić;
Lecz gdy tak pięknie dziś radzisz o sobie,
To szczęściem Twojém chcemy się weselić —
My ci winszujem, że wstąpił w Twe progi
Mąż twórczej siły, potężnego ducha,
A sercom naszym tak oddawna drogi,
Jak gdyby wspólna była nam pielucha —
Głos jego znany — ale z twego domu
To po raz pierwszy tu do nas dochodzi,
A choć nas prawdą wita po znajomu.
Jakby głos nowy nadzieję w nas rodzi.
Janie Nestorze! gdyś do Pragi jechał,
To każdy drodze twojej błogosławił
I cichém szczęściem w sercu się uśmiechał,
Że Bóg cię w domu ojców znów postawił.
Pono zaledwo że dwa lata zbiegły,
A tys gmach dzwignął od najpięrszej cegły,
I Pradześ owoc twojej pracy złożył
I do Świątyni podwoje otworzył.

Jak Jowisz stary, gdy błysnie wśród cieni,
Tak wzrok twój strzelił z pod tych brwi krzaczystych
I znów sypnąłeś garść jasnych promieni,
By się świat przejrzał w prawdach wiekuistych—
I znowu widniej — i znów serce wierzy
W pomyślne wróżby, gdy się światło szerzy.

Jako Minerwa z czaski Jowiszowej
Wynikła cała i do razu zbrojna —
Tak umiejętność nowa z twojej głowy
Wyszła i stoi jak posąg spokojna.

I świat się zdziwił — przyklasnęli swoi,
A nasz Jan Nestor jako Krywań stoi
Pośrodku wielkiej i sławnej ojczyzny,
Jaśniejąc blaskiem natchnionej siwizny.

Sercem wyniosły, jak anioł natchnienia —
Jasny i czysty jak promień słoneczny,
Duchem potężny, jak oddech stworzenia,
A w życiu prosty, jak światła ład wieczny.

A wierna nasza Jagiellońska szkoła
„Daj Boże szczęście stariej Pradze woła!“
Ciesząc się w sercu, że jej równiennica
Własnym swym światłem ojczyźnie przyświeca.

Bo własne światło takie miłościwe,
Że jako słońce wskrzesza duszę skrzepłą,
A prawdy wówczas, jak natchnienie żywe —
Gdy je ogrzewa wielkiej duszy ciepło.

Janie Nestorze! Nie nam Ciebie sławić,
Lecz nam siwiźnie Twojej błogosławić,
Co jako jesień, w owoce bogata,
Sieje nasiona dla przyszłego świata.

Nie nam cię sławić, bo cóż Tobie sława?
Gdyś to pokochał, co ludzkości święte,
Co niebo ze krwią synom ziemi dawa,
Co tam na tronie Boga jest poczęte,
A tu w płomiennych duszach się ukrywa
I najzacniejszych tylko częstką bywa.

Janie! czyś w radzie siedział tam u góry,
Żeś odgadł wielkie tajniki natury?
Bo jakbyś patrzył przez słoneczne wrota,
Dojrzałeś związku ziemskiego żywota
I z tym dobytkiem wróciłeś do Boga —
Bo wielka mądrość nie pobлуźni Panu,
Lecz wielbi Stwórcę z ojczyzny kurhanu,
Zkąd dla niej prosta do samych gwiazd droga,
Bo wielkiej sprawy wiecznie miłość źródło —
Bo z świętej woli praca pochop bierze —
A jeśli serce w walkach nie wychłódło,
Spaja mądrości i wiary przymierze.

Takim Ty wieszczem w swym rodzinnym domu!
A w Twoje prawdy, jak i w Ciebie wierzem —
Szczęśliwi w sercu, że jak cześć dać komu,
Żeś nam miłości i prawdy rycerzem.

A cześć i Tobie Mężu dobrej woli,
Co siejesz światło po pocziwój roli —
Cześć Ci oddają obie szkoły bliźnie,

Czeska i nasza, żeś wrócił ojczyźnie
Wielkiego Męża, jako klejnot jasny —
A jemu rozkosz służyć ziemi własnej.

Co zacne, w dziejach nie przejdzie bez śladu,
Lecz ziarnem Bożem strzeli w pokoleniu —
I siędą kiedyś ludzie w tych drzew cieniu —
I zerwą kiedyś owoc tego sadu.

W Krakowie
d. 1. Marca 1852.

WESTCHNIENIE

*do Błogosławionój Księżnej Grzymistawy, Matki
Bolesława Wstydliwego, fundatora Klasztoru
OO. Franciszkanów w Krakowie.*

Błogosławiona Księżno Grzymistawo!
Wielka Matrono królewskiego rodu!
Ty, coś natchnęła syna myślą prawą,
Że tu dom Boży dzwignął śród narodu —
Natchnij nas, natchnij taką wołą świętą,
Jaką ty byłaś od Boga natchniętą,
I racz w nas łaskę do tyla pomnożyć,
Abyśmy byli i godni i skorzy,
Rękę do domu Pańskiego przyłożyć
I z gruzów dzwignąć jeszcze ten dom Boży!
Bo gdy Świątynie na téj ziemi gorą,
Wielki czas Pana błagać nam z pokorą.
I palec Jego widzieć w znakach kary,
I chwale Jego powrócić dom stary.

Wstaw się za nami o Matrono Święta,
Niechaj się wiara z ofiarą odnowi —
I niechaj będzie tak mile przyjęta
I tak zaważy, jak ważył grosz wdowi.

DO ALBUMU

PANU BRODOWICZOWI.

Kiedy duch we czci przed zasługą pada,
To czci uczucie w rymy się nie składa —
Lecz jak do Boga ku niebu wejrzenie,
Tak w jedno tylko rozplywa się tchnienie.

W Krakowie na Wesołej
dnia 27. Maja.

PANU SZYMONOWI

OFIARUJĄC MOHORTA PIĘRWSZE WYDANIE.

„*Non omnis moriar!* — w zawiei Czechryńskiej!“
Rzekł do mnie w liście Tadeusz Bieliński,
Kiedy „Mohorta“ przesłałem mu w darze,
A że Twą przyjaźń równą sobie ważę
„*Non omnis moriar!*“ niechaj tu się godzi
Tobie powtórzyć — i niechaj to słodzi
Cierpki nasz żywot — że mówimy sobie!
„*Non omnis moriar!*“ choć legniemy w grobie.

W Krakowie
dnia 1. Lipca 1855. r.

NA PAMIĘTNIKACH BENEDYKTA WINNICKIEGO

EDYCYI PETERSBURGSKIEJ

PANU SZYMONOWI.

Jakież przytoczyć by Waszmości „*dicta*“
Składając księgi Pana Benedykta?
Oto Ci chyba tylko tyle powiem:
Że jedno przyjaźń dla człowieka zdrowiem —
I sam wiesz o tém: Gdy już wszystko stygnie,
Stary przyjaciel jeszcze z grobu dźwignie,
Jak mnie podźwignął Pan Benedykt duchem,
Kiedym przykuty był nędzy łańcuchem —
Ztąd co za młodu dali niegdyś prości,
Niech wierny drużba chowa do starości —
Bo jużciż było tam w tém coś miłości,
I krew jest ze krwi — a kość rośnie z kości.

W Krakowie
dnia 11. Lipca 1855. r.

T R E N Y.

Aniele Strózu! opiekuńczy duchu
Natchnienia mego i téj lutni mojej!
I któż bez Ciebie mą lutnię nastroi?
Kto pieśni mojej użyczy posłuchu,
Kiedy Cię Pan Bóg zabrał nam w potrzebie —
W sierocym domu, któż zastąpi Ciebie?
Kto miłościwie pośrodku nas siędzie?
Kto czułą pieczę o nas mieć dziś będzie?
Kto weźmie troskę tych domowych leków?
Drobnego grosza i małych kluczyków?
Kto się to nami tak czule zatroska?
Przy kim się tacy uczujem bezpieczni?
Komuż to będziem tak wdzięczni i grzeczni?
Jak gdy nas wiodła w Tobie łaska Boska!
Kornelijo moja! źle nam tu bez Ciebie,
To módl się za nas, Aniele tam w niebie,
By nas Bóg w naszym sieroctwie pocieszył
I z nędzy naszej, aby nas rozgrzeszył
Błogosław dzieciom w macierzyństwie Ducha,
Gdy na nich przyjdzie błędów zawierucha,
A za mną wstawiaj tam się moja droga,
By żywszą jeszcze była w sercu wiara —
Że gdy się modłę za Tobą do Boga,
To z nas znów wierna tam przed Bogiem para!

DO TRENÓW.

Panie! zwątpienie ogarnęło duszę
I cały żywot zaciężył i grzéchy —
Myśl bez natchnienia — serce bez pociechy!
I jak mur stary w kawałki się kruszę . . .

Czym ludzką może pogrzezył miłością?
Czy zbytnią wiarą, czy ziemską nadzieją?
Że cały żywot tak mi staje kością,
Że ni zwątpienia chwasty w dusze sieją? . . .

O był stróż Anioł, co nademną czuwał
I chmury z nieba i z czoła odsuwał!
I łódź żywota kierował na strugi —
Dziś nie ma portu, nie ma i żeglugi!

Nie przez me Panie, lecz przez Jój cierpienie
Daj prostą drogę i życia streszczenie —
Niechaj nie ginę już pod koniec bitwy!
I od zwątpienia oczyść — przez modlitwy.

W Krakowie
d. 28. Grudnia 1855. r.

DO

NAJSW. PANNY MARYI CZĘSTOCHOWSKIEJ

OFIAROWANIE.

Królowo Nieba! Pani dobrej wieści!
Matko miłości i matko boleści!
Oto się ciskam do stóp Twoich w prochu,
Przyjm moją żalność i mą miłość w szlochu!
I niech to wdzięczna będzie ci ofiara,
Co na mnie padło jak łaska i kara,
Oboje składam na Twoje ołtarze. —
Coś dać raczyła, racz to przyjąć w darze —
Oboje składam Tobie jako jeniec
To polskie pióro i ślubny pierścieniec!
Tu — gdzie królowie składali koronę,
Tu — gdzie hetmani składali buławę,
Ja się uciekam pod Twoją obronę
Życiem złamany i boleścią krwawy
Przyjm moje pióro i pierścionek żony—
I niech po stracie łaska Twa posili
I silna wiara: Że pod Twe obrony
Przyjmiesz mnie Pani w téj skonania chwili!
Długom się błąkał za sprawą bez ceny —
Dziś w méj boleści — dziś pojmuję Ciebie
A więc i modły i żalności treny,
Pióro i pierścień składam w méj potrzebie!

Niechaj tu świadczą *nieszczęściu i wierze*
Onęj niebieskiej i ziemskiej miłości!
A kto odmawiać tu będzie pacierze
Niech za nas westchnie — bo kość idzie z kości!

I wiara z wiary — z nadziei nadzieje —
Miłość z kochania — i co się posiadało
Od zwiastowania, niechaj stoi cało
I z pokolenia w narodzie się sieje!

Gloria in excelsis Deo!

W Krakowie
d. 9. Stycznia 1856 r.

DO

PANA JANUAREGO SUCHODOLSKIEGO,

MNIIE WIELCE MIŁOŚCIWEGO PANA A BRATA

PO POCZCIWEJ SŁUŻBIE!

Zkąd tyle łaski panie January!
Że mnie obsyłasz tak drogiemi dary?
Objechał Mohort światem i powraca,
Znał gdzie zagościć — gdy do Ciebie wstąpił —
Boć to duch ducha, pracę rodzi praca:
Więc Bóg Ci zapłać! żeś serca nie skąpił! —
„Biada tój ziemi! gdzie ciepło słoneczne
„Nie rozpromienić, nic rozgrzać nie zdoła,—
„Biada tym sercom! gdzie słowo serdeczne
„Gorejącego echa nie wywoła!“
Takie mnie słowa od serdecznój Braci
W tój samój chwili z daleka owiały,
Kiedy Twój Mohort w widomój postaci
Stanął przedemną na świadectwo cały! —
Więc Bóg ci zapłać za taką pociechę,
I żeś przemówił do mnie takie słowo,
Gdy Bóg boleścią nawiedził mą strzechę,
Gdy mało władnę i sercem i głową—
Otóż Bóg zapłać! Bo duszy jałmużny
Więcej potrzeba, niż ciała, gdy padnie.
Znam, com ci w sercu za twą miłość dłużny

I mam to w środku i tam w duszy na dzień! —
Ale to streścić siliłbym się darmo,
Com czuł, gdyś taką posilił mię karmą:
Kiedy Twój Mohort spojrzął na mnie groźno,
To najprzód duszę coś schwyciło mroźno,
A gdym się wpatrzył w tę twarz i w tę ciszę,
To mi się zdało, że pobódkę słyszę
I widzę znowu ów ganeczek mały,
Zkąd się te trąby po rosie ozwały,
Których głos skonał za Dnieprowym brzegiem...
„Baczność!“ — i Mohort stanął przed szeregiem.

Bóg zapłać Bracie! otóż to mi družba,
Co w czas obudzi: „*Czuj duch! bo to służba!*“
Co duchem dźwignie — choć słowy nie pieści
I służbą każe dźwigać się z boleści. —
Bóg zapłać Bracie! wolno w służbie pęknąć,
Ale w szeregu nie wolno i jęknąć,
To mi Twój Mohort przypomniał na nowo —
I kiedy spojrzął od kresów srowo,
Tom stanął znowu jak w kole zaklętym,
Jak na komendę w szeregu ściśniętym
I zdrów i cały, bo mi się zdawało
Że: — „*Od prawego oblicz się*“ — zagrzmiało

W Krakowie

d. 22. Stycznia 1856. r.

DO

PANA JANUAREGO SUCHODOLSKIEGO,

MNIĘ WIELCE MIŁOŚCIWEGO PANA A BRATA

PO POCZCIWEJ SŁUŻBIE.

Z Krakowa

d. 12. Lutego 1856.

List odebrałem — i w bratniej miłości
 Daj Boże częściej witać takich gości!
 Boć miło sercu — że ktoś — co na straży
 Dobrze służyły — pocziwie — surowo
 Przyjaźń i pamięć naszą sobie waży,
 I podejmuje sercem „bratnie słowo!“

Lecz gdyś mi drużba i kolega stary,
 Więc Ci wypowiem Panie January!
 Żeś mię utrapił — boś mi obraz zmącił
 Pełen pogody — gdyś mi z konia strącił
 Ową widetę — co stała na straży
 Wilkich Miłości „jakiemi Bóg darzy
 Tylko Wybranych w pocziwej ojczyźnie,
 Jaką po zacnych bierzemy w puściźnie!

„Tam na błoni rośnie kwiecie . . .

Stoi Ułan na widecie:

A dziewczyna jak malina

Niesie koszyk róż!“

Otóż to bardzo miła sercu zwrotka!
Lecz na Bóg żywy! cóż żeś z niemi zrobił?
To się mój rycerz tylko rany dobił??? —
A jego miła, różana szczebiotka
W nagrodę serca tylko wzięła tyle,
Że krew rozlaną widzi na mogile? —

Bój że się Boga Panie January!
Nie dręcz że serca, gdyś kolega stary!
Lata patrzałem na Twego Ułana
I żał mi bardzo, że owa „Malina“
Wdzięczna i świeża, jak zorza rumiana
Dziś nad ranionym rycerzem się zgina...

Jam inną przyszłość w sercu dla niej wróżył:
A gdy ją wiedziesz kolego przez próby,
Gdyś ją w boleści serdeczněj zanurzył,
To cudem wybaw oboje od zguby!...

Nie na tém stało! Panie January!
Zkąd ma być słowo pociechy i wiary!
Jeśli nie z ducha starego kolegi?
Więc dalej idźmy Bracie temi biegi,
Aby tą raną serce nie bolało —
Więc powiedz Bracie: Co się z niemi stało?

Jam w to uwierzył: że ów syn ojczyzny
Po krwawych walkach doszedł ojcowizny—
I że mu jego z widety „Malina“
Pod strzechą ojców upowiła syna —
I że się miła powtórzyła zwrotka: —
Bo słońko w ciche zaświeciło wrotka,
A w ich dziedzińcu — jak gdyby na stole
Wdzięczne pośrodku igrało pachole —

Gdy on z uśmiechem liczył swe źrebięta,
A ona pierwsze kokosze piskłęta....

Otóż o taki obraz Waści proszę!
Bo gdyś próbami miłych nam udęczył,
To nas nie rzucaj — lecz pociesz po troszę!
Bo obietnicę wszak sam Bóg zaręczył —
A gdy żałośnie nam się dola toczy
Niechaj na bratniem szczęściu spoczna oczy:
To łatwiej będzie w smutku się pocieszyć
I szczęściem bliźnich z boleści rozgrzeszyć...
Niechaj im padnie, co im serce życzy:
I niech pachole duchem Ojca liczy
W siedzibie dziadów na wiosnę źrebięta,
A sercem matki kokosze piskłęta!

A teraz — zdrów mi bądź kolego stary!
I niech Bóg dźwiga ostatki téj wiary,
Którą w swej łasce jakimś cudem chowa,
Którój miast szabli dał tęczę — i słowa,
Aby świadczyła wiernie w służbie Pańskiej,
Cnocie Hetmańskiej — i wierze Kapłańskiej! —

DO PANA W. D.

BIORĄC ASUMPT Z URAZY MIŁYCH MU PTASZKÓW.

Otóż to sprawa Panie Włodzimierzu!
Człowiek by pragnął żyć z światem w przymierzu!
Że to nie łatwo — więc uchodzi w puszcze,
Gdzie nawet zimą zielenieją bluszcze,
Po starych drzewach tak wdzięcznie rozpięte,
Że uroczysko wydaje się święte....
I świętą cisza, którą człek oddycha,
W której się sercu szczęśliwie ukryte,
Jak w pieluchach Matki upowite,
Nieznany wdziękiem natury uśmiecha....

Otóż myślałem — szkoda, że nie wiedzą,
O tych pięknościach Ci, co w murach siedzą,
A gdyby *zimą puszcę* im nakreślić?
I ono wdzięczne jako dar obmyślić?
Możeby to się i komuś udało,
Że „*białe świątki*“ tak cudownie biało
Świecą dla duszy w tej zimowej ciszy,
Gdy strzecha w śniegu, a zwierz w jamie dyszy?..
Może myślałem . . . i co się myśliło
W małym obrazku zimy się spowiło,
Co z głowy, myśli — niech to idzie światem,
Lecz kiedym myślał, że już koniec na tém,
Aż tu Zoile rozpoczęli krzyki:

„Jakto? tak lekko czynić historyki?
Czyż cześć dla dziejów jest komu potrzebna? . .
Jaka naiwność! — widać że poeta!
Napisać dzieje — owo rzecz chwalebna!
Owo prawdziwa i wielka zaleta —
Co nam tam djabli, jak się to tam działo!
I poco trumny dziś okrywać chwałą?
Już ten nie wstanie, co raz w grobie leży,
Nim na świadectwo wskrzesi Piotrowina,
Co tam kto czynił i jaka przyczyna
Tych dziejów była — niech to, kto chce wierzy.
My piszemy dzieje — a tu księga leży,
Którą i czytać i zapłacić trzeba,
A co się tyczy i dziejów i nieba,
Nie rzecz to nasza i nie o to chodzi —
My na dziś żyjemy — dziś się nam cześć godzi.“

Cóż na to powiesz Panie Włodzimierzu?
Pocziwa spowiedź i w takim przymierzu
Warto już badać historyczne prawdy! . .
Otwarty rabuś najlepszy jest zawdy.
Ale nie koniec na tém jeszcze Panie:
Za historykiem żyd w tęż tropy stanie
I do rachunku pociąga za zdanie,
Bo com rzekł o nim — jemu się nie zdaje —
My co pieniądze? pieniądze — rzecz dobra,
My złoto mamy, nam o honor chodzi,
Wszak my kość z kości — pokolenie z ziobra,
A sam król Dawid naszych żydków rodzi.
Ha! nie wiedziałem — jam myślał po prostu,
Jak jest przypowieść: „*pchnął jak żyda z mostu!*“
A tu jak widzę ludzie honorowi,
Którym należą się wysokie względy,
I gdy ich godność dziś już nie arendy

Sięga jak dawniej, lecz nawet honoru,
To wielka bieda dziś już szlachcicowi,
Bo chyba trzeba ustąpić ze dworu?
Strachy na Lachy i Lachy na strachy!
Ej panie Bracie czy nie ma tam płachy,
Gdzie w starym dworze lub może batoga,
Aby tę gawieź odpędzić od proga?
Pół biedy z nimi — fasykuł nie strzeli,
A żyd nie weźmie się do karabeli;
Lecz kiedy taki nam nawet przygoni,
Co to i w Bogu chodzi i przy bronii,
To już człek jakoś w sercu się tam kruszy,
I niepomału boleje tam w duszy.
Jak to mnie winić, żem onego czasu
Chciał krzywdę zrobić gospodarzom lasu,
Żem nie wymienił wszystkie ptaszki one,
Co nawet zimą tu nieustraszone
Wraz z nami żyją i żywot weselą,
I w naszych lesiach wdzięczne gniazda ścielą?
Ej przyjacielu! ta na miłe Bogi,
Cóż mnie to straszyć temi Zoologi,
I Tyzenhauza wywoływać cienie,
Kiedy to było dla igraszki pienię.
Że cześć dla niego jest w sercu nie marna,
Niech o tém świadczy jego „*Sowa mszarna*“ —
Że pan Wodzicki wie o *Zimorodku*,
Co ścielę gniazdo w samej zimy środku —
Temum nie przeczył; sam język świadczy,
Że tój ptaszynie zima nasza matczy —
Nie przeczę także że jest i sikorka,
Co niby szydło wyścibi się z worka;
Że jest kowalik, co mu padło w darze,
Iż się posuwa gładko po konarze,
I o tém także znałem doskonale,

Lecz o dzięciole zapomniałem wcale,
A dzięcioł puka w serce wołą Bożą
Jakby chciał mówić — „Pukaj, a otworzą.“
Otóż to grzechy mojego żywota
Furda historyk a i żyd hołota,
Lecz o dzięciole zapomnieć śród zimy,
Gdy się jej wdzięki chce wysławiać rymy,
To już grzech wielki, boć on wielkiej chluby —
Albo ów drugi, co to pstremi pióry
I kołatanem ożywia te bory —
Alboż ów Cietrzew, co z krwawą powieką,
Od ludzi siada, stróżliwie daleko —
Albo jarząbek, co burknie z łomotem,
Gdy huczym w puszczy poderwie się lotem —
A więc i szczygieł wesolutki, gładki,
Co to w umizgi gotów do dzierłatki,
Co z nikiem w świecie nie jest w nienawiści,
Choć jak Bóg kazał chwasty w świecie czyści.
Więc o tych wszystkich zapomniałem wcale,
Nie przez złość żadną — lecz tak, bo niedbale
Wziąłem się trochę był do onęj rzeczy.
Otóż się biję w piersi po staremu,
A że to skrucha i winy niweczy,
Więc powiedz Waszmości Panu Pietruskiemu,
Żem nie uczynił to był ze złej woli,
Bo wiem, co krzywda i wiem, jako boli . . .
Na tém więc kończę moją *epistolę*,
A pozdrów proszę mi ptaszki wesołe,
I po dąbrowach i własnego gniazda,
I niech przyświeca im szczęśliwa gwiazda.

Z Krakowa

d. 15. Lutego 1856. r.

DO

JMCI PANA EDWARDA DULSKIEGO,

MNIĘ WIELCE MIŁOŚCIWEGO PANA A BRATA.

Z Krakowa

d. 16. Lutego 1856. r.

List Twój dostawszy, podniosłem się hardzie,
Boć miło sercu, mój Panie Edwardzie!
Pomyślić sobie, że kolega stary
Pocziwie jeszcze dochowuje miary,
Jako to niosą rycerskie zwyczaje.

Otóż to dobrze — ale więcej cieszy,
Że Waszmość jeszcze smutkami nie grzeszy,
Żeś jeszcze sobie i mądry i chrobry,
I dobrej myśli i fantazyi dobrej,
Bo już źle bardzo będzie z nami Panie!
Jak już Dulskiemu konceptu nie stanie!

Bo widzisz Bracie! dobry rozum polski
Tęm dla człowieka, czém piróg podolski —
A dowcip polski, kiedy co opieprzy,
Człek i mądrzejszy a nawet i lepszy,
Bo mu wesoło coś w rozumie świta
I bez repliki o nic już nie pyta,
Lecz czy do karczmy, czyli mu do nieba,
Prosto już wali i tak, jak mu trzeba.

Otóż mój Bracie! chowaj ten dar Boży,
Czyli właściwiej nie chowaj pod korzec
Tego, co zdrowe myśli wśród nas mnoży,
I czego żaden dziś nie zdoła orzec,
Komu Bóg nie dał téj iskry szczęśliwéj,
Co nam płynęła niegdyś jak źródó żywy,
I dla przedniejszych i wielkiego tłumu,
Dowcipu ojców — i ojców rozumu.

To mi to mądrość, co wprost idzie z kości,
To mi to dowcip, co bez żadnej złości,
A jak druh dobry, pokrzepi, poprawi,
Łaskawie uczy i mile zabawi:
Zkąd taki rozum, taki dowcip rodem,
Ktoby chciał wiedzieć, niech się dziejów pyta.
Póki świeciła gwiazda nad narodem,
A z Bożej łaski nam rzeczpospolita
Mieliśmy rozum i ten dowcip polski,
Syty, rozkoszny, jak ów snop podolski!

Więc gdy Cię Bracie! na pochybne czasy
Darami ojców jeszcze Pan Bóg darzy:
Znak wielkiej łaski — więc odpieraj kwasy,
A jak „*Ostoja*“ — stój jeszcze na straży
Tego rozumu i dowcipu tego,
Co jak krzyż Pański broni ode złego!

P O S T S C R I P T U M .

Gdy czas wojenny — więc coś i od płachy
Waści posyłam — jużciż znasz przysłowie
Od wieków znane „*Że strachy na Lachy!*”
Dziś przewrócili go w odwrót panowie,
Więc trzeba wierzyć — „*Że Lachy na strachy!*”
A żeś Lach pono i to nie obłudny
Więc straż dowcipem i polskim rozumem
Niechaj nie ginie wieść o *Lachach* z tłumem,
Bo dla nas reszty czas to bardzo trudny!
Masz asumpt Bracie: otóż z tego wątku,
Snuj, jak ci starczy, nitkę od początku.
Na grecką *Deltę* ochrzciłem szlachcica —
Jeśli się zgniewasz, odrób się po polsku,
Niech na *Ostoi* znów stanie przyłbica,
Palnięj z harapa czysto po podolsku,
Wszak to my w szkołach gdzieś tam byli razem
I sodalisy przed jednym obrazem —
Wszak i służyli w tój samėj potrzebie,
Jedne nadzieje na ziemi i w niebie.
Gdzieś mi łeb zpłatan w Twojėj obecności —
Jedne nadzieje i jedne miłości —
Bój że się Boga Panie Edwardzie!
Pokora w sercu, lecz przed światem hardzie —
Stójmy! dopóki Pan nas w łasce chowa
I nadto więcéj nie powiem i słowa!

G D Y B Y

Często staje serce na tém,
Jak z przeszłością się obliczy,
To i zrywa z całym światem,
I niczego już nie życzy
Ale znowu mówi sobie:
A cóż z tem — i z owem zrobię?
Wielki Boże! . . . gdyby gdyby . . .
Nie źle byłoby bez chyby

Nie źle mówisz? . . a cóż z tego? . . .
Nie ma jako orzec tego:
Toby mogło być i gorsze,
Lub do złego jeszcze skorsze —
Toby mogło znów być lepsze
Żwawsze, żywsze, czulsze, krzepsze —
I pocieszam tak się niby —
I znów mówię: Gdyby . . .

Gdyby . . . gdyby . . . zawsze, wszędzie,
Ależ kiedy go nie będzie?
Co nie będzie? — a dla czego?
Wszak jest w świecie wiara z tego?
I są cuda — Bóg i wiara!
Jest nagroda — jest i kara!
Wielki Boże! gdyby . . . gdyby . . .
Nie źle byłoby bez chyby! . . .

NA EGZEMPLARZU DROBNYCH POEZJI EDYCJI KRAKOWSKIEJ

PANU BRODOWICZOWI.

Panie! Świadectwo daj, bo stoim karni,
Bo się z żałobą wielką w sercu nosim,
Panie! świadectwo za żywot w męczarni,
I o świadectwo tylko Ciebie prosim!

W Krakowie na Wesołej
d. 14. Maja 1856. r.

Uczniowi Pana Szymona, Panu Stanisławowi Tarnowskiemu, miłemu mnie kawalerowi wpisuję na pamiątkę.

Z małych to cząstek życie się składa —
Z chwilek na pozór bez ceny;
Lecz komu cząstka marnie przepada,
Życie rozpływa się w treny.

Więc zbieraj Stasiu te drobne karty,
Któremi żywot Bóg pisze —
Na świat i niebo mniej wzrok otwarty,
Ukochaj pracę i ciszę!

Dobryś jest z rodu, więc dodaj Twoje
Do tój puścizny Naddziadów —
Znaj służbę ojców i wielkie stroje
Ducha i pilnuj ich śladów

Jeśli zeszyjesz karty żywota,
To księgą żywot się stanie —
I będzie miłość, pożytek, cnota
Bogu i ludziom na danie.

Zeszyj ją Stasiu! opraw ją szczelnie,
Podдай pod Zakon ją Boży!
A pójdiesz prosto po ziemi dzielnie,
I księga Bogu się złoży!

W Krakowie
d. 15. Lipca 1856. r.

NA EGZEMPLARZU DROBNYCH POEZJI EDYCJI KRAKOWSKIEJ,

PANU SZYMONOWI.

A cóżby o tém powiedzieć?
Jak nic żywota wysledzić?
Piosenki drobne,
Życie żałobne,
Myśli nadobne,
Myśli pogrobne!
Czyż Tobie jeszcze mam cedzić?
Ty je rozumiesz,
Ocenic umiesz —
Więc niechaj w sercu, w pamięci Twojej,
Co się ostało — ostoi!

W Krakowie
d. 25. Listopada 1856. r.

W I E R S Z

NAPISANY W MEDYCE W KSIĘDZE, NA TEN CEL
PRZEZNACZONÉJ.

Kto kwiatek rzuci na drogę ciernistą
Z tém sercem czystém i z tą chęcią czystą,
Aby bliźniemu drogę tę umilił
I Niebo Boże ku ziemi przychylił,
Temu kwiat rośnie, który nie zaginie,
Choć kwiaty zwiędną i wiosna upłynie.

DO PANA SZYMONA.

Dzisiaj Sobota, więc dzień Matki Boskiej,
Pocóż do serca puszczasz jakieś troski?
Dzień naszój Pani niech płynie wesoło,
Więc w górę serce — w górę Szymciu czoło!
Niech się kobyła, co miewa łeb wielki!
Trapi nie wasze — puść frasunek wszelki!
Co nam się smucić? mój Panie Szymonie!
Dopóki Boga wielkiego na Niebie
A pocziwego serca jeszcze w łonie,
Nikt nas skórąi pono nie zagrzebie —
Bo co najgorsze — dla nas już przebyte.
A chociaż przyszłe przed duszą zakryte,
Człowiek tam wierzy w przypowiednie stare
I w obietnice Pańskie i w tę wiarę,
Jaką tam stali ci, co poszli przodem,
A dzisiaj w niebie świadczą za narodem!
A święty Andrzej? — a toż nic nie znaczy,
Mieć o jednego Świętego tam więcej
Co jak Apostoł Pański świadczyć raczy?
Ot westchniej wasze w Niebo najgoręcej,
Z resztą niczemu nie dawaj i ucha,
Wszak Ci Wawrzusia wiodę lekko ducha,
To się pocieszem przecie we trzech trocha,
Bo dzień Maryi pono nie macocha.

W PAMIĘTNIKU

PANI WŁODZIMIRZOWEJ DZIEDUSZYCKIEJ.

Otóż to mi ludzka księga,
Świnią skórą obciągnięta
I okuta i zamknięta.
Znać, że człowiek nie mitręga —
Dobrze koło niej się bawił
I ten dobry, co ją sprawił,
Bo bywało tak od wieka,
Że po statku poznasz człeka,
A dom poznasz i po stołu
I po Pani i po wołu.

Księga nowa — więc na godło
Coś położyć tu by trzeba?
Wielkie hasła idą z Nieba!
Otóż życzę — *by się wiodło!*
A że idzie nowe lato —
A rok zeszły boli stratą —
Więc niech święta nasza ksieni
W radość smutki Wasze zmieni.
Nową księgę Polskiej Pani
Z nowem latem niesiem w dani —
Czegoż życzyć tu wypada?
Jaka będzie dla was rada?
Co puścizną z domu wzięte

To i dobre, to i święte,
Tego nie puść z księgi z domu,
Z myśli, z serca, z woli, z ducha,
I już niedaj się nikomu,
Wkraść w te progi Twego domu,
Co téj prawdy nie usłucha.
A po Bogu dom i praca,
Rola — rola — rola — rola,
Prosta wola — dobra wola,
Dom i żywot niech ozłaca!
To kolęda na rok nowy,
Który niech Wam będzie zdrowy.

d. 1. Stycznia 1857. r.

PRZYPOWIEŚCI PANA WEŁDYSZA.

Burka — to okrycie!
Lisy — to poszycie!
Dukat — to mi kwitek!
Miodek — to napitek!
Bigos — to potrawa!
Kulig — to zabawa!

Kiedy zbrojnie — to ze szablą,
Kiedy z miną — to już z djablą,
Kiedy strojnie — to we złocie,
Gdy pracować — to już w pocie,
Bankietować — to już szumnie,
Sejmikować to już tłumnie.

Kiedy spić się — to jak Bela,
Kiedy poić — przyjaciela,
Gdy pomagać — to sownie,
Kiedy bić — to należycie,
Kiedy pościć — to na sucho,
Kiedy palnąć — to już w ucho!

Gdy kto w biedzie — to zaradzić,
Gdy dać słowo — to nie zdradzić,

Sroić żarty — to niewinnie,
Przyjąć kogo — to gościnnie.

Kiedy gardzić — to podłością,
Kiedy mówić — to z szczerością.
Gdy kto oszust — to go łaj,
Gdy pocziwy — rękę daj!
Gdyś pokrzywdzon — to się mścij,
Gdyś obrażon — to się bij!
A gdy rąbniesz — to już w łeb,
Kiedyś stchórzył — toś już kiep.

Gdy się bratać — to z równymi,
Gdy mieć litość — nad biednymi,
Gdy się modlić — to już szczerze,
Kiedy wytrwać — to w swęj wierze,
Kiedy cierpieć — to wytrwale,
Kiedy kochać — to już stale.

Kiedy jeździć — to już sanna,
Kiedy szaleć — to za panną,
Kiedy ładna — romansować,
Gdy zalotna — to figlować,
Gdy uczciwa — to polubić,
Gdy wzajemna — to poślubić,
Gdy rozsądna — to ją cenić,
A gdy mądra — strzeż się żenić.

Kiedy wspierać — to rodaka,
Kiedy tańczyć — krakowiaka,
Sąsiadować — to spokojnie,
Gdy obdarzać — to już hojnie,
Gdy docierać — to z obcesem,
Kiedy niszczyć — to z kretesem!

Gdy wyśmiewać — to już mody,
Gdy miłować — to swobody,
Kiedy hulać — to z drugimi,
Kiedy umrzeć — to w swęj ziemi,
Kiedy order — to za bliznę,
Kiedy zginąć — za Ojczyznę!

DALSZE PRZYPOWIEŚCI
PANA WEŁDYSZA.

W pojedynku,
Wstyd to synku!
Ranić rękę.
Zresztą wszędzie,
Wolno będzie,
W łeb i w szczękę!
W łeb bo — twardy
W kark — bo hardy,
W pysk — bo śmieszny,
W brzuch — bo grzeszny.

„Wieczność — to wąż,
Mędrzec — to mąż.“

Głucho na świecie i szaro i buro,
Niby w więzieniu cicho i ponuro!
Dnie bez rachuby i czasy bez wieści,
Lata bez czynów a żywot bez treści;
Zda się, jakoby Bóg zamknął swe łono
I łaski swojej odwieczną skarbnicę,
I nie chciał patrzeć na ziemię skażoną,
I od ludzkości odwrócił swe lice.

To też duch ludzki garnie się do głębi,
I pokutuje za światowe grzechy;
Ciska się w ciemną przepaść bez pociechy,
I jak zatruty sam w sobie się kłębi;
Tamto wśród srogich męczarni zwątpienia,
Prawdziwy żywot czyści i pokuty,
Zanim swe więzy skruszy duch okuty,
I własnej treści dobędzie promienia. —

O ileż cichéj czci dla prawdy trzeba,
Rzewnéj miłości, wielkiego kochania,
Spoczynku w Bogu, w duchu pojednania,
Aby dla ziemi odkradać ją z nieba! —
Lecz kto ją z własnéj duszy rozpromieni,
Temu się ludzkość po raz drugi śmieje,
Temu się ziemia jak z młodu zieleni,
Ten i za grób swój przeniesie nadzieje.

A kto ją rozda szczerze między ludzi,
Ten w piersiach ludzkich Boga znowu budzi;
To niby anioł, pocieszyciel z nieba,
Jakby im dawał broń, wiarę czy chleba . . .
Tak się do niego całą duszą garną,
Jak do Chrystusa, gdy rzeszę nie marną,
Zwąt pioną głodem w puszczy uweselił,
I ryb siedmiorgiem i chleba obdzielił. —

I nie daremnie ta rzesza tak bieży,
I nie daremnie w słowa prawdy wierzy,
Bo jéj trza prawdy, jak ognia i wody.
Choć lampa mędrca słabe światło nieci,
Jednak ta lampa szerzéj jeszcze świeci,
Jak ta pochodnia, co zapala grody!
Bo jak gród zgaśnie, to i ciemno w kole,
A mędrzec świeci — i sam Bóg nie stworzył
Piękniejszéj gwiazdy nad tę, co położył
Wszechmocną ręką mędrcowi na czole!

Prawda, jak woda potrzebna i wspólna,
Jak Bóg konieczna, jako świat ogólna.
Człek, gdy ją czuje, taki śmiały, dzielny,

W śmiertelnej szacie zda się nieśmiertelny!
W piersiach mu wolno, otwarto mu w głowie,
W sercu mu lekko i szczerzo mu w mowie.
Taki jest mądry, silny i ognisty,
Potężny jak archanioł, jako słońce czysty!

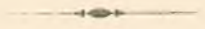
Zdrów bądź Trentowski! Bóg jeszcze z narodem,
Kiedy duch jego wśród nas pędzi przodem;
Gdy z łona czasu tak górą myśl bije,
Gdy się krew taka jeszcze w sercach kryje,
Z boleści ludu wyszał te mądrości,
I Bóg w twym sercu jak w świątyni gości;
A gdy twą myślą świat ujmujesz w ramy,
To jak proroka w pustyni lud Boży!
Tak my Trentowski! słów Twoich słuchamy,
I wierne serce przed prawdą się korzy. —

I starzec mówi: „o te słowa moje!
Owoc doświadczeń moich z dawnych czasów;“
A mąż w nich widzi żywej prawdy źródło,
I grę swych własnych z żywotem zapasów.
Młodzieniec gore, a niewiasta płonie,
Jak gdyby miała wynosić w swym łonie
Prawd tych mściciela. Drżą nawet łotrowie,
Jak na wspomnienie o tych sądach ludu!
Po całej duszy przychodzi ich mrowie.
Bo w słowach prawdy jest potęga cudu.

A prawda Twoja jak modlitwa rzewna,
Jak Polska ziemia, taka nam pokrewna;
To nie szermierstwa, nie wywody głupie,
Nie mądre głupstwa, nie rozumy trupie

Tę prawdę czuję w głowie, w sercu, w ręku,
W sednoś uderzył i tniesz wręcz do sęku!
Rozum to wielki, bo podpira plecy!
Prosty i rządny jako statek kmiccy!

Szczęść Boże kmicciu! boć w ciężkiej potrzebie
Przybywasz do nas z skarbami Twojemi;
Kopernik wskazał nam drogę po niebie,
Ty narodowi kreślisz ją po ziemi! —
Jak łabędź skrzydły uderza szeroko,
Jak orzeł w niebo ulata pod chmury;
Tak uderz myślą i w szerz i wysoko,
I duchem Bożym wynieś się do góry,
I z tamtąd zwiastuj nam prawdę przedziwną,
A jak ów gołąb — znieś różczkę oliwną!....



PIEŚŃ

O ZIEMI NASZÉJ.

„Paśdź może i Naród Wielki,
zniszczéć nie może tylko nik-
czemny.“

STANISŁAW STASZYC.

W S T Ę P.

NA JESIENI.

Coraz ciszej — Wrzesień! Wrzesień!
Słońce rzuca blask z ukosa,
I dzień krótszy, chłodna rosa —
Ha i jesień, — polska jesień!

O! jesieni złota nasza!
Tyś jak darów Boża czasa,
Dziwnie mądra, pełna cześci
I kojącej pełna treści

W pożegnanie grają lasy
Barw tysiącem, pełnych krasy;
Wiosną łąki tu się tęczą,
Starodrzewne lasy wieńczą
Miedzią, złotem i rubinem,

I szmaragdem i bursztynem.
Na jesieni świat się mieni,
I w dobrane gra kolory,
Pajęczyny srebrem dziany,
Jak kobierzec różnowzory,
Na dzień wielki rozesłany.

Mgła poranna, co nie rada
Wdzięk osłonić na raz oku,
To się wznosi, — to opada;
I uroczy świat w tym mroku,
Co się dzieli na obrazy,
W plątaninie tęcz i gazy.
Jak czarowna niby wstęga,
Co tę ziemię z niebem sprzęga,
Z srebrnej gazy, z tęczy wątku,
I bez końca, bez początku
Płynie, sunie i przegania,
I otula i odsłania
Wdzięki ledwo sercu znane,
A tak pięknie zasromane!

Aż gdy cicho złote słońce
Z dobrą wieścią wyszle gońce,
Mgła uchodzi wielkim zwojem,
I po czarach łązy się żalą.
Za wzgórkami gdzieś niebios
Jarzabata płyną falą;
W blasku słońca perli rosa,
A świat strojny wielkim strojem,
Jak matrona się uśmiecha,
I w milczeniu znów oddycha
I powagą i pokojem.

Złote słońce i ścierń złota —
Nigdzie głosu — nikt nie śpiewa:
A po duszy się rozlewa
Jakiś smętek czy tęsknota.

Odleciały już bociany,
Polskiej strzechy gospodarze;
Już i żuraw' rzuca strażę,
W klucz powietrzny zawiązany.
I już tylko od jeziora
Słyszać jeszcze wrzask kaczora
Lub szum długi, gdy gromada
Już wędrownych gęsi spada.

Jesień Polska, to matrona!
Przysporzyła i oddaje:
A co wyszło z serca, z łona,
Ukojone — całe staje.
A ta srebrna pół tkanina,
Ta jesienna pajęczyna,
Owo rąbek wielkiej pani,
Który ziemia niesie w dani.

Cicho, chłodno — jakoś smętno,
Czule, rzewnie i pamiętno:
Bo wianuszki dawno zwite,
Wielkie prace odprawione,
Wielkie burze już przebyte,
Wielkie bole ukojone.
A więc słońce złotem ciska;
A złociste łąnów ściernie
Srebrną gazą się połyska
I przyświadcza temu wiernie,

W wielkiej ciszy, w wielkiej wierze,
Niebo, — ziemia, — człek i zwierzę.

Dziwnie mądra pora roku,
Zdrowa duszy, czuła oku.
Gdy liść zwiędły się przegania,
Ziemia zda się w ów czas marzy
Wielkie prace, wielkie stróże,
Wielkie dzieje, wielkie burze;
I żywotem swoim waży
Wielkie myśli zmartwychwstania.

Panie! Panie! coś w szczodrocie
Na świat rzucił łaski siemię,
I coś rozdał darów krocie,
I obmyślał naszą ziemię
Na jesieni tym pokojem,
I tak wielkiem ukojeniem,
Czemu, Panie! za przejrzeniem,
Za przejrzeniem Panie Twojém,
Nie raczyłeś nam z kolei,
Tak opatrzyć na jesieni
Tych jesiennych naszych dziei?

Jest we Włoszech piękna wiosna,
Włoskich wieszczów ukochanie —
I czarowna i miłosna,
Że słów ledwo dla niej stanie.

I jest starych bogów lato
Gdzieś tam greckie, — co bogato

I rozkosznie duszę poi.
Lecz jest także w ziemi twojej
Starych bogów upominek, —
Miasto mirtu jest barwinek,
Miasto lauru dąb w jesieni.
Jesień, jako święta ksieni,
W ziemi Piastów gospodarzy,
I jak pani miłościwa,
Tak łaskawą, szczodłą bywa,
Że już tylko wszystkich darzy.

Coraz ciszej — to nie Wrzesień,
Lecz Listopad! — głucha jesień.
Héj Listopad! — w Listopadzie
Już nie rada, — bo po radzie.
Nic nie chwali łaski Boże,
Świat jak brudne stoi morze,
I bez wdzięku, bez uroku
Zda się, czeka czegoś w mroku.

Wielka była w ziemi rada...
Co nie poszło już za morze,
To się zbija w wielkie stada,
W polach gęsty ogień gore;
A wszystkiemu na przekorę,
Co tam kwitło a nie kwitnie,
I co zżółkło, leci — sitnie —
Sam pług tylko jeszcze orze,
W miłosierdzie ufny Boże!

Z kim więc pójdziem?

Czy w cieplice

Lekkiem skrzydłem za ptakami?
 Czy pod strzechę ze stadami?
 Ha! my starzy tu dziedzice,
 Więc po wiośnie nie zapłaczem:
 Idźmy z Bogiem i z oraczem
 Wielkim szlakiem — w wielkie bramy.
 Wszystkie cnoty, jakie mamy,
 Za zasługi świętych dane,
 Wszystkie pługiem wyorane.

Pług stateczny i pług darzny —
 A kto orze, ten poważny!
 I broń stara i kość z kości,
 Chwała świętych i rogoża,
 I ta służba gościnności,
 Miłość ludzka — bojaźń Boża,
 Czułość serca i sumienia,
 I co tylko nam z przejrzenia
 Opatrzności było dane,
 Wszystko pługiem wyorane.
 I kmieć Boży z Bożym sługą,
 Z Bożym sługą, z Bożym mężem,
 Orał grunt ten wiernie, długo,
 Pługiem słowem i orężem
 Więc i wszystko świadczy temu,
 Jak bywało po staremu,
 Świadczy nawet w Listopadzie,
 Choć nie rada — bo po radzie

Wszakże w końcu na jesieni
 Tylko sosna się zieleńi,
 Jak ją w puszcę Bóg rozdzielił;

I świerk tylko, co gdzieś śmieie
W niebo wyrósł przy kościele,
Lub przy chórze śmiało strzelił; —
I barwinek gdzieś ukryty,
Wiecznie świeży i nadobny,
Co tam czeka, by był zwiły
W wieniec ślubny — czy żałobny; —
I jałowiec, smutny wdowiec,
Co nim kadzą umarłemu,
I jemioła z krzywd wesoła,
Tylko żywa po staremu

Jest na wschodzie kwiatów mowa:
Gdyby nasze drzewa, krzewy
Ktoś zapytał o ich słowa,
O zagadki i posiewy:
Jakim cudem świat ich ożył?
Co pan w łasce na nie złożył?
I co w żywot z nich się sieje?
Wówczas ziemi dzieje całe
Nam by były zrozumiałe,
I jesienne nasze dzieje!

„Nie wymyślaj tylko stary!
Wszak chleb z pracy — wiara z wiary; —
A więc gadu stary dziadu,
Pleć pleciugo, byle długo,
Bajże baję po zwyczaję

O tym naszym polskim kraju.
Tyle szczęścia, co człek prześni,
Tyle życia, co jest w pieśni.“

...Wielkim szlakiem, starym śladem,
Sercem, duszą szedłem długo,
I płynęły pieśni strugą,
Lecz rok każdy Listopadem.

Gdzież te wdzięki, te uroki,
Kwitnącego wiosną sadu?
Czy go poznasz, kiedy mroki
Nań się spuszczą Listopadu?

Czy poznany ptak po głosie,
Co tam czysto szedł po rosie?
I czy jeszcze serca stanie,
Co odpowie na wołanie?

Hop hop! Hop hop! głucho w lesie —
Głuszej jeszcze w sercu, w świecie.
Wiatr pozółkłe liście niesie,
I Listopad śniegiem miecie.

Listopadzie! Listopadzie!
Bardzo duszy nie do składu,
Co tu radzić? gdy po radzie
W dniach przepaści Listopadu!

„Nie wymyślaj tylko stary,
Bo powtarzam: wiara z wiary!
I pług kordem, kord lemieszem,
Orzem, siejem, modłem, grzeszem;
I na przemian coraz dalej,
Na dziejowém płynie fali!

„Gadu gadu, stary dziadu,
[Pleć pleciugo, byle długo] *)
Bajże baję po zwyczaję
O tym naszym Polskim kraju!
Tyle szczęścia, co człek prześni,
Tyle życia, co jest w pieśni!“

Wielka prawda! — gdy pieśń płynie,
Serce niby znowu żyje,
I jak mówią w Ukrainie:
Durny dumko bohatije
Więc choć w głowie się coś męci,
Radbym duszę mą ocucił,
Ach! i z serca czy z pamięci
Coś wysnował i zanucił.
Jakoś rzewnie, czy miłośnie,
I wesoło, czy żałośnie;
Coś o bracie, czy o bitwie,
O Koronie, czy o Litwie

*) Wiersze i strofy w nawiasach są to warianty wydania poznańskiego.

„W to mi grajcie, panie bracie!
W to mi grajcie, miły swacie!
Z starą nutą żyje wiara,
A na wierze miłość stara.“

Długom błąkał się bez celu,
I milczałem, troską blady,
Jak grobowy głaz Wawelu,
Bo nie było z wami rady.

W waśni bracia się rozdarła —
I jak wróg mi życie zbrzydło;
Jak w więzieniu pieśń zamarła
I sokole zwiśło skrzydło

Dziś — gdy znowu słyszeć chcecie
Pieśń za młodu wyśpiewaną:
To i u mnie w duszy rano,
Choć Listopad szronem miecie.
[Dziś, gdy jest znów spiewać komu,
Gdy was znowu widzę w zgodzie,
W Wielko-Polskim starym domu,
Znów wam brząknę: „*Żyj Narodzie!*“]

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów,
I Żmudź Świętą i Rusinów?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Pola bitew — ojców groby —
I pomniki starzej doby?
[Twe kurhany i mogiły
I twe dzieje, co się ścmiły.]

A czy wiesz ty, co tam stoi
Po téj ziemi popisano?
Co miłości twe ukoi?
Co puścizną tobie dano?
[A czy wiesz ty, co w nich leży?
O nie zawsze, o nie wszędzie
Młody orle tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy.]

Trzeba będzie się nałamać
Z sobą, z ludźmi, z życiem, z losem,—
I nie wolno Bogu kłamać,
I pod lada upaść ciosem.
[Trzeba będzie ważyć, służyć
Milczeń, cierpieć i wojować!
I nie jedno miłe zburzyć,
A inaczej odbudować]

. . . . Poznaj, pókiś jeszcze młody,
Co kochane było wprzody,
Nim twe serce krwią dziedziczną
Kochać mogło ziemię śliczną.

Poznaj ziemskie i podniebne,
Bo te skarby ci potrzebne;
Poznaj wiernych serc puściznę,
Dobrej sławy ojcowiznę.

Bo to ona cię najczulój
I ukocha i upieści,
I uświęci i umieści,
I do serca przymatuli!

[Kto tam zgadnie, gdzie osiedzisz,
Jaką wodą w świat popłyniesz,
W której stronie walczyć będziesz,
I od czyjej broni zginiesz?]

Otóż wyleć z twego gniazda,
[Wyleć ptakiem z tego gniazda]
Miłać będzie taka jazda:
Spojrzyć z góry na tve ziemie.
I rodzinne twoje plemie
[I rodzime twoje plemie.]

PIEŚŃ

O ZIEMI NASZÉJ.

Tam na północ! hen daleko!
Szumią puszcze po nad rzeką,
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszyty i piaszczysty;
Puszcze czarne, zboże marne,
Niebo bledsze, trawy rzedsze,
Rojły grząskie, groble wązkie,
Ryby, grzyby i wędliny;
Lny dorodne, huk zwierzyny
I kęs chleba w czoła pocie. —
A na pański stół łakocie:
Lipce stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy.
Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Giedymina!

Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera.
Wół za rogi orze zgliszcze,
W ostrym zwirze socha świszcze,
A za drogą, gdzieś w postronne,
Ciągną wózki jednokonne.
Koń obłoczny w wózkach małych,
Lud w chodakach z łyka szytych,
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami płasko krytych.

Gdy na lud ten człek spoziera,
To aż serce żal opłynie,
I zapytać chęć go zbiera:
Co ci to Litwinie?
Ale Litwin nie wygada!
Bo w tój duszy hart nielada!
Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity.
Kiedy szczery, jak воск topnie;
Ale gdy go kto zahaczy:
To i w grobie nie przebaczy,
I na końcu swego dopnie!

Choć kraj jego nie bogaty,
Radzi sobie, bo oszczędny;
Nie marnuje grosz na szaty,
Bo rozsądny i oględny.
Nie zwykł on się kochać w krasie,
Ale myśli o zapasie, —
I dobytek w dom prowadzi,
I „o jutrze“ wiecznie radzi.

To też znajdziesz w każdej porze
W bród wszystkiego, jak w komorze:
Czy w krajance, czy w gomółce
Jest w serniku ser na półce.
Wiszą kumpie i wędliny,
I półgęski i świniny;
Obok w długich żerdziach ryby;
Z siatki pachną leśne grzyby,
A kwas czysty miasto wody,
W lochu stoją białe miody,
Wódki, starki i nalewki,
I rok cały lód przeleży.
A już w świrnie wiszą wianki
I rozliczne przydziewki:
Płótna cienkie, jasne tkanki
I przybory do odzieży.
W kubli stoi ów miód święty,
A do koła włók rozpięty

Nucąc pieśni o Birucie,
O Perkunie i Kiejstucie,
Przy łuczywie, u komina
Przędzie miękki len drużyna;
A w pobliżu dziatwy zdrowej
Toczy kołem wąż domowy.
Krosna stoją w małym oknie,
I czółenko pływa w włóknie;
Pieśni płyną jak uroda,
A wiek schodzi niby woda

Niby w ciężkim zadumaniu
O przeszłości, czy kochaniu,

Stoją niemo - czarne puszcze;
 I rozlały się jeziora
 A po toniach ryba pluszcze,
 A na niebie stoi góra.
 Puszcze płoną gdzieś zdaleka,
 I w zaścianku pies gdzieś szczeka;
 A za głosem z tokowiska,
 Czesze gęstwianę leśnik śmiały
 Przez jelniki i zawały
 Do rodziny i ogniska.

Stał, — słucha, — tam dzik ryje,
 Uroczykiem łoś pomyka —
 Padło wietrząc, wilk gdzieś wyje,
 A puszciami żubr poryka

„Da! niech ryje, niechaj wyje,
 Niech pomyka, niech poryka!
 Na strzał padnie mi przed psami,
 Com dziś jeszcze nie zastrzelił,
 Byle tylko się barciami
 Niedźwiedź ze mną nie podzielił“

Jak lud żyje po Bożemu,
 Tak i szlachta z sobą wzajem
 Dawnym żyje obyczajem
 Na zaściankach po staremu;
 Czas jej duszy nie wykrzywił,
 Nikt cię państwem nie oparzy,
 A gdy w Litwie Pan się zdarzy,
 To pan sobie jak Radziwiłł!

Bracia szlachta powietnicy,
Leśnych włości współdziedzicy
W niebielonych siedzą dworach;
Tamto kolój do sąsiada,
I z wielebnym ojcem rada
O sejmikach, o wyborach,
Jaka komu padnie gałka,
Kogo wynieść na marszałka?

W ówczas z cicha to wybije,
Co się w głębi serca kryje;
A gdy w puszczy pociemnieje
I miód stary pierś rozgrzeje:
To przybędzie i czułości,
Wówczas żywiej i myśl płonie,
A więc radzą o koronie,
O statucie i przyszłości...
Lub pociesznie drwią z Pińczuka,
I z Żmudzina, jak z nieuka.

Lud tam jeszcze nie zmieszany,
Wszystko jeszcze jest gniazdowe,
Jak te drogi powiatowe—
Każdy swój i każdy znany.

Więc też każdy wie, co niesie,
A choć drugim nie pomiecie,
Hardy strzelec w swoim lesie,
A brat szlachcic w swym powiecie.
I choć poznać nie da skoro,
Że o sobie wiele sądzi,

Choć w cichości i z pokorą,
Ufa twardo, że nie zbłądzi,
Bo dokoła się ogląda,
I wie dobrze, czego żąda;
A ztąd bywa hart w narodzie: --
„*Litwin mądry nie po szkodzie.*“
I w tém głównie, głównie pono
Góra Litwy nad Koroną
Lud nie darmo to myśliwy,
I skąpany w jezior łonie!
Bo głęboki jak wód tonie,
A jak łono puszczy, stróżliwy!
W puszczy go też widzieć warto
Z strzelbą w ręku lub na łodzi;
Jak mu lekko i otwarto,
Jak strzał trafia, wiosło chodzi,
Jak zna dobrze wagę zwierza,
Wszystkie knieje i ostępy,
Kędy jaka rzeka zmierza,
Gdzie mielizny, rapy, kępy!
To też wodą, czy na ledzie,
Całą Litwą cię przewiedzie.

Póki taje, jechać zdradno, --
Lecz gdy w puszczech przyschną brody,
Gdy rzekami kry opadną,
I powtórne niskie wody:
Łądem, wodą — jadą, płyną,
Telegami i wiciną,
Do Mitawy, do Lipawy,
A Wiliją, Niemnem, Dźwiną,
I do Tylży i do Rygi
Z kupią swoją na wyścigi.

Ztamtąd niemce i najemce
Za dalekie pławią morza:
Maszty, klepki, runo owiec,
I nie jedną beczkę zboża,
I nie jeden lnu bierkowiec;
Litewskimi sycąc płody
Zamorskiego ludu głody

Jak za morzem Litwa spławna,
Z puszczy odwiecznych w świecie sławna;
Tak o miedzę ziemia chlebna
Głodnym ludom jest potrzebna.
Żmudź to Święta! Ziemia Boża!
Na pół leśne jęj obszary,
A na poły strojne w zboża,
Wolny oddech ma do morza,
I wszystkiego ma do pary. —
Bo lud wierny w ziemi żyzněj,
I nie skąpo těj ojczyzny!

Od tych prądów świętėj rzeki
Aż po morza brzeg daleki
I Łotyszów płonne ziemie,
Siadło twarde Żmudzkie plemie.

Tam nie błyszczą pyszne gmachy,
Ale za to duże chaty,
I wysokie, dobre dachy,
Lud dorodny i bogaty.
Po nad drogą krzyżów pełno,
I kapliczek tuż przy domu:

Lud odziany szarą wełną,
Pełen serca, pełen sromu,
I zażywny i nie marny,
Pracowity, gospodarny,
I poważny i nabożny;
Jednej krwi z tym swoim panem,
Jednej wiary z tym kapłanem.

Pan nie bywa tam wielmożny,
Nie rozrzutny ani butny:
A ksiądz biskup Boga sławi,
Do dobrego wie dzie ludzi,
I jak ojciec błogosławi
Na odpuście „*Świętej Żmudzi!*“

Lud tam żyje po zakonie,
A więc zda się zimny z razu;
Lecz gdy serce zawre w łonie,
Nie usłyszysz z ust wyrazu;
Lecz łza tryśnie na w pół rzewna,
Na w pół krwawa, na w pół gniewna,
Piersi jękną z tajnej głębi,
Zamiar wpadnie niby w studnię,
Lecz czas krwi tej nie wyziębi,
Dusza jego nie wychłódnie,
I wypłynie na jaw w czynie!

Gdy chcesz wiedzieć, co tam chowa
Wielka przeszłość w staréj szacie,
Jedź na stare grody bracie,
Gdzie z kamieni mówią słowa.
[Gdy chcesz wiedzieć, co to chowa
Nasza przeszłość w swoim łonie,
Jako stara sława płonie:
To jedź bracie do *Krakowa*.]

Jeśli poznać chcesz zabawy,
Miejskie ludzie, miejskie sprawy,
Serce niewiast, świat ochoczy,
Gładkie słówka, piękne oczy,
I co ziębi i co parzy:
To stolica tём szafarzy.
[Jeśli poznać chcesz zabawy,
Serce niewiast świat ochoczy,
Gładkie słówka, piękne oczy:
To jedź bracie do *Warszawy*.]

[Jeśli myśl ci przyjdzie mylna
Zwątpić w przyszłość i w swobodę,

W ówczas bracie jedź do *Wilna*
Poznać z hartem dusze młode.]

[Gdy widoku szukasz złota,
Patrz! gdzie nędza obok błota;
Gdzie człek żyje wśród spodlenia,
Znajdziesz ducha poświęcenia.]

Jeśli zwątpisz w siebie, w ludzi,
Patrz na cichą pracę w roli,
A znów duszę twą obudzi
Serce pełne dobrej woli,
Co każdemu niby bratem,
Co nas jedna z Bogiem, z światem.

Gdzie upadku, nędzy wiele,
Gdzieś tam blisko znajdziesz złoto;
Gdzie się godność człeka ściele,
Tam się spotkasz ze sromotą.

Gdzie źle tylko wielu czyni,
Tam winnego każdy szuka,
A choć do drzwi Chrystus puka,
Świat cię tylko tam obwini.

Do *rozumu* nie ma klucza,
Ale wszędzie jest w odwodzie,
Kędy bięda już dokucza,
Gdzie pracuje człek o *głodzie*.

Lecz gdyś w świecie trochę pożył,
I zatęsknisz już do ludzi,
Czystych, jako Bóg ich stworzył,
To się przypatrz im na Żmudzi.

A gdy Żmudź ci przyjdzie rzucić,
Nazad Litwą znowu wrócić,
To przed Pińską opatrz drogą
Wóz twój dobrze w potrzeb wszelką;
Bo w pustynię wjedziesz wielką,
W ziemię dżdżystą i ubogą.
Droga pójdzie ci przez błota,
Po nich długi pomost spłynie,
W oczeretach oko zginie,
A kraj nudny — niby słońca!

Ani ruchu, ani ducha,
Woda stoi, wiatr nie wieje,
Lud po puszczech mało sieje,
Jedno lasem się zabawia:
Dziegedź pali, drzewo spławia,
Drze dranice, gnie obody,
I nałożon jest do wody,
Jak tych bobrów leśne plemie,
Co z nim na spół trzyma ziemie.

Mnóstwo jezior, rzek nie mało
Po kotlinach się rozlało;
Miasto trawy — rokitiny,
Miasto bydła — huk zwierzyny.

Lud téż strzelcem, póki lody;
Lecz gdy z wiosną ruszą wody,
A po puszczech wzbiorą kały:
To pod wodą jest kraj cały,
A bezpieczen lud na łodzi
Pływa wszystek wśród powodzi.

Gdy wyniesiesz z Pińskiej drogi
Z ludźmi twymi całe ziobra,
A z furmanką całe nogi;
Podróż była bardzo dobra!
Lecz pamiętaj gałęź choją,
Po za bryką zatknąć swoją.
Gdy się będziesz na Ruś wdzierać,
Pamiętaj się nie obzierać,
By ci czego bies nie wlepił,
I za bryką nie uczepił!
A gdy wjedziesz w Ruś pasznicą,
Równą, suchą, nie lesistą,
W lada którym ruskiem siole
Krasawice stojąc w kole,
„Z puszczy jada!” wołać będą —
I z hałasem wóz obsiędą,
I rozerwą gałęź choją,
I do cerkwi się przystroją.

Gdy przypomnisz wówczas sobie
Owe puszcze, patrząc krajem,
Mrowie pójdzie aż po tobie,
A Ruś ci się wyda rajem!

Kędy wóz twój, bracie, wbiegnie
Na szerokie, czarne drogi,
Tam przed tobą *Wołyń* legnie,
I zapomnisz kraj ubogi.

W lewo spłyną czarne role,
Ukrainy bujne leże:
Na wprost, aż po Dniestr, *Podole*,
A wzdłuż Dniestru, *Pobereże*.

Tam już dostać wody zdrowej,
Tam krynice i dąbrowy,
I brzozowe, czyste gaje,
I pług czarną ziemię kraje.

Zwolna wznoszą się kopanie,
Rzeki śmielsze nurty wiodą,
I tam kędy łąn nadstanie,
Ciągną stawy srebrną wodą.
Czajki wrzeszczą nad błotami,
Bocian stoi nad żabieńcem,
A rybitwy krążą wieńcem
Ponad groblą i wodami.....

Jeśliś bracie jest myśliwy,
Na *Wołyńskie* zajedź stawy:
Boś nie słyisał takięj wrzawy
Dzikich ptaków, jakoś żywy.
Podsunąć czółnem pod szuwały,
Bo pocieszne ptasze rady:

Tamto sejmy, tamto gwary,
I zaloty i biesiady!
Słyszając krzyki i gwar dziki,
Patrząc na te ptasze zwady,
Tak się dziwnie w myśli plecie,
Tak się tonie w ptaszéj wrzawie,
Iż przepomni człek o świecie...
Wstyd to mówić, lecz żal prawie,
Że człek ptakiem sam nie żyje,
Takie szczęsne to bestyje!

Pełny oddech ma tam życie,
I wszystkiego w bród obficie:
Ryb i zboża i świniny,
Bydła, koni i zwierzyny,
I konopi, pszczoł i miodu,
I nie mało téż narodu!

Tam ku góróm Miodoborskim,
Coraz wyżéj kraj się wznosi,
Milę jedziesz łanem dworskim,
Ziemia z datkiem aż się prosi!
Lecz człek pracy nie podoła,
Bo choć duże, długie sioła,
Więćéj ziemi, więćéj trudu,
Niż jest szczęścia, niż jest ludu...
[Smutna bywa ludu doła,
Bo pan twardy i niewola;
Nie pocieszyć się tém dobrem,
Kędy praca lezie ziobrem.]
Otóż kiedy łan obsiewa,
Smutne dumy lud tam śpiewa...

I ta rzewność ziemi cechą, —
Płynie siołem, płynie strzechą,
I mogiły stare mija,
I ruczajem się przewija.
Patrz! przy cerkwi wzrósł stateczny
W służbie Bożej dąb odwieczny.
[I wśród wioski niegrodzonej
W wiecznej żyje on tęsknicy....
Ruskie kawki i gawrony,
Gwarzą tłumnie na dzwonnicy;
Przy niej stoi dąb odwieczny
Jak wśród ludu kniaź bezpieczny.]

Cerkiew z trzema kopułami,
W niej odprawa — a pokłony,
Przed carskimi stojąc drzwiami,
Bije lud na twardo chrzczony!

Na nim kozuch lśni barani,
Albo świta, doma biała,
Krzemień suty i bót kuty,
A bekiesza z sukna na niej,
A na dziewce wieniec z ruty.
I na ówczas wzdłuż krainy
Drzemią łęgi i caryny
Lecz w dzień budny w polu głośno,
I hukanie grzmi donośno,
A gdy cichnie nad wieczorem,
Ścielą mgły się po nad borem;
Z pasowiska wraca stado,
Żuraw skrzypi u krynicy,
A koniuchy na noc jadą;

A ostatni blask wieczoru
Złoci białe szczyty dworu,
I potrójny krzyż cerkwicy.

Wówczas starzy się gromadzą,
I o swoim statku radzą: —
Przy kieliszku w karczmie kумы,
Na potulne wieczornice
Ciągną z śmiechem krasawice,
Stare, ruskie piejąc dumy.
I matula świeci doma,
Choć już północ kur ogłosi;
A donieczka choć się sroma,
Choć się sroma, chłopców prosi,
Aby nie iść do dom samėj,
Bo się różnie ludziom zdarza
Na przełazie, u smętarza,
I u dworskiėj, pańskiėj bramy.

Różnie sobie dziewczę wróży,
Za co jėj to chłopak służy?
A za służbę tak użytą
Płaci całus słodkie myto!
Gdyby matuś nie łajali,
Toby pewno się żegnali
Bez ostanku, aż do ranku,
Bo to nigdy już niesyta
Młoda dusza tego myta...

Tyle też to, tylko tyle,
Co miłośne dadzą chwile!

Bo o świecie inne życie,
 I przy pracy inne śpiewki.
 [Tyle też to szczęścia, tyle,
 Co te nocne dadzą chwile!
 Bo o świecie krwawe życie!
 Nie ma kумы, nie ma swata,
 Nie usłyszy nikt już śpiewki.]

Gdy ataman zakołata:
 „Hęj do dwora!“ — Nieprzelewki! —
 Bo tam kiedy dwór — to wielki?
 Kiedy posłuch — to już wszelki!
 Kiedy liczą — to miljony!
 [Kiedy jedzą — to łakotki!
 Kiedy biją — to na sotki]
 Kiedy pan — to urodzony
 Pewno z księcia, albo z króla!
 W domu jego dworno, szumno,
 Czy to radzi, czy to hula,
 Zawsze gwarno, zawsze tłumno
 [A tak straszna jego wola,
 Że nieposłuch — chłopu trumną.]

Tysiąc pługów na obszarze
 Orze zagon, gdy pan każe;
 I po dawnym tam zwyczajū
 Brzęczy złoto przy tokaju;
 Koń arabski rzy przy żłobie,
 Jakby stepy wspomniął sobie.
 [Koń arabski rzy przy żłobie,
 Służba panu szczeróść kłamie,
 A o głodzie, i po dobie,
 Drzy przy koniu kozak w bramie.]

Gdy przybędziesz tam nieznany,
Pan cię dumnym okiem zbada:
Sam zamorską mową gada,
A z błazeńska dwór ubrany.
Na to tylko w dom cię prosi,
By cię dumą upokorzył,
Bo łaskawie ledwo znosi,
Że i ciebie Pan Bóg stworzył

Choć cię w świecie brano w kleszcze,
Choć wyszedłeś już z językiem,
Jak to mówią ze szkół jeszcze,
A z żołnierki szczwanym ćwikiem,
Nie znasz z czego począć mowę,
Kiedy w taki dom przybędziesz
Choć do kogo się przysiedzisz,
Takie wszystko czcze, jałowe,
Nieużyte, zimne, twarde,
Takie nudne, takie harde,
Jakby nigdy nie słyszeli
Polskiej mowy, brzęku stróny
Nigdy serca nie ujęli,
A w tym sercu krwi czerwonej!

Nie po cnocie, lecz po złocie
Poznasz, że to wnuk hetmański,
Albo tylko po klejnocie,
Co ozdabia dworzec Pański.
Już z przeszłości — ani cienia,
Ni zwyczaju, ani zbroi!
Państwo tam za wszystko stoi,
Nic polskiego — krom imienia

Nimby z nami los dzielili,
Nimby jeszcze warci byli
Promnickiego kawał chleba,
I braterstwa i zagrody: [swobody:]
Ochrzcić by ich jeszcze wprzód
W Wiśle albo w Gople trzeba.

Prędzěj w duszy tam niewieściěj
Rzewna, prawa myśl zagości,
Bożěj chwały, ludzkiej cześci,
I miłości i boleści.
[I dzisiejszych tych boleści,
I bezprawia i przyszłości:
Lecz po panu „*Kyczywole*“
Jak ów mówił: „milczćć wole!“

Jednak — jeśli chcesz z pociechą
Kraj opuścić, to patrz bracie,
Kędy dom pod niską [niższą] strzechą —
Tam przyjęcie czeka na cię,
Tam młódź rzeźka i świat inny,
Umysł prawy i niewinny,
Tam się jeszcze tylko chowa
Serce polskie i myśl zdrowa —
A zacisznie i w kąćku
I w pomiernym tym staniku

Gdy Wołyńskie łąny rzucisz
I na wschód tve konie zwrócisz,
Bez oporu oko zginie
W pogranicznej Ukrainie.
Tam to konie, tam to charty,
Step rozległy, świat otwarty!

Wóz twój wbiegnie na rozdroża,
Wiatr zaleci cię od morza, —
I krew raźniej ruszy w żyłach, —
I koń czujniej strzygnie uchem;
Drogę swoją po mogiłach
Liczyć będziesz stepem głuchym.

Tam świat bystry, trzeźwy, czujny,
Jak na czatach błysk oszczepu;
Jak młodości umysł bujny,
Tak szeroki oddech stepu.

W jarach kraj ku rzekom spada,
Ziemia głuchym jękiem gada,

Dumka mówi o przeszłości,
A wiatr bieli stare kości

Hej ku morzu, ku Czarnemu,
Ku limanu szerokiemu
Na południe Dniepr tam płynie!
A cześć Ławrze! Sława Bogu!
Hulaj koniu po rozłogu,
Nam żyć tylko w Ukrainie!

Szumi woda porohami,
Od porohów sokół leci,
Wicher wyje mogiłami,
Wilk oczyma nocą świeci,
Burzanami koza dzika,
Oczeretem lis pomyka.
Pędzi tabun, gdy wilk wpadnie,
We mgłach dyszą ciche jary,
I mkną mary przez czachary,
I krynica bije na dnie
A tu czesze stepem, borem,
Z listem kozak, gdzie pan każe;
I czumackie ciągną maże
Od limanów w świat taborem;
Po rozdrożach czort je wodzi,
I tumany nocne płodzi

Po nad Dnieprem, między jary,
Zasiadł dumnie Kijew stary,
Tam złocone monastery
A w nich czerńce staro-wiery.

A gościncem do Kijewa
Płyną maże z miodem, z zbożem,
A po Dnieprze niby morzem,
Z puszczy poleskich spławy drzewa.

Rzeki ciągną się jarami,
A nad niemi długie sioła;
Na lewadach za sadami
Bujny lud, jak w ulu pszczoła.
Niby sosna, niby wiosna,
Ukraińska krasawica,
A mołojec każdy wojec,
Rażny, harny — a od lica,
W sercu śmiałem, w żyłach zdrowych
Bije dotąd krew koszowych;
A jak krew ich w żyłach bije,
Tak ich pamięć w pieśniach żyje;
Tam stepami Dniepru szumy,
Płyną siołem stare dumy.....
A po dworach pusta służba,
I koń czerkies, kozak družba;
I poszyto i obuto,
Niewymyślnie, ale suto!

Tu języka Lach nie zbłaźni,
Jak przed wiekiem nieodrodny;
Stały w gniewie i przyjaźni
I zuchwały i dorodny;
Nie zwykł w księgach łamać głowy,
Ale z serca idą mowy, —
Chwat po prostu! Lubi konie,
Węgrzyn stary, Krymskie burki,

Charty, łowy, jasne bronie,
I bekieszki i lisiurki.
W mężkiem ciele serce prawe,
W prostej głowie rozum zdrowy,
A za dobrą jaką sprawę
Zawsze życie dać gotowy.
Bo tak ojciec i dziad czynił,
Więc i syn i wnuk się kusi;
Niechaj padnie, co paść musi,
Byle człek się nie obwinił!! . . .

Jasne słońce nad Podolem!
Po parowach kraj się zboczył;
Wielkim łukiem, czy półkolem
Dniestr ku morzu się zatoczył

Jarem, jarem za towarem,
Obłogami za wołami,
Manowcami za owcami,
Pobereżem na Podole,
A w Podolu jak w stodole!

Jak zaległy ziemie Boże,
Przebież kraje, przerzuć role,
Zejdź świat cały, przepłyni morze,
Niema kraju nad Podole!
Jak zasięgnie tylko oko,
I daleko i szeroko,
Świat kłosami tylko płynie
I w obszarach oko ginie

Tu kraj cały jednym łanem
I nadany wszelkim płodem;

Płynie mlekiem, płynie miodem —
A lud cały wielkim panem!

Ziemia czarna, niepochybna,
Pasze żyzne, wody rybne,
Mało wprowadzie trochę lasa,
Ale za to chleb do pasa!
Z rolą człek się tam nie kłopi,
Słomę pali, nawóz topi,
I co zmoże, w skład wyorze,
A jak umie Boga chwali!

Kilkoletnie sterty, brogi,
W toku z laty poczerniałe,
Jak miasteczka stoją małe,
Niestrzeżone na obszarze —
I na polu skot w koszarze,
Co zabiela dniem rozłogi.
A skot bywa szerści siwój,
A koń bywa gęstój grzywy,
Nóg żelaznych, twardej skóry,
Bez narowu, lecz ponury.

Za okopem lub za płotem
Wsie zamknięte kołowrotem;
A choć rzadkie, duże, syte,
Chaty czysto wymuskane,
Strzechy grubo, równo szyte,
Drogi rowem okopane.

Kiedy spuścisz się ku wodzie,
Toś zajechał niby w góry:
Skała żebrem wzrok ubodzie,
Brzegowiska istne mury;
Po nich pnie się zarośl młoda,
Z nich urwisko skał opadło,
Na łokotach szumi woda,
A staw czysty jak zwierciadło!
Lecz gdy wymkniesz się z parowu,
Skały znikną, szum nadstanie,
Jakbyś był na stepie znowu,
Równno, cicho znów na łanie....

Cicho — jednak niby ludno:
Wszędy zboża, wszędy krzyże,
Konik polny piosnkę strzyże,
O mogiłę też nie trudno.....

Kłosa płyną w lekkiej fali,
A gdzieś widne w siniej dali
Brzozy smutne i powiewne,
I dąbrowy staro-drzewne.....

A i ludu wdzięczne lica,
Boć to czysto, biało odzian,
Jak dąb młody, rześki młodzian,
A dziewczeczka — jak pszenica!

W chacie też to człeka radzi
Bogiem, chlebem witać w progu;

I Bóg gościa spać prowadzi,
I na drogę zleca Bogu.

Stary zwyczaj — dobre plemie —
Człek po Bogu — chleb po ziemię —
Wszystko zgodne — wszystko wcale —
Lecz i tutaj *nie bez ale*

[Bo wśród Bożej tej krainy
W tło narodu ćmą się wprzegła,
Co z klęsk kraju się wyległa —
Czeladź podła, wszemu krzywa,
Która wierzchem ludu pływa,
Jak nieczyste szumowiny!]

[Daj ją katu gospodyniu,
I to zboże czyść z kąkolu!
Gorszy niż pan na Wołyniu
Jest półpanek na Podolu!]

[Wrośli oni w ziemi naszéj
I rozbojem i kradzieżą,
Za plecyma naprzód Baszy —
A dźwignąwszy się łupieżą
Z podstarościch na dziedzica,
By tumanem świat złudzili,
W carskie grafy się poszyli —
Resztę dała Targowica]

[Że ich państwo nowéj daty,
Więc co swoje, to im wadzi:
I pod lada stare graty
Podszyćby się chętnie radzi!
A więc świecą blichrem, szumem,
Drżą przed ludem i rozumem,
I przed Bogiem i przed wiarą,
Przed przyszłością i przed karą.
I na ich to kiedyś głowę
Spadną grzechy zaborowe!]

[Chroń się, bracie, ich widoku,
Bo nie miło cię poruszy.
Co u ciebie w sercu, w oku,
Nie powstało to w ich duszy!]

...Więc raz jeszcze potocz okiem
Po tych łąkach, po tych łąnach,
I po stawie, po szerokim,
I po złotych tych basztanach!
A wypiwszy strzemiennego
Starym miodem lub wiszniakiem
Z rąk człowieka rycerskiego, [poczciwego]
Jedź na zachód bitym szlakiem!
Bo od tych to niw kurhanu,
Aż do Bugu, aż do Sanu,
Leży czarno wyorana
Ruś czerwona, Ruś hreczana!

Wielkich wspomnień to ognisko,
Starych bogów uroczysko,
Wiernych dziadów bojowisko,
I praszczurów pogranicze.
Tym to szlakiem orde, dzicze,
Biły w dziejach ode wschodu,
Po nim poszedł ślad hetmański,
Z Bożym kmieciem i krzyż Pański
Ku odsieczy dla narodu.

Ztąd z nad cerkwi i w kościele,
Z nad buńczuka i księżycą
Świeci ziemi na wesele
Matka Boża i Dziewica;
A o Turku i Tatarze
I dziad gwarze i dąb gwarze,
Choć już zarosł szlak hetmański
A bez trwogi jest krzyż Pański.

Prut zaszumiał przez *Poprucie*
W ziemi Ormjan — a *Pokucie*
Od Podola Dniestr obdzielił,
Co popłynął jarem kręto;

I świat wszystkich uweselił,
Bo wystrojon jak na święto!

Od tych ruskich rzék wybrzeży
Aż po Tatrów pierś jałową,
Po dziedzinę Krakusową,
Tam po Odrę, po Żuławy,
Stara ziemia Piasta leży —
I lud gnieździ staręj sławy,
A w pośrodku Wisła bieży!

Na południu w jasne chmury
Wystrzeliły sine góry!
Za górami, za lasami
Poszedł Beskid granicami!
Wziął się, kędy Wisły źródła,
A zaginał „w *Czarnym Lesie*,“
Kędy zwiérz się w gawrach kudła,
A ku równiom Swica rwie się.

Tamto szumią górskie wody,
Wierzchem ćmią się jaworzyny,
I woń ronią połoniny,
I jelenie wieją chłody!
A Beskidem płyną chmury
W czarne lasy, w sine góry

Z Bogiem ludu, z Bogiem, w Bogu,
Od tych źródeł do Rozrogu!
Boć ci dobrze w twoich górach

Na tym owsie i żętycy!
Orły twoje współdziedzicy,
I swobodny ów świat w chmurach.

Jak potopu świata fale
Zamrożone w swoim biegu
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania,
Po nad niemi stoi chmura,
A po halach las przegania
Uronione orle pióra.
Świat to chłodny — a Łomnica
Świeci polskiej ziemi do dnia:
Nad Tatrami, jak pochodnia,
A na pełni, jak gromnica

Każda skała z tobą gada,
Wiatr, co w równiach ledwo wieje,
Z nóg tam garnie — deszcz co pada,
To już w turniach śniegiem sieje.
A powyżej, wyżej jeszcze,
Pływa sobie orle wieszczce.
Gdy wyleci i zawiśnie
Na błękicie bez obłoku,
I do koła okiem błysnie:
Widne ztamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy,
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy
I Węgierskich gór winnice

Czeladź górską też nie podła;
Lud wysmukły, niby jodła,
Niby górski potok szybki,
Jak ptak lekki, jak pręt gibki,
Wiecznie niby młody młodzian!
Strój ma krótko ukasany,
Topór jasno nabijany
I sam wszystek wełną odzian.

Czysty, ludzki, szczeromowny,
Strojny, dbały i budowny,
Zna się dobrze i na ziołach,
I na gwiazdach, na pogodzie,
Śmiały w skałach i na wodzie,
A radniejszy niż lud w dołach.

Ziemia jego mało rodzi,
Więc też luźno człek nie chodzi,
Gdy opędzi zimę snopkiem,
Idzie w równie za zarobkiem.
Do topora lud to sprawny,
A do kosy jaki sławny!
Jaki wesół i ochoczy,
Gdy na kośbę w równie rusza!
Jak przyśpiewa i wyskoczy,
Jaka to tam w tańcu dusza!

Na Świętego, na Wojciecha,
U nas w polu już pociecha,
Ale w górach ledwo taje,
I zaledwo jar nastaje.

A na Świątki, na Zielone,
Szumią majem świeże lasy,
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się juchasy: —
Stary Baca rej im wodzi,
Pies liptowski strzeże owiec,
A przez lato juchas zbrodzi
Każdy potok i manowiec.

W góry! w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię.
Na szafase do pasterzy,
Gdzie ze źródła woda bieży,
Gdzie się serce z sercem mierzy,
A ze źródła woda bieży.
[I w swobodę człowiek wierzy.]
Tutaj silniej świat oddycha,
Tu się szczerzej człek uśmiecha,
Gdy się wiosną śmieją góry.

A gdy po nad turnie czasem
Przegrzmi latem nagła burza,
To zieleńsze potem wzgórze,
Po pod hale, po nad lasem.
Świeźsze, żywsze barwy, wonie,
I powietrze bywa lżejsze,
Ach i bole serca mniejsze!
Czystsze czucia, w lżejszym łonie....
Trawnik błyszczący w świeższych rosach,
A olbrzymie półobęcze,
Rajskie wstęgi, jasne tęcze,
Pną się łukiem po niebiosach.

O te skarby, te obrazy
Prostěj duszy i przyrody,
[I natury i swobody]
Chwytaj, pókiś jeszcze młody,
Póki w sercu jeszcze rano!
Bo nie wróćą ci dwa razy,
A schwycone pozostaną

Nie wrywaj się z gościny,
Gdy cię losy tam zawiodą,
A z powrotem puść się wodą,
Na Dunajcu przez pioniny.
W równie — w równie, gdzie ci tworzyć,
Gdzie ci działać bez wahania,
I w potrzebie żywot złożyć
W dobrej sprawie z przekonania!

Bo od gór tych, aż po morza,
Legła ziemia sławna z zboża,
Z serca, z męztwa, gościnności,
Wielka wiarą i kochaniem,
I przy wierze wierném staniem,
W której siedli duchem prości.

[Bo od gór tych, aż po morza,
Legła ziemia sławna z zboża,
Z wiary, z męztwa, z gościnności,
I z nieładu i z wolności!
Wielka krzywdą i cierpieniem,
Święta, krwi těj poświęceniem!]

Bóg choć dojmie, błogosławi,
I dał szczodłą ręką z nieba
Narodowi, co mu trzeba,
Jako Ojciec Staszic prawi:
„Dał mu chleba i stal twardą,
„Złota, srebra jedno w miarę!“
Serce czułe — duszę hardą —
Miękką wolę, — silną wiarę, —
Kraj otwarty, — miłość kraju, —
Ciężką pracę, — [Złych sąsiadów] — ramię silne, —
Mądrość złożył w obyczaju,
I dał czucie nieomyłne!

To też ludzie tam najszczęśliwi!
Tam to polski świat ochoczy:
Serce chłopcom ledwo z piersi,
A krew z lica nie wyskoczy.
Tam to dziewcząt śliczne oczy!
Do taneczka tylko, śpiewki!
Stare baby wygadane;
A wesołe i rumiane
U matusi rosną dziewczki.

Kędy wzgórek, to i dworek,
Kędy wioska, tam i woda,
Kowal pijak i gospoda;
A nad wioską i nad borem,
Nad sadami i nad dworem,
Jasną blachą pobijany
Świeci kościół murowany.
Stare drzewa wieży bronią —

I na „*Anioł Pański*“ dzwonią;
A gołębie krążą stadem
Nad plebanią i nad sadem

Dwór pod lipą stoi biały,
Pod piastowym dębem chata,
Nad nią bocian gniazdo splata,
A w niej żyje lud zuchwały.
Po nim gęsta bywa blizna,
Bo po ojcu broń puścizna:
Kord we dworze wisi stary,
W chacie stoi kosa stara,
A lud jednój krwi i wiary,
A krew polska i ta wiara!
Po kościołach chwała Boska,
Na odpusty naród płynie —
I cudowna Częstochowska
Jak szeroka Polska słynie!
Rej na godach družba wiezie,
A z weselem kulig jedzie!
Tamto druchny śpiew miluchny,
I gospodarz gościom rady,
Tamto tany a biesiady,
A gosposie takie wdzięczne,
Takie lube i urocze
I w przyjęciu takie zręczne,
Iż gdy która cię powita,
Z mazowiecka zaszcebiocze,
I ugości i opyta,
To aż serce żałość schwyta,
Taka to tam szczera mowa,
Tak serdeczne, proste słowa!

Póki zgodnie, póty zgodnie,
To i miło i swobodnie!
Lecz gdy obcy w bójkę wda się,
Gdzie rzempolą rażno grajki,
Nie policzy kółek w pasie,
Gdy go wezmą na kiłajki!
Tam nie żarty, bójka sroga!
Pod razami trzeszczą kości,
A kosterę wiedzie droga
Suchym lasem do wieczności!

Bo to lud, co krew ma w żyłach,
A krew pono nie jest lodem!
Lud to z Pana Boga rodem,
To też czuje się na siłach.
Więc do czego się sposobi,
To nie idzie mu już żmudnie,
I co robi, to już robi
Z całej duszy, nie obłudnie!

Gdy pracuje — to już szczerze,
Kiedy sądzi — to z powagą,
Gdy się modli — w dobrój wierze,
A gdy mówi — to rzecz nagą!
Kiedy kocha — to serdecznie!
Lecz nie bardzo tam bezpiecznie,
Gdzie na wroga godzi składnie:
Bo się bije rad gromadnie —
I co pocznie za gromadą,
I za wspólną ludzką radą,
To też idzie mu i składnie.

Więc czy w drodze, czy to w rynkach,
Czy na polu, czy w kościele,
Na dograbkach, na obżynkach,
Wszędzie razem ludu wiele.
Przy zabawie, czy przy pracy,
Wszędzie razem, pieśnią, mową,
Wszędzie jedni i jednacy,
Czy do pitki, czy do bitki,
Czy do szklanki, czy do tanki,
Czy to przyjdzie do piosenki,
Czy dołożyć przyjdzie ręki,
Czy nałożyć przyjdzie głową!

A przy szklance, pogadance,
Jeśli wspomnisz mu o żonie,
O domowym jego progu,
I ojczystym tym zagonie,
I o dziatwie i o Bogu:
Toś mu zabrał duszę całą!
To i we łzach się rozplynie,
I przebaczy lub pominie
Krzywdę wielką, jak rzecz małą.

Choć to swoje, człek się kusi,
I pochwalić, co się godzi,
Nie zła ziemia to być musi,
Kiedy takie ludzkie rodzi!

Częste, gęste, piaski, laski,
Lecz głód rzadki, Bogu dzięki!
Gdy się naród rzuci rojem,

I dołoży silnej ręki,
To nie darmo się i znojem:
Gumna, stogi się postroją,
I jest dosyć w potrzeb swoją,
I świat karmim chlebem swoim.
Głośno słyną te pszenice,
I za morzem ziemie Młaskie:
Sandomiérskie i Kujawskie —
I Proszowskie okolice!

Choć im jedna świeci zorza,
Jednak różne znajdziesz kraje;
Lecz po dworach aż po morza,
Wszędzie jedne obyczaje:
W stajni konik domorosły,
W domu ściana modrzewiowa,
Umysł hojny i wyniosły
A cnota domowa!

Przy dziedzińcu dom chędogi,
Półtoraczne ławy w ganku,
Sień obszerna, a przy wianku
Wiszą strzelby, smycze, rogi,
Kordy, rzędy, drożne burki,
I wyprawne pękiem skórki.
Drzwi na oścież — a w pokoju
Stół dębowy, woskowany,
Pod nim niedźwiedź rozesłany,
Dzban cynowy do napoju,
A na ścianach antenaty,
A na półkach srebrne blaty.

Jak dzień Boży, szum na sali,
A z téj sali, coraz dalej,
W lewo, w prawo, jasne, ciemne,
Opuszczone i przyjemne;
Jawne, strojne i ukryte,
I bielone i obite
Zakomórki i kąciki,
I pokoje, pokoiki,
I sioneczki, narożniki!

To dla pana, dla jęjmości,
To dla panien, to dla gości,
Dla paniczów, pokojowych,
To dla panien respektowych.

Co tam schowka, co tam sprzętów,
Dworskiej służby, rezydentów!
A dopieroż spojrzeć w koło,
Po układzie tym pokojem,
Jak tam dziwnie i wesoło,
Jak tam każde swoim strojem,
W swém gniazdeczku się sadowi,
Któż to wszystko wam opowie?!

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć nieludno.
U nas mury się nie święcą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człek by czasem wierzył,
Dom niewielki — wtém gość wchodzi,
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu:
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu.
Zda się, że pań domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha, choć uboga,
Chociaż niska, przecież bliska,
Dla obcego i dla swego,
I od Boga aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.

A dopióróż to przyjęcie,
Jakie bywa w polskim domu!

Jak tam każdy poczczon święcie!
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rześisto,
Biało, gładko, potoczysto.
Czeladź syta i okryta,
Wszystko w czasie urzędzone,
Przymaszczone, osłodzone,
Indyk kruchy, kapłon tłusty,
A do tego dzban niepusty.
Jest czém serce rozweselić,
Jest się wszystkim czém obdzielić.
Choć przyjęcie najłaskawsze,
Jest mis parę, parę dzbanów,
Zostawionych jeszcze zawsze
Dla „Zagórskich panów!”

Lecz gdy rzucisz stoły hojne,
I pominiesz dworską bramę,
Ściany, jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne
Przed świętymi lampa płonie,
Na kominku ogień strzela,
A tém światłem czasem spłonie
Po nad łożem karabela

Gdy zawczasie do spoczynku,
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwiała para siada
Do marjasza przy kominku:
I jegomość kartę łaje,
A z czterdziestu jejmość zdaje

Wszystko cicho— nic nie szańnie,
Czasem tylko waa wrzańnie,
Albo kotki załopcą,
Lub panienki zacichocą

Bo i cóż to ta za żywość
Młodych polek iuroda!
Tam wstyd szczy, tam poczciwość,
Tam po Bogu asza młoda!
Boć to w cnoci i w szczerocie
W wiejskim dołku uchowane,
Wypieszczone, muskane;
Niby dumne i ostojne,
A potulne jak rusiątko!
Niby dworne, i pokorne,
Jakieś takie bogobojne,
Jakby jakie nieożątka!

Myśl ich cico w życiu świeci,
Pełne życia, jak nadzieje;
Lubią pieśni, ańce, dzieci,
Wiosnę, kwiaty, stare dzieje

Gdy wesołe, istne trzpiotki,
I wiewiórki i szczebiotki!
Lecz gdy w smutku myśl zagrzebie,
Wówczas Polka taka rzewna:
Iż uwierzysz, że jej krewna
Najsmutniejsza z gwiazd na niebie!
Choć człek duszy jej nie zbadał,
W koło serca tak tam prawo,

Tak rozkoszn i tak łzawo,
Jakbyś grzech wypowiedał.
A gdy uśmiec łzę pokryje,
I dla ciebie sęe bije,
To cię dojmęak do żywa,
Iż to cudne, cdne dziwa,
Że się serce ni rozpłynie,
Że od szczęściaczków nie zginie!
Zda się, że to yjesz społem
Z rajskiem dziekiem, czy z aniołem.
Lecz to szczęści nie tak tanie,
Przeboleje dusza młoda;
Jednak lat i łeznieszkada,
Boć raz w życiuo kochanie.
A jak ci się któa poda
Z całej duszy i tatecznie,
To już twoją bęłzie wiecznie.
I w ład pójdzie i z nią życie,
Bo twęj duszy nę wyiębi:
Ona sercem pojme skrycie,
Co myśl wieku d:wiga w głębi;
Co się w czasie zywa, waży,
To w rumieńcu na jęj twarzy,
Jak w zwierciedle się odbije,
Bo w tēm łonie przyszłość żyje.

A czy chcecie wiedzieć jaka?

Świetna, świetna, jak myśl ona,
Którą natchnie Bóg i bitwa!
Czysta, święta jak modlitwa
Przed skonaniem odmówiona;
A potężna, jak lud kmiecy,
Co ją dźwignie swemi plecy!

Wyleć, wyleć orle młody!
Po nad ziemię, po nad grody
Z myślą, pieśnią wyleć społem!
Potocz młodą duszę kołem!
Wyleć śmiało i wysoko,
I odetchnij w świat szeroko!
Obleć ziemię skrzydłem gońca,
Opatrz wszystko okiem słońca!
Bo tych twoich borów szumy,
I tych łąków złote kłosa,
I tych ludów śpiewne dumy,
I wód fale i niebiosy
Grają jedną pieśnią strojną
Jak Bóg wielką i spokojną!
[Grają jedną pieśnią zgodną,
Jak Bóg wielką i swobodną!]
Pieśnią, której nic nie stłumi!
Temu tylko zrozumiałą,
Kto zrósł z ziemią duszą całą,
Kto za kraj ten zginąć umie

. . . . Bo i cóż to tam za dusza,
Co tym ludem skrycie wzrusza!?
I wybija w tych to pieniach,
W tej dzielności na igrzysku,
I w tych mężkich uniesieniach
Na pobojowisku

[Gdyby wierze pognębionej
Traf szczęśliwy podał plecy,
A téj szlachcie znarowionej
Gdyby Bóg dał rozum kmieczy:
Cóż za życie pełne cudu!
Co za doła! co za zorza!
Zeszłaby nam z tego morza.
I świeciłaby dla ludu!]

. . . . Cóż za życie pełne cudu
Co za doła i myśl Boża!
Zejsć by mogła i jak zorza
Zaświeciłaby dla ludu!

O z tym ludem, ojców Boże!
Nim w spoczynku głowę złożę,
Dozwól jeszcze siać i zbierać!
Lub gdy nie dasz przy nim pożyć,
Dozwól przy nim choć umierać—
I strudzone kości złożyć!



SPIS POEZYI

w V. tomie zawartych.

Z PODRÓŻY PO BURZY.

Poświęcenie	5
-----------------------	---

I. WIELE — MAŁO, PRZEBOLAŁO.

Miłościwe — Lato R. P. 1851.	9
Przebolało	12

II. CIERPIENIA BEZ CENY I TRENY — NIE TRENY.

Jako bywało	35
Do Gopła	38
Żale	39
Do Odry	41
Bałtyk	42
Do Tatr	43
Do Wisły	44
Do Łanów	46
Do Niemna	48
Do Puszczy	49
Do Dniepra	50
Do morza Czarnego	51
Domowe Bogi	53
Do Dźwiny	54
Święte Ognie	55
Skowronek	58
Do Dniestru	59

Żórawie i bociany	60
Do Bohu	62
Do Mogił	63
Do Stepów	65
Do zielonego Beskidu	67
Cicho a cicho	68
Makowe ziarnko	70

III. Z KLASZTORU I Z BORU.

Wyjazd z domu	79
A zkąd?	81
Ranek w puszczy	86
Królewskie dęby	89
Pobożna Pani	91
Pacholę na grzybach	93
Na dzień dobry Panu Szymonowi	96
Kościółek wiejski	97
Chata pod puszczą	100
Świat zakonny	104
Suchy dąb w puszczy	109
Do Boga w ucisku	110
Kapliczka Ś. Tomasza	111
Leśne jezioro	113
Odwiedziny u ks. proboszcza Niepołomskiego	118
Silva rerum ks. proboszcza	122
Ptaszę wędrowną i klasztor	129
Zimą w puszczy	133
Wieczór w Swoszowicach	148
Kruk, fundator ołtarza	150
Odzew	154
Czarna krówka	165
Na Bielanych	187

IV. ZE DWORU.

Na wyjeźdném do Polanki	193
Cóż tam w starym dworze	194
Pierwsza noc we dworze	197
Moi hetmani	198
Liliowy ranek w Polance	202

Do Pana Szymona	203
Małżeństwo	206
Przy Bełkotce	209
Malinowa górka	210
Za poległych	212
Z pustyni Św. Jana z Dukli	216
Przednowek skończony	220
W drodze do Maryi — Pola	223
W Maryi — Polu	224
Krzyż na stepie	225
Do Walentyny Trojanowskiej	230
Kaziowi w dzień imienin	233
Kometa	235
Do I P	237
Do Pani M. Krasickiej	238
Post scriptum	239

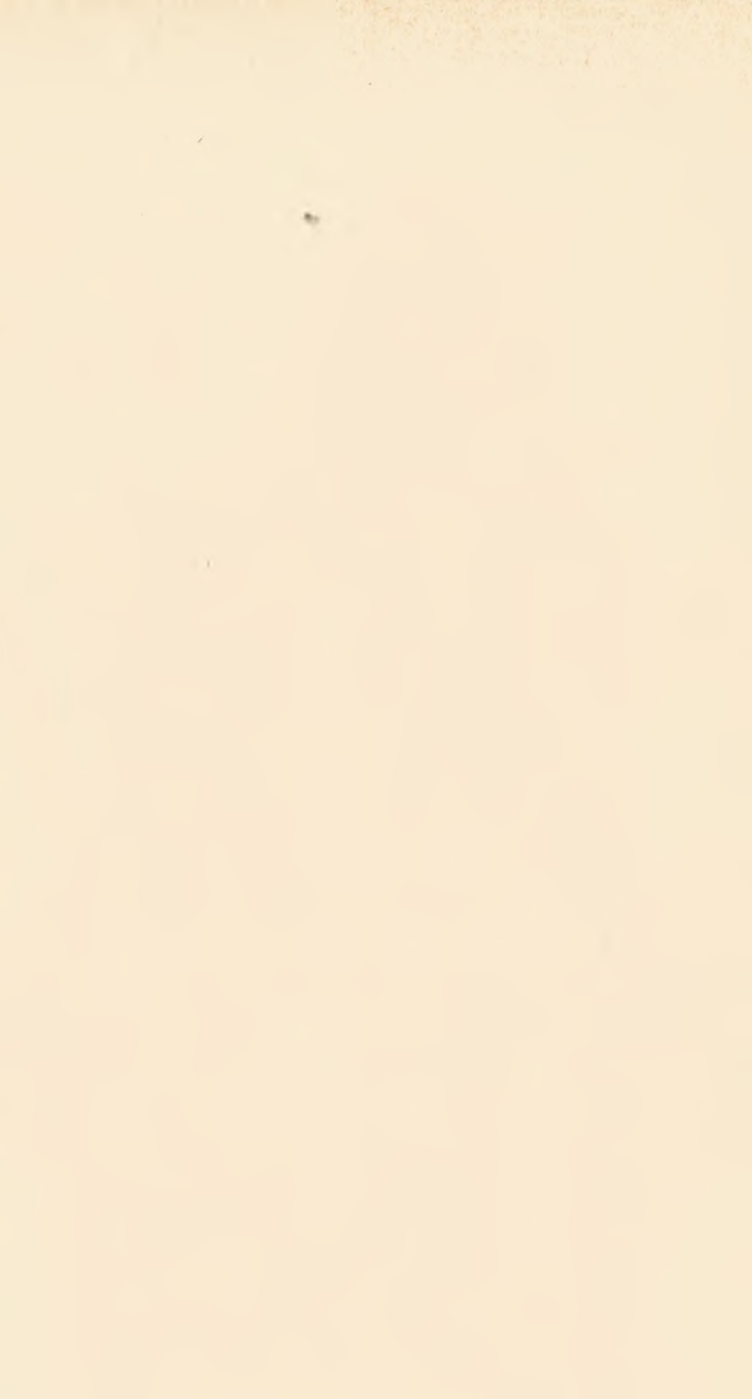
D R O B N E P O E Z Y E.

Siedm psalmów pokutnych	241
Legendy o Św. Janie Kantym	257
Józefowi Brodowiczowi na 50letnią rocznicę pełnego zasług publicznego zawodu	287
Barwy	291
W pamiętniku Pani Z O.	294
Z głosów pisma św.	295
Sielanka	297
Do Strzechy	298
Do Jaskółki	302
Do Jaskółki	303
Złote słowo	305
Ostatni Lirnik	306
Gramatyka i osioł	309
W imienniku M. R.	310
Do pamiętnika panny A. K.	311
23. Lutego	313
Rytm na uroczystość 50letniej rocznicy założenia Tow. nauk. krakowskiego	316
Do Szymona Dutkiewicza	322
Na imieniny P. Dutkiewiczowi	324
P. Brodowiczowi przy wyjeździe z Krakowa	325

S P I S P O E Z Y I.

Wiersz z okoliczności otworzenia w Pradze fizyolog. zakładu	327
Westchnienie do Błogosł. księżnej Grzymisławy . . .	332
Panu Szymonowi ofiarując Mohorta	334
Na pamiętnikach Winnickiego P. Szymonowi	335
Treny	336
Do Trenów	337
Do Najśw. P. Maryi Częstoch. ofiarowanie	338
Do Januarego Suchodolskiego 22. Stycznia 1856 r.	340
„ „ „ 12. Lutego „	342
Do Pana W. D.	345
Do Edwarda Dulskiego	349
Post scriptum	351
Gdyby	352
P. Brodowiczowi na egz. drobnych poezyi ed. krak.	353
P. Stanisławowi Tarnowskiemu	354
Na egz. dr. poezyi ed. krak. Panu Szymonowi	355
Wiersz napisany w Medyce w księdze	356
Do Pana Szymona	357
W pamiętniku P. Włodz. Dzieduszyckiej	358
Przypowieści Pana Wełdysza	360
Dalsze przypowieści P. Wełdysza	363
Do F. B. Trentowskiego	364

PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ.



Biblioteka WSP Kielce



0226751